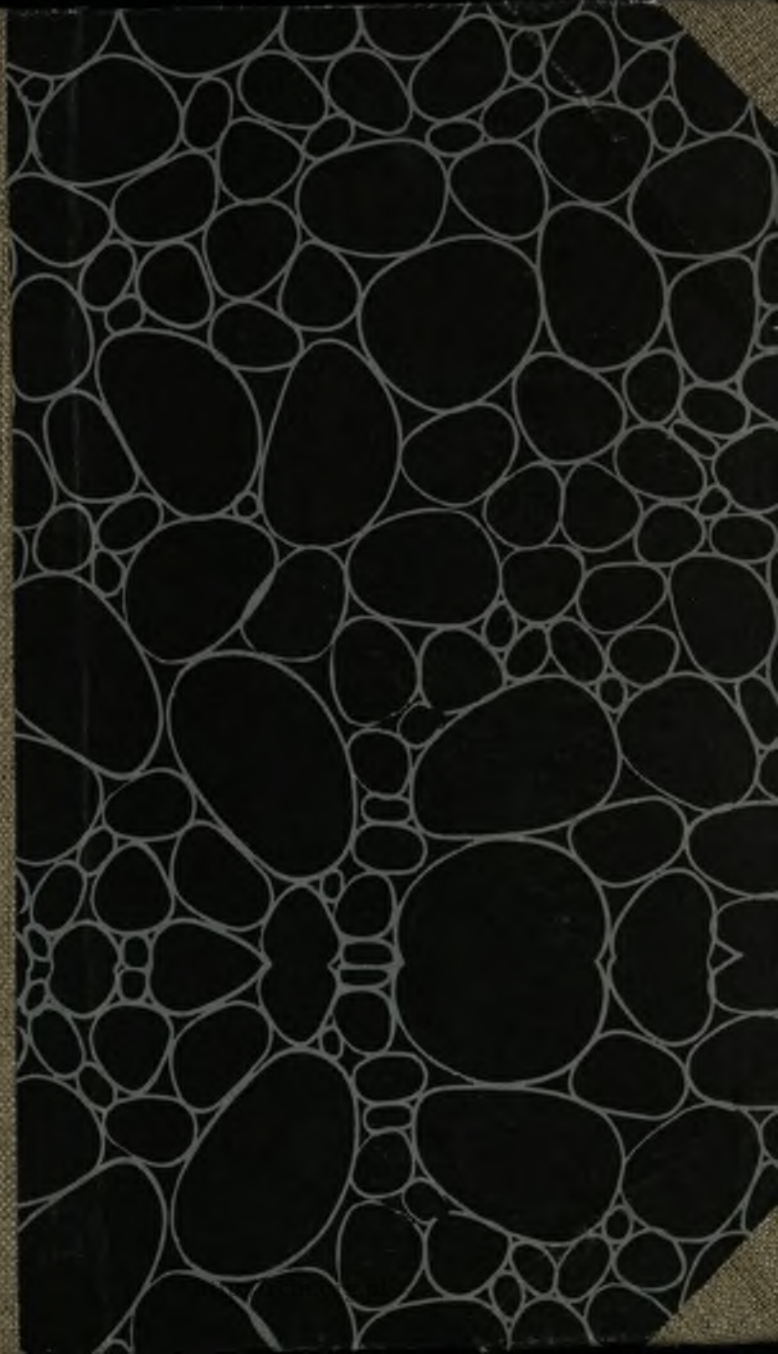


THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF
ART AND HISTORY
OF THE
CITY OF
NEW YORK



FELIKS BRODOWSKI

RESPHA

OPOWIEŚCI

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA — NAKŁADEM AUTORA
SKŁADY GŁÓWNE W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA
I WOLFFA W WARSZAWIE, LUBLINIE I ŁODZI
□□□ KRAKÓW: G. GEBETHNER I SPÓŁKA □□□



OPOWIEŚCI

PRZEDRUK
I PRZEKŁAD
WZBRONIONY

FELIKS BRODOWSKI

RESPHA

OPOWIEŚCI

WYDANIE DRUGIE.

INSTITUTE
BADAN LINGWISTYCZNYCH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA — NAKŁADEM AUTORA
SKŁADY GŁÓWNE W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA
I WOLFFA W WARSZAWIE, LUBLINIE I ŁODZI
□□□ KRAKÓW: G. GEBETHNER I SPÓŁKA □□□



21.834

Drukarnia i Litografia p. f. „Jan Cotty”, Kapucyńska 7.

<http://rcin.org.pl>

RESPHA

Z tematów biblijnych.



I.

Pod niebem przepojonem jasnością poranka, śród pleściwych czarów wiosny szło dwu wędrowców. Na nagich do kolan nogach ich osiadła ciemna sadz pyłu nie z jednej drogi zebranego. Obaj w pasterskiej odzieży, z kijmi grubemi w dłoniach i sumkami u boku szli zwolna, dobrze już umęczeni.

Jeden z nich był tęgim młodzieńcem za całą krasę mającym świeżość policzków i jędrność mięśni. Drugi, nieco starszy, był uderzająco piękny. Oracze w polach, winiarze w winnicach przystawali i dłonią od słońca oczy osłaniając długo patrzali za nim z uśmiechem zadowolenia, z jakim każdy człowiek ogląda jakiś niezwykły kwiat, gdzieś raz na lat sto rozkwitający. Z umiłowaniem nasadzić go musiała dłoń boska.

Nad prostem, miernie wydłużonem czołem wily się czarne kędziory. Nos nieznacznie zgięty; niewielkie nozdrza, lekko rozdymające się gdy drażnił je mocny poranny aromat ziół; usta drobne; oko duże o ciemnej siatkówce i czystej głębi wejrzenia —

wszystko zniewalało w tej twarzy harmonją i czarem wyrazu. Jak cyprys smukły, miał w ruchach umiar siły spokojnej, prawie niewidocznej w wdzięku i zgrabności jeleniej.

Przeszli okryte pachnącemi ziołami stoki gór Efraim, minęli ziemię Salisa i świeżą zielonością przybrane, umyte rosą winnice; po chłodnych, zagajonych dębami ścieżynach zapuścili się w doliny Salima.

Piękny wędrowiec chciwie pił okiem czar krajobrazu rozrzuconego wśród przezroczy powietrza niezmaczenie przejrzystego do najdalszych obrzeżyń widnokregu. Towarzysz jego natomiast frasobliwie i pilnie poglądał dokoła po wzgórzach i polach.

Wreszcie pod cieniściami stropami cisów Jemini, rozpościerającemi nad głową nawisłe zwoje delikatnych zielonych koronek z igliwia — przystanęli ocierając uznojone czoła.

— Za dalekośmy odeszli — rzekł młodszy — i za długo bawim. Ojciec wasz bardziej o was, niż o zgubę swoją frasować się będzie. Oślice pognały może gdzie na południe i w jakiej zapadlinie skalnej, w chłodzie się kryją, nocą na trawę wychodząc. A może rozprawił się z niemi lew lub lampart z pustyni!

— Cóż zatem? Wracamy? — rzekł starszy Nie żałuję żeśmy przebiegli tyle drogi. Cudny ranek, precudne strony.

— My tuż granicy ziemi Suf — począł znów pierwszy, rozglądając się. Włec nadłożmy jeszcze nieco drogi i wejdźmy do miasta. Tam jest mąż boży, który może powie nam o zgubie.

— Ale mężowie boży nie żywią się manną i nie chcą darmo proroczyć, a w mojej sumce nie widzę ani okruszyny chleba.

— Patrzcie, tom ja bogatszy bo i kęs mi został tyli, co wróblowi dwa razy dziobnąć, a nadto znalazłem czwartą część sykla srebrnego. Tem się zadowolić musi mąż boży; dodamy mu dobre życzenia gdy powie nam gdzie oślice.

I poszli rzeżko drogą ku wzgórzu i miastu w gaje oliwkowe wtulonemu.

... A szło ich teraz — troje, bo za niemi z jakiejś otchłani, może na granicy ziemi Suf naraz wypełzłe, cichą kradło się stopą — Nieszczęście, okiem niemigającym w dal dni przyszłych zapatrzone.

Wstępując na wzgórze napotkali gromadę dziewcząt z świegotem jaskółek biegnących po wodę. Zapytane czy jest teraz w mieście starzec widzący, zakrzykły:

— Jest. Dziś lud na górze ofiary sprawuje, a on je błogosławić będzie. Wnijdźcie do miasta, znajdziecie go nim pójdzie na górę.

Weszli do miasta i starca napotkanego w bramie zapytali, gdzie jest dom widzącego.

— Jam jest widzący, rzekł.

Człowiek który mówił o sykle srebrnym pomyślał w chwili tej, że nawet czaszy złotej i złota pełnej nie śmiałyby w zapłacie mężowi temu ofiarować. W brózdach jego twarzy, w fałdach ku ustom spływającym osiadła cierpka wzgardliwość, oczy zaś, czernią jakby przypalonych powiek okolone i głęboko zapadłe, patrzyły z pod chmurnie zwisłych brwi wzrokiem, który wchodził w dusze jak w bramy otwarte. On widział, siebie przejrzeć nie dając, i stał przed nimi jak stanie czasem na niebie chmura ciężka, mrokiem wydęta, o wzdętych płowych brzegach... To był ostatni z sędziów Izraela, Samuel.

Krył w sobie nawałnice.

Jeszcze tej nocy, do pierwszych rozbłysków dnia, zmagął się z sobą. W starczej piersi były pioruny gniewu, łoskotały wzburzone fale żalów po gruzach jego nadziei, przeciągle wyły wichry ciężkich obaw i trosk o losy ludu. Trwał lud uparcie w tem by dano mu króla. Dosyć sędziów. Takich jak Samuel mało, skoro własni jego synowie, którym spodziewał się godność swą w dziedzictwie przekazać— już przekupni. — W trosce o wolności ludu by jedynowładzca nogą ich nie przydeptał, przestrzegał Samuel, że król poczyni sobie niewolniki, synów

ludu pobierze za jezdnych, oraczy ról swoich i żeńców swego żniwa, córki za służebne i dziesięcinami nękać będzie.

— Nic to wszystko — byle był nieustraszony i miał lwia dla wrogów paszczękę, byle imię jego echem łoskocząc wśród skał, wzbudzało strach w Filistynach. Niech taki będzie — a my mu już damy i syny nasze za jezdnych i oraczy, i córki by mu wonne rzeczy gotowały, i co najlepsze z naszych winnic i oliwnic — odpowiadano mu.

Wzburzyły się w nim wnętrześci od gniewu i szedł po radę do Boga. A Bóg Samuelowy był dziwnie do niego samego podobny, jakby się wysnuł z oparów jego marzeń i był stężyłą gdzieś w przestrzeni i na tronie niebios osadzoną myślą Samuela, równie — surowy, mściwy, obraźliwy, gniewny, popędliwy, z błyskawicą w oku, gromem w ustach, garścią piorunów w dłoni, rozognionem okiem wypatrujący gdzie i kto wyłamał się z karbów zakonu, kogo i co zdruzgotać. Izraelowi potrzebny był taki bóg i on to, w ciszy nocnej, szeptem gniewnym rozkazy swe Samuelowi podawał. Jakby Samuel w chmurę gromowładną stężyły — Samuelowi w postaci ludzkiej...

I oto w przezornej swej mądrości wybór osoby króla zlecił wypadkowi. Kto z dalszych stron dziś pierwszy do miasta wkroczy — będzie królem. Któż

zaś, o dnia zaraniu, wnijsć by tu miał? Wieśniak ubogi, zabłąkany — nikt więcej. Taki zaś w rękę starca będzie woskiem, gliną.

Ciężkim, badawczym wzrokiem mierzył tego, kogo los zesał.

— Któż wy i co was sprowadza? — zapytał.

Starszy odrzekł:

— Zowię się Saul, jestem synem Cysa z Gaba, to zaś sługa domu naszego. Ojcu mojemu zginęły oślice. Szukamy ich próżno. Wskaż nam, mężu boży, drogę, której sami znaleźć nie umiemy.

Mowa jego tchnęła prostotą, a czyste oko nie umiało ukryć wieśniaczego zawstydzenia człowieka pól, mało do ludzi nawykłego.

Złagodniały oczy starca.

Położył rękę na ramieniu wieśniaka.

— Nie frasuj się o oślice, rzekł — ani o inny dobytek. Któż wie, azali wszystko, co najlepszego w Izraelu twojem nie będzie.

— Czemuż mi takie słowa mówisz? — odparł Saul — wszakżem ci ja z najmniejszego pokolenia izraelskiego i dom mój najpodlejszy między wszystkimi domy mego pokolenia.

Podobała się Samuelowi ta mowa. Ująwszy Saula za rękę wywiódł go i sługę jego na górę, dał im miejsce przedniejsze między zebranymi tam mężami — i częśćkę jadła, które dla nieznanego przy-

bysza zachował, położył przed Saulem, mówiąc łagodnie:

— Jedz. Dla ciebie to zostawione było.

Nazajutrz gdy się poczęło rozedniewać wyszli wszyscy trzej z miasta. Na słonecznym stoku góry osychające z gęstej rosy nocnej tchnęły na nich ciemne ogrody cudną wonią poranku. Nakazawszy słudze by przystał za niemi zeszedł Samuel z Saulem z drogi w chłodne zacienienie drzew i krzewów terebinty i tu słowo Boże długo synowi chłopskiemu opowiadał. Pouczył go słowy mocnemi, czego Bóg po nim wymaga — lud w zakonie utrzymać, sądem prawym go sądzić, od najazdów bronić. Ucichły na tę chwilę w sercu starca burze i złości i żadnej do człowieka, którego wolą swoją na szczyty wprowadzał, niechęci nie uczuwał; drżał mu głos wzruszeniem, które falą od morza ukochań jego — ludu i zakonu w piersi mu się podnosiło. Mowa jego zrazu pełna silnych akcentów nakazu, zwolna miękką i przeszła niemal w cichy szept prośby:

— Nie krzywdź, nie spętaj ich łańcuchem niewoli, przenigdy nie czyn z ludu podnożka nogom swoim.

Wziąwszy bańkę oliwy wylał na głowę Saula i ucałował go:

— Oto pomazał cię Pan nad dziedzictwem swoim za wodza.

Wyszli z zacieni gaju i na drodze, w słońcu, się pożegnali; na Saula, gdy pochylił się przed starcem, padł cień tej wyniosłej postaci i okrył go całego.

II.

Wracał Saul inną drogą, na Selsę, grób Racheli, dolinę Taboru i ów pagórek boży, gdzie spotkante z gromadą proroków Samuel mu przepowiedział.

— I z niemi ty sam będziesz prorokował, a odmienisz się w innego męża.

On już się odmienił. Nie był to człowiek z dnia wczorajszego, drobnemi rzeczami sfrasowany, ale tęgi jakiś, w radosnej zadumie nowe, a wielkie w sobie i dokoła światy widzący. Były one w nim, nie Samuel je tam nasadził, były jako rola pod śniegiem. Od słów Samuela zazieleniło się naraz w duszy saulowej, zakwitło; zaszumiały mu wiatry ożywcze i zapachniała jakaś nowa w'osna. Innym okiem patrzył i wszystko inne widział. Gdy droga go doliną u podnóża góry wiodła, niepohamowane pragnienie ręczo go na jej szczyt pchnęło by stamtąd nowemi oczami ogarnąć kraj.

Patrzył zdumiony, przejęty, z łoskoczącem w piersi sercem...

W okręgu — cały Kanaan od niebieszczy morskiej na zachodzie do zwierciadlanej tafli jeziora

słonego i zapadającej w nie długiej wstęgi Jordanu na wschodzie; od gór Gilead i falisto wygiętych zielonych wzgórz północy do dolin na południu stopniowo w żarem afrykańskim spaloną pustynię zachodzących, a wszystko w tak przejrzystym powietrzu, że w oku stulały się rozległe przestrzenie, wszystko było blizkie, zda się — ująć to można i przycisnąć do piersi lub do ust ponieść, wypić i upoić się.

Kanaan! Jakby pierwszy raz to słowo słyszał! Dziedzictwo Boga, ziemia praojców, którą utracili i odzyskali po mękach, płaczu, tęsknotach, kajaniu się długiem. Ośrodkiem świata była dotąd dla Saula domowa zagroda, płowo-grzywe pola jęczmienne, winnica ojcowska, zielone pastwiska w okół niej. Teraz zagrał mu kraj, ojczyzna. Jakaż cudna! Kraj dolin i gór, jezior, potoków i źródeł, tryskających z chłodnych szczelin skalnych; kraj gdzie dęby i sosny północy witają się z palmą; kraj fig, migdałów, jabłoni i granatów, miodu daktylowego, winnic o jędrnych gronach i gajów oliwnych „gdzie nogi w oliwie się nurzają“; kraj co w uroczych oazach dla kontrastu zatulonych między poszarpane dzikie skały u pobrzeży morza Martwego wycieplał krzew balsamowy; kraj niepożytych cedrów — i zdrowych, jędrnych ludzi! Zanim go stworzył, musiał Bóg zapewne kraj ten wymarzyć wpierw w jakimś ślodkiem, wiośnianem widzeniu.

Dzwoniły Saulowi w pamięci słowa Samuela.

— Nie myśl, — mówił tam, nad drogą — że ta ziemia jest jak inne. Ona czuje, rozumiesz to? — widzi i słyszy, posiada wrażliwość ludzką, rozpoznanie zła i dobra. Cierpi i otrzasa się gdy dotknie jej stopa zabójcy, cudzołożnika lub bałwochwalcy. Bogata i szczodra, gdy zechce — zamknie swe spichrze, ogłodzi, umorzy suszą, utrafi szarańczą lub pochłonie jak Sodomę w czeluści wiecznego ognia. Trzeba być czystym by mieć prawo mieszać się z jej świętym prochem bo w prochy jej iść nie znaczy to umierać; ma ona żywot niezniszczony i duch więcej niż ludzki.

Saul zasłonił dłońmi oczy przed zbyt rażącym słońcem południa. Weszedł w siebie. Czym że on był dotąd? Synem Cysa, wnukiem Abijela, członkiem pokolenia najmniejszego z izraelskich. Teraz lud cały w nim się odezwał. Lud Abrahamów, Jakóbów, Mojżeszów, Jozuych... Czuł się więcej niż sobą, rozrastał się i obejmował ogromy jakieś. Schodząc z góry mówił do siebie:

— Ziemi święta, kocham cię; ludu tej ziemi czuję cię w sobie.

Te były nowe światy, co mu się zazieleniły.

A mając oczy na nie otwarte, nie dziw że zmieszany z gromadą proroków proroczył z niemi ku

zdumieniu tych, co widzieli go dawniej, gdy za bydłami chodził.

Lecz gdy wrócił do rodzinnego Gabaa i powiało nań zagrodą, domem; gdy szedł ścieżką swego pola głaszcząc dłonią falującą grzywę jęczmienia, a powitał go ryk bydła i głosy domowników, wróciła mu wieśniaczość jego. Ręką dotknął czoła jakby z snu dziwnego zbudzony.

Powitał żonę Achinoam, synów, córki.

Pytany, przemilczał o najważniejszym.

— Nie znalazłszy oślic — tyle powiedział — poszliśmy do Samuela.

— Cóż wam Samuel oznajmił?

— Oznajmił za pewne, że oślice się znalazły.

Pilno mu było wrócić do powszedniej pracy i uporać się z tem co zaległo. Nazajutrz, gdy dniało, podążył tam, gdzie zwykł słodycz wypoczynku znajdować.

Był ranek cichy, nieupalny i wonny. Nad idącym świegotały jaskółki. W pachnącej świeżością winnicy cleszyły go zawiązki gronek. Gdy przeszedł winnicę i gaik oliwny na wzgórzu już widział mały domek, ocieniony jabłoniemi, które konary swoje nad płaskim dachem jego rozpostarły. Obfitość lilji w uroczej bieli, osypanej perełkami rosy wypełniała ogródek wonią swego dziewictwa nadmiernie słodką i do zawrotu głowy upajającą.

Jakie mu to wszystko miłe było. Przystawał, oddychał głęboko, cieszył się.

Zaczął się przy oknie. Z izby dochodziły głosy jakby zebranej tam całej gromady jaskółek. Jak perły potrząsane dźwięczał czyjś młody śmiech, to głośny to cichnący, krótki, urywany, czasem przedrzeźniający, to znów czułością wezbrany. Tak śmieją się młode matki. Cudny śmiech co naraz milknie, gdy jej usta przylepią się do różowego ciała dziecka; wtedy sypać się poczynają drobne perełki śmiechu dzieciennego. Czasem ta dźwięcząca uciecha zbiega się w jeden okrzyk matczynej, namiętnej — to uścisk w jedno złączył ją z dzieckiem.

Saul uśmiechał się sam do siebie. Widział ich radosną duszę; słodkie ich wesele i w nim się zaparliło. Nasłuchiwał jak nieśmiały kochanek. Ile razy miał przekroczyć ten próg, zawsze mu się zdawało że to dziś dopiero pierwsze ją zapoznał, tę co tam się śmiała. I zawsze przypomniał mu się powab pierwszego ich widzenia w porze, gdy deszcze zimowe przeszły, wysypały kwiaty, przyszedł czas śpiewania ptasząt, synogarlice nawoływać się poczęły, macice winne rozkwitały wydając woń, a jabłonie wypuściły pączki. Czarem powiek długimi rzęsami ocienionych i wstydliwie na ciemne tęczęwki ócz i zabłąkicone ich białka opadających zniewoliła wtedy Respha jego młode serce, wzięła je sobie. Weszła

w niego jak wiośniana wonność i taka w nim już została zawsze świeża i upajająca.

Ucałował w myśli to wspomnienie i wszedł rozpromieniony, słoneczny, w łunie radości jeszcze piękniejszy, bezwiednie królewski w ruchu, łagodnie wyciągając ręce, prężące się do uścisku.

Na łóżku zasłanem skromnemi kobiercami troje istot nieład uczyniło swą zabawą. Rozrzucano koberce, pomięto wezgłowie, pozwlekano prześcieradła.

Zarumieniona porwała się ku niemu Respha. Była jak młodzińcze marzenie, co w jakiś poranek wiosenny z upragnień miłosnych rozkwitło i z sadów i pól ukwieconych pobrało barwy, woń, świeżość, puchy pieśczoły i świegotliwość ptasząt.

Zawisła mu na szyi gibka, przełamując się w jego ramionach, gdy porwał ją, uniósł całą i wtulił w siebie. Podała mu drobne, karmazynowe usteczka i zacałowana ledwie co wyrzec mogła.

— Wieki nie byłeś. Powiedz Saulu czy zbrzydłam za ten czas?

Ucałowawszy jej oczy pełne powabu utęsknień, osłoniętych cieniem rzęs, rzekł:

— Oczy twoje jeszcze mi wypiękniały.

Odjawszy usta od jej drobnych, rozedrganych nozdrzy powiedział:

— Jeszcze mi wonniejsze niż były.

— I wszystkaś mi piękna a pachniesz rozkwitłą jabłonią.

— A dzieci? — zawołała wrywając mu się. A o dzieciach co powiesz?

Starszy miał dwa lata i zwał się Armoni. W białej koszulce przybiegł bosemi stopkami i odpychając matkę wspinał się ku rękom Saula. Na łóżku w zwojach pomiętej pościeli półroczny nągusek tłuściutki i różowy, z paluszkami w wilgotnej buzi przyglądał się im, wymachując nożynami.

Matka porwała go na ręce i poczęła z nim kręcić się po izbie jak szalona. Podrzucała maleństwo jak jabłuszko, wreszcie posadziła je sobie na głowie i podbiegła z nim do Saula, który gonił ich oczami.

— A ty nie wiesz, co on już umie ten mądry Mefiboset! Powiedz mu — daj rączkę.

Saul wyciągnął obie dłonie a tłuścioszek począł w nie uderzać piąstkami.

Rozsiedli się wszyscy razem i splekli rękoma.

— Dobrze nam przy tobie nasz królu.

Saul popatrzył na nią.

— Czemu mię tak zowiesz?

— Alboś nie królem naszym, a my nie królestwo-ż twoje, a toż nie królewłeta malutkie nasze?

Miękką dłonią powiodła po jego włosach, na których nieco jeszcze oliwnej tłustości zostało.

— A któż to cię umaścił — zawołała zazdrośnie, czy na drodze spotkałeś jedną z tych pięknych, co umyślnie osłaniają twarz by wzbudzić pożądlivość wędrowca, a gdy on tę ich uchyli zasłonę wabią go uśmiechem? Czy taka piękność tułacza namaściła mego Saula?

— Nie, złotko. One to ciernie a tyś lilija, — rzekł, przygarnął ją silniej i pijąc jej wejrzenie dodał — posłuchaj. Tobie-ć powiem, czego nikomu nie oznajmił.

I powiedział jej wszystko. Jakby anioł jaki z palcem na ustach przeleciał, takie potem było milczenie — i jakoś się zasepiło w izdebce. W zacienionym jej kącie przywidziała się Resphie nieruchoma postać, okiem zimnem na nich i za nich, w dal, zapatrzona.

Zakryła oczy rękami, a gdy Saul je oderwał szepnęła:

— Boję się.

Gdzieś z oddali biegło i coraz się zbliżało wołanie:

— Saul, Saul — —

Saul się zachmurzył.

— Jeśli to wystannicy Samuela, rzekł, powiedz im, Respho, że tu mnie niema. Niechaj mnie poniechają. Dobrze mi z wami i tak zostanie jak było.

— O miły mój, zawołała — ja ci za te słowa
dłonie i nogi całować będę.

I rącho pobiegła. Słysząc było spór jej z temi
co go szukali a wierzyć nie chcieli by tu go nie było.

— Samuel i lud nakazuje — wołano, by Saul
przyszedł na górę Micpa. Znaleźć go tedy musimy.

— A czy przyniewolicie go, gdy iść nie ze-
chce? — zawołała hardo, wejście sobą zastawiając.

— Zaprawdę — odpowiedzieli wystąnczy — ka-
zано nam prosić go uprzejmie, ale gdyby się krył
i odmawiał, mamy wziąć go.

I wtłoczyli się do izby.

Poszedł z nimi chmurny.

Do okna izdebki zaglądały lilje w bieli, na
której oschły już krople rosy, zato oczy Resphy za-
szły rosą łez. Opadły płatki z białej lilji ich szczęścia.

III.

W ludzie wieśniaczym, w gromadzie polnej co
z ziemią, jak z kim żywym przestaje, jest coś z ziemi,
założenie w głębinach pokładów, których nie domyśla
się oko, sił, które trącić tylko trzeba, by poczęły
się przeżyć, pełne świeżych, niespodzianych pierwia-
stków.

Syn chłopski, o którym nic nadto powiedzieć
nie było można, że jest urodziwy i głową wyższy
nad wszystkich lud, wyniesiony na tron — a mimo

to nazajutrz za wołmi z pola idący, — w sprawach królestwa na wstępie zaraz poczynił sobie tak, jakby nigdy nic innego nie czynił tylko królował.

Zaganiał swe woły z pastwiska gdy doszły go narzekania wysłańców, mających go zawiadomić o najeździe Amonitów i pogrózkach Nachasza.

— Cóż się stało ludowi, że płacze? pytał, a dowiedziawszy się, rozrąbał wołów parę na sztuki, przez tychże posłów rozesał po wszystkich granicach izraelskich i nakazał mówić: „Ktokolwiek nie wynijdzie za Saulem i za Samuelem, tak się stanie wołom jego“.

Był to pierwszy gest królewski, na który lud wyszedł jak mąż jeden.

Lud był zapalny. Po zwycięztwie wdzięczność, cześć i uwielbienie dla wodza wezbrały lawą. Uczcić go! Przypomniano sobie że na górze Micpa byli tacy, co nim wzgardzili. Wołano więc do Samuela:

— Wydadz nam męża te co Samuelem wzgardzili, pobijemy je.

I znów królewski gest szlachetności i miłosierdzia tego, co na górze Micpa udał że niechętnych nie widzi i nie słyszy.

— Nikt nie będzie zabity, albowiem Pan uczynił miłosierdzie nad Izraelem, — zawołał nie czekając co rzecze Samuel.

Starzec w zadumie pochylał głowę.

Widział zapał ludu, a w tym wieśniaku króla nie tylko z postawy i piękności. Widział że sądy i rząd zaprawdę przeszły w jego ręce, a czas Samuelowy wypełnił się, zachodzi i gaśnie. Powiódł przeto Saula i lud na górę Galgal by tam raz wtóry utwierdzić królestwo a samemu z ludem uroczyście się pożegnać.

W ciszy przedwieczornej, w którą góry Kanaanu i jego żywot zapadał, przemówił tak, że lud się zasłuchał i słuchały go winnice i oliwki po wzgórzach i słońce na zachodzie ku niebieszczy morskiej chylące się.

— Oto teraz król chodzi przed wami, — a jam się zestarzał i osiwiiał, mówił.

Lecz i ja od młodości swojej aż do dnia tego chodziłem przed wami. Więc powiedzcie teraz przed Panem i jego pomazańcem — czylim kiedy ukrzywdził kogo z was, ucisnął, gwałt komu uczynił lub wziął z czyjej ręki dar a miał dziś przed kim kryć oczy?

— Świadczymy — wielki odpowiedział głos — nie ucisnąłeś nas, aniś nam gwałtu nie uczynił i czyste twoje ręce.

Tedy przypomniał im wszystko co Pan uczynił dla nich i dla ojców ich i nauczał drogi dobrej i prostej. „Służcie Panu w prawdzie ze wszystkiego serca waszego, a to upatrujcie, jako wielmożnie po-

czynął z wami“. Aleć, u końca wytknął im surowo, że żądając króla wielkiej się dopuścili złości, bo królem im dotąd był sam Pan.

Z nieba spochmurniałego nadciągnęła burza i grom załaskotał. Kajał się przeto lud przed Panem i Samuelem z tej złości swojej, jakiej się dopuścił króla sobie żądając.

I nie mogły być miłe Saulowi te słowa Samuela, a kto by bacznie patrzył, widział by jak owej chwili ręka czyjaś wznosi między niemi ścianę niechęci. Wszelako nie dał Saul do niej żadnego powodu; bezwolnie i bezwiednie prężyło się w nich obu coś, co spychało siebie, nie mogąc ścierpieć by szli razem. Zrazu było to dobre dla Saula bo zrodziło w nim poczucie, że na swojej tylko dzielności i sile oprzeć się winien, nie licząc na poparcie starca, który — mówił Saulowi o tem głuchy niepokój — za czasem przeciw niemu skałę swego ducha wystawi i zgnieść go zechce. Postanowił przeto granitem wróść w to miejsce, gdzie raz już stopę postawił.

Zrzucił skórę wleśniaka z siebie. Stanął śmiały i stanowczy, i poczynał sobie jak wojownik nieustraszony i wódz ludu przezorny i czujny. Zorganizował obronę kraju, wystawił stałe wojsko pod dobrem hetmaństwem. Rodzinne jego Gabaa, teraz już Gabaa-Saula zwane, nabrało cech stolicy, rojącej się od wojska i urzędników. Blask bił od jego osoby i lud

się tem cieszył bo nie na to na tronie go posadzono by w zaniedbanej odzieży i nagiej izbie pośmiewiskiem miał być dla innych królów. Gdy drabantami otoczony jaśniał w drogiej szacie, uwydatniającej piękność jego i wspaniałość wrodzoną, goniły go oczy przystawających na drodze.

Lud z dumą mówił:

— I nas stać na króla! Niech mieszka z woli naszej w pałacu, niech błyszczą na nim szmaragdy z ziemi etjopskiej, złoto Ofir, drogi Onychin i szafiry, niech żony jego przerzucają z garści do garści korale i perły. Będą wiedzieli książęta Filistyńskie że nie gorszy nasz Saul od nich i królów okolicznych.

Nie lubował się jednak w zbytkach i rozkoszach. Miał więcej niż jedną żonę lecz daleko mu było do dziesiątków żon Dawida lub Salomonowego tysiąca. Nie niewieściał i prawie nie pokładał miecza. Odnosząc zwycięstwa daleki był od tego by chlubę sobie tylko przypisywał. Swoje talenty wodza rozwijał w zespole z wojownikami, których kochał i szanował, sprawiedliwie męstwo cudze oceniając. W każdym calu król i rycerz „gdziekolwiek się obrócił, mężnie się sprawował“ i „gdziekolwiek widział Saul jakiego silnego i dzielnego męża przyjmował go do siebie“. Nie ubiegał się dla siebie o miano niezwykłego, lecz chciał stać na czele hufu niezwykłych.

„Chodzenie przed ludem“ wysoko pojmował a z pragnień osobistych jedno tylko całą duszą pieścił — pragnienie dziedzicznego przekazania królestwa synowi.

A nic tego pragnienia była w wyschłej dłoni Samuela. I sędzia ludu snuł kiedyś nic podobną dla swoich synów. Los mu ją urwał. Teraz zdało się, że Samuel czeka tylko chwili by urwać nic Saulową.

Odszedł w swe zacisza, lecz czuwał. Z ubocza śledził każdy krok Saula, każdy czyn jego skrupulatnie ważył na wadze surowej formalistyki zakonu, pewny niemal, że król do żywiołu podobny prędzej czy później uwikła się w siatce nakazów formalnych.

I tak stało się.

Syn chłopski od ziemi wzięty, w której wszystko pnie się do życia i stawania się, nie mógł się nauczyć, by czyn podporządkowywać obrzędowi.

W trzydzieści tysięcy wozów i sześć tysięcy jezdnych i innego ludu „jako piasku, który jest na brzegu morskim“ nadciągnęli Filistynowie i położyli się obozem w Machmas. Padła trwoga na lud. Wielu pokryło się w jaskiniach i wśród skał, w obronnych miejscach i wieżach. W Galgal, dokąd zbiegł się za nim lud wylękniony, czekał Saul na Samuela dni siedm. Bowiem nie należało przystąpić do walki

nie przyniósłszy ofiary Panu, tę zaś sprawować miał starzec. Każda chwila zwłoki o losach bitwy rozstrzygnąć mogła. Włł się Saul z bólu niecierpliwości i gryzł swe ręce, skarane bezczynnością w takim momencie, gdy ziemia się pod nim paliła i wszystko nagliło, lud bowiem w podmuchach trwogi już chwiać się poczynął. Wielu się już rozbieżało. Minał wreszcie termin przez starca wskazany. Nie przyszedł. W nieobecności jego upatrując zezwolenie dla siebie Saul odwiecznym ludu zwyczajem, aby ubłagać twarz Pańską ofiarował sam całopalenie Bogu.

A wtedy jak burzą odęta chmura, czarny i posępny stanął przed nim starzec.

— Głupioś uczynił! Bo byłby Pan teraz królestwo twoje utwierdził na wieki, — rzekł, lecz skoro przykazanie Pana Boga twego przestąpiłeś, przeto znalazł sobie Pan innego męża według serca swego — i ten będzie wodzem ludu jego, godniejszy od ciebie.

Mogły się bary ugłać pod takim kamieniem a rozum ogłupieć. Nie o siebie, ani o utwierdzenie swego królestwa troszczył się owej chwili Saul, lecz o wybawienie ludu, a toż miało by być Panu nie miłe! Ale nie wiedział Saul, gdzie Samuel gdzie Bóg — i brał ich za jedno. Więc słowo Samuela załopotowało nad nim jakimś beznadziejnym wyrokiem — bo gdzież mu podejmować walkę z Panem...

Uczuł głuchą rozpacz. Ale słońce wschodzące nad Machmas ukazało mu zastępy napastników. Wróg warczał a lud błagał ratunku. Tu było prawo i obowiązek Saulowy, z którego Samuel uwolnić go nie mógł:

— Precz, widmo! — zawołał król za odchodzącym złowrogim prorokiem i począł liczyć swój lud, a ledwie było przy nim sześciu set mężów. Ale między nimi krew jego, lwię młode, Jonatan — jeden za tysiące. Ten z wyrostkiem co za nim broń nosił, poraził straż Filistyńską i popłoch rzucił na całe zastępy. Dzień zagasł w purpurowej zorzy nowego zwycięstwa...

A tego dnia złożył Saul dowód, że zakonu sobie nie lekceważył jak go o to Samuel obwinał. I co najmilsze oddać był gotów Panu. Bo gdy lud cały uszanował zakaz Saulowy kosztowania jadła póki pomsta nad nieprzyjaciółmi się nie dopełni i tylko Jonatan w nieświadomości zgrzeszył, nie wahał się ojciec jego wypełnić swe słowo śmiercią grożące występny.

— Śmiercią umrzesz Jonatanie, — rzekł temu, co był mu jak prawa ręka i miły jak własna dusza.

Ale lud, który czasem niemylnie wyczuwa istnienie praw, nie objętych przepisami lecz w słuszności swej głosem serca potwierdzonych, nie ze-



zwolił na kaźn Jonatana, drugiego po Saulu rycerza bez zmazy.

IV.

Odpychał od siebie Saul cień starca i zatykał uszy przed napastującym go w ciszy nocnej głosem:

— Innego Pan obrał już sobie męża za wodza ludu!

Zdawało się że i Samuel, pogroźkę tylko rzucawszy, poniechał swej złości.

Lecz on tylko nową gotował zasadzkę. Przybył do Saula jakby mu nigdy owych słów okrutnych nie powiedział i w imieniu Pana zastępów dał mu zlecenie — pobić Amalekity „od męża do niewiasty, od małego do ssącego, od wołu do owcy“.

A miał już wtedy Saul nie garsteczki jak dawniej lecz wielkie wojsko pod sobą. Gdy policzył je w Telaim było tam dwa kroć sto tysięcy pieszych i dziesięć tysięcy jezdnych. Przyciągnął tedy do miasta Amalek i zwiódł bitwę nad potokiem, zwyciężką jak wszystkie.

Ale był on wojownikiem i rycerzem nie zaś katem i oprawcą. W wojowniku drga zawsze miłosierdzie. Uczynił Saul miłosierdzie Cynejczykom, którzy byli pośród Amalekitów pomny, że „i oni uczynili miłosierdzie z wszystkimi syny Izraelskimi, gdy ci szli z Egiptu“. Ulitował się też — po zwy-

ciężtwie — sędziwości króla amalekickiego i życie mu darował, a ludowi pozwolił część bydła przedniejszego, nie tępiąc je bezmyślnie, zachować na ofiarę całopalenia Bogu.

Czysty się czując w swem sercu stanął przed Samuelem i rzekł:

— Wypełniłem słowo Pańskie.

Starzec spiorunował go oczyma i zahuczał nad nim rykiem wzburzonych bałwanów morskich:

— Nie wypełniłeś! Wypełniłeś tylko miarę złości swoich, nieposłuszeństwa i buntu twego, i za toś przeklęty od Pana!

A gdy ogłupiony tem uderzeniem maczugi, usiłując zebrać myśli pierzchające i przed tym starcem głąb serca odstąpić, uchwycił płaszcz Samuela, ten szarpnął się wściekły i została Saulowi w ręku poła oderwana.

— Tak oto oderwał Pan królestwo izraelskie od ciebie i dał je lepszemu niżes ty, — zagrzmiął prorok.

A na ostatek — bo spotykać się więcej nie mieli — pouczył Saula jak należy zlecenia Pańskie pełnić. Kazał przywołać zachowanego przy życiu króla. Szedł Agag poważnie i losu nieświadomy przemówił z wdzięcznością:

— Oto uszedłem gorzkości śmierci i za to wam dzięki przynoszę.

— Nie uszedłeś! — zakrzyczał starzec. „I rozsiekał w kęsy Samuel Agaga przed obliczem Pańskim w Galgal“.

...Opadły ręce Saulowi i cały z wolna osuwać się począł pod zacięcia łopoczących nad nim czarnych skrzydeł melancholji. Rozumiał walką z czemś uchwytnem, co wystawia pierś i boryka się ramionami, lecz — z nieuchwytną, ciemną i głuchą na jego wołanie siłą, co przemawia tylko usty Samuela z przestworzy, gdzie nieugiętym rylcem wypisało się przeznaczenie — jakaż walka! Jednak i do niej rwał się jeszcze z uporną zaciekłością, w hardem o swej prawości przeświadczeniu.

W wirze spraw państwa, w głosie surm wojennych chciał znaleźć zapomnienie a jednocześnie szukał tego nieznanego, którego wyproroczył Samuel, nowego, gdzieś w tłumie ukrytego pomazańca, który za sprawą starca ma odebrać synowi Saulowemu koronę. Szukał go rozognionem okiem pomsty i nie-nawiści.

I wtedy los tak misternemi uplątał go węzłami, że nic tu nie wydało się wypadkiem lecz wszystko uplanowaniem szyderstwem jakiejś potęgi, świadomie czyniącej sobie z niego na każdym kroku igraszkę.

Wróg poszukiwany, dziedzic korony, wkroczył do domu Saula przez niego samego dla ukojenia

cierpień przywołany, a był tak miły, tak wdzięcznych oczu, układny i „lisowaty“, że serce Saula do niego się rozchyliło.

Gdy młody pasterz z harfą ukląkł przed tronem Saulowym, król położył rękę na jasnych jego kędziorach i swemi sposepniałemi oczami, w których nieustannie teraz płonęła podejrzliwość, długo patrzył w krynice ócz młodzieńczych, lecz w dziecięco czystem ich przezroczu nic — ani cienia zdrady, ani zawiniętego rąbka jego tajemnicy nie dojrzał, a przecież nie oschła jeszcze na tych wijących się puklach włosów tłustość oliwna od pomazania Samuelowego.

Artysta z bożej łaski, poeta, śpiewak pachnący polem, dziecina jak mawiał o nim Saul, a odważny jak stary wojownik; pasterz co baranka lwu wydarł z paszczyki a niedźwiedzia ułapiwszy za gardło tłukł póki nie zabił; rycerz hardy choć miecza nigdy jeszcze nie przypasał, pancerza wdziąć nie umiał ani przyłbicy miedzianej nosić; skromny jak dziewczynka, piękny że o nim by powiedzieć iż „wargi ma jako lilje wypuszczające mirrę ciekącą“ a policzki świeże i pachnące „jak zagonki ziół wonnych“ — oczarował wszystkich na dworze królewskim.

Ten co Jonatanowi koronę miał zabrać zaprzyjaźnił się z tym synem saulowym stokroć czulej, niż by bracią byli. „Spoiła się dusza Jonatano-

wa z duszą Dawida i uczynił Jonatan z Dawidem przymierze, bo umiłował go jak duszę swoją“.

I rozmiłowała się w nim bardziej niż w duszy swojej córka Saula, pachnąca szkarłatna różyczka sarońska Michol.

A gdy z strun harfy swojej wydobywał cudną pieśń, wiejącą uroczystym spokojem pól kanaańskich i winnic dojrzewających w słońcu, umęczona niepokojem dusza Saula dźwigała się orzeźwiona. Król oczy przymykał i płynął duchem w ciche, niezmacone zaświaty...

A to grał przed nim nowy pomazaniec.

I on sam drogę do tronu mu torował, hetmanem nad tysiącem uczynił, Micholę mu dał, do rodziny przybrał.

Wreszcie los, złośliwie chichocząc, rozsunął zasłony. Saul przejrzał, zrozumiał — i zawył szaleńczym głosem. Przed nim wyniosły, olbrzymi stał cień Samuela i osłaniał Dawida, jemu zaś nieodwołałny i już się dopełniający wyrok odczytywał.

Jeszcze się nie upokorzył. Jak lew w sieci parskając i rycząc, rwał się, pienieł i miotał.

Lecz wszyscy już byli przeciw niemu.

Wołał do syna:

— Synu złośliwy a upornej matki, azaż nie wiesz, że po wszystkie dni, których syn Isajego

będzie żył na ziemi, nie będziesz umocniony ty i królestwo twoje!

A syn własną piersią osłania przed włóczęgą ojcowską tego, z którym spoił się duszą. I Michol — krew saulowa — oknem wypuszcza Dawida, kłamiąc jego chorobę. Wszyscy i wszystko go osłania, ludzie i rzeczy, swoi i obcy, ubodzy i możni, kapłani i księżęta, milczące puszcze i dzikie skały — wszędzie znajdował schronienie, chleb i miłe przyjęcie.

Zaczął się dziki pościg, w ciągu którego los jakby za boki się ujął i pękał z śmiechu urągliwego. Oślepy widzącego gonił! Połą swego szczęścia okryty, nietykalny, nieuchwytny umykał Dawid, wyślizgiwał się z rąk, zniknął by ukazać się w innym miejscu.

Był sam i bezbronny. Za zbrojnym Saulem ciągnął huf trzytysięczny — i Dawid nie dawał się ująć a Saul w ręce mu wpadał i dwukrotnie miał od wroga żywot darowany.

Umarł ci już Samuel. Ale to tylko starcze ciało umarło, duch zaś w chmurę na niebie saulowym stężała ugniatał go wciąż swą czernią posepną.

Zmęczyła się dusza Saula, zmęczyła już bardzo i taką gorzkością zaszła, której nic osłodzić nie może — jedna śmierć. Widział ją nad sobą — wszechlitosną i czuł, że dziwne zagadki jego życia ona mu rozwikła i jad ich gorzki ustami swemi zbierze.

... I znów — jak przed laty — promieniał Kanaan pogodą rosistego ranka. Śród łąnów dojrzewającego jęczmienia szedł połą ścieżyną samotny wędrowiec. Ptaszki mu dzwoniły pod cichem zasklepieniem nieba. Jaskółki przed nim leciały. Dłonią głaskał płową grzywę pola, które w lekuchnym podmuchu wiatru witało go szumem kłosów.

I zdala stary powitał go domek, śród jabłoni, które na płaski dach jego płatki kwiecia sypały. Białe lilje zazierały do okna.

Nic się nie zmieniło. Nie chciała Respha opuścić tych ścian, śród których wykołysała kiedyś swe szczęście, gdzie stały kołyski jej królewiąt i perłami dzwonił ich śmiech beztroski.

Tylko wewnątrz dłoń królewska bogaciej przybrała. Domek został ten sam i serca w nim wierne. I nie uwiędła jeszcze piękność Resphy trochę bladością powleczonea.

Zdało się Saulowi, że stargana przedwcześnie młodość wraca, bary mu prostuje i z serca zrzuca ciężar przeogromny.

Od progu jak niegdyś wyciągnął swe dłonie.

Ale mniej było okrzyków, mniej szumnej radości. Smutniej patrzyły oczy Resphy i było w nich lękliwe pytanie, co go sprowadza pomyślność, czy udęczenie? Nieśmiało podeszli syny jego, w różowości zorzy lat chłopięcych — piękni jak był ojciec.

W nim czas największą uczynił zmianę. Srebrzyły się białe pasma wśród czarnych kędziorów; w brózdzie rozorana była blada twarz; mętnie patrzyły oczy i gorzkość krzywiła usta.

Przycisnął ich wszystko troje do piersi w milczeniu; pogłaskał kędziorki chłopców i kazał im wyjść.

— Respho, — powiedział — zostawiłem swych zbrojnych pod wzgórzem i przybiegłem na moment jeden z tobą się pożegnać.

— W jakąż daleką drogę poseła cię, Saulu, nasz Pan zastępów?

— Droga blizka lecz powrotu z niej może nie być. Nasz obóz na Gielboa, a w Sunam Filistynowie. Dziś lub jutro stoczymy bitwę. Wielu synów izraelskich pożegna światłość dzienną aby jej więcej nie oglądać.

— Pan będzie walczył z tobą, — rzekła spokojnie — i przyda ci jedno jeszcze zwycięstwo do wielu twoich.

— Respho, ja będę zabity.

— Miły mój, czemu pozwalasz by czarne kruki przeczuć i próżnej trwogi szarpały ci serce. Zwycięzysz — ubłagam Pana — a za czasem i Dawid nie ujdzie rąk twoich.

— Dawid jutro obejmie królestwo izraelskie, na które zdawna pomazany. I mówię ci Respho dziś,

gdym świadom losu swego i Jonatana i na ziemię tę i wszystkie jej rzeczy patrzę jakbym już był od niej oderwany, — mówię ci, że godniejszego nad Dawida nie masz w Izraelu.

— Saulu mój, złe duchy kraczą nad tobą. Powiedz kto ci to wszystko oznajmił?

— Śmierć swoją czuję w sobie i rad jestem, że ochłodę mi przyniesie bo wszystko w mnie spalone jakieś i żar mam na ustach. A wczoraj duch Samuela, którego mi wieszczka z Endor wywiodła, potwierdził że dziś jeszcze ja i Jonatan z nim się połączymy. I temu rad jestem bo sprawę moją z Samuelem przed sądy boskie wyprowadzę.

— Przecz-że mi mówisz te wszystkie słowa, które siekają mi serce. Wziąłbyś włócznię i przebił mnie. Proszę cię o tę łaskę, niech nie wdziemam szat wdowich po tobie.

— Będziesz żyła Respho dla chłopaków naszych.

— Nie mówisz prawdy. Jeśli Dawid królować ma, pierwsze co uczyni pomny twej nienawiści — to zgładzi syny twoje.

— Nie. Słuchaj Respho, bo to właśnie przyszedłem ci oznajmić. Było to nieopodal jaskini na puszczy Engaddy, gdzie Pan podał mnie w ręce Dawida a on przecież mnie nie zabił — i tam mi zaprzysiągł że nie wygubi nasienia mego po mnie i nie wytraci imienia mego z domu ojców moich.

To przysiągł i tom ci miał oznajmić. Żegnaj Respho. Byłaś mi wonna jak snop mirry, miła jak lilije. Ostańcie z Panem.

Poszedł. Na usta jego zgorzkniałe, gdy raz ostatni obejrzał się za siebie, wydostał się uśmiech tego, co zbył rzeczy świata...

I tegoż dnia, gdy ukojny i cichy zapadał wieczór, z skalnych urwisk Gielboa widząc porażkę Izraela, przebił się Saul swym mieczem. By snąc wrogowie „nie czynili igrzyska“ z niego...

Tak umierają królowie, których królestwo nie z pomazania tylko, lecz z własnego ich ducha wykwita, przeto hardzi do ostatka.

V.

Zasiadł na tronie król Dawid. I ten z pośród pasterzy, od ziemi wzięty lecz z innych jej pokładów.

Śmierć Saula i Jonatana pozwoliła mu odstąpić pomazane czoło i uwieńczyć je koroną. Na wieść tę ujął harfę i ceniom przesładowcy swego, oraz druhowi wyśpiewał cudny, natchniony hymn:

„O góry Gielboa! Niech rosa i deszcz nie upada na was, niech nigdy na stokach waszych nie zazielenią się pola, albowiem tam porzucona jest tarcz mocarza, tarcz Saulowa. Nad orły lekciejsi, nad lwy mocniejsi byli Saul i Jonatan; miłujący się

za życia i po śmierci nie są rozłączeni. Bardzo mi cię żal bracie mój Jonatanie. Byłeś mi bardzo miłym. Więcej u mnie ważyła miłość twoja, niż miłość niewieścia“...

Saul był jak jeden odłam granitu. Ani spojeń, ani nitów, ani śladu jakiego cementu. Można go było zetrzeć na pył; można było ducha jego w obłąd wpędzić a ciało nasadzić na jego własną włócznię, ale nie można było ugiąć go, rzucić na kolana, wydobyć wołanie o łaskę i przebaczenie, nawet wtedy gdy w własnym jego mniemaniu walczył nie z człowiekiem tylko lecz z całą nieznaną, niezgłębioną potęgą niebios. I Samuel był skałą. Gdy więc starli się o swe miejsca opoczyste było to jak kataklizm jakiś w przyrodzie, jak bój żywiołów górami ciskających.

Artysta rzadko by był granitom podobny. Ziemia kładzie weń swe najprzedniejsze, bezcennie drogie kruszce i kamienie, ale tych ma niewiele, nie zdarza się przeto by człowiek odlał się w jednej bryle złota, jak niekiedy odłamuje się jednym złodem granitu.

W Dawidzie błyszczało z duszy ludu odkopane samorodne złoto poezji i sztuki, jaśniały dżamenty najszlachetniejszych uczuć, tryskał zdrój mądrości dojrzałej, a — naraz — sypać się poczynął

piasek lub ugięła się pod ręką miękka glina. Stąd szczególne sprzeczności.

Odważny do zuchwalstwa, lecz nie do pogardy śmierci jak Jonatan i Saul, z wielu stron dawał przystęp trwodze. Zwycięzca Goliata tak się bał króla Achisa, u którego szukał schronienia, że udał szalonego „i puszczał śliny na brodę swoją” — on, już pomazany na króla! Bał się ludu i łoskotu jego wzburzonej fali. Gdy płakał nad zwłokami miłego mu, choć wiarołomnego syna, przestrzeżono go że to się nie podoba ludowi, który w obronie króla przeciw synowi temu mężnie się potykał.

— Wstań, wynijdź a mów łagodnie do sług swoich, — rzekł doń Joab — boć przez Pana przysięgam, że gdy nie wynijdziesz, nie zostanie żaden z tobą tej nocy, a będzie ci to gorzej, niżli wszystkie zło, którekolwiek na cię przychodziło od młodości twojej aż dotąd.

Wstał tedy król i siadł w bramie i przyjemne uczynił dla ludu oblicze, choć płacz miał w piersi!

Wrogów swych miłował i osłaniał. Człowieka zaś, który nic mu nie uczynił jedno że miał ładną żonę, skazał na śmierć, na zimno, podstępnie ułożywszy jego zabicie cudzemi rękami. Śród czystych ekstaz włókł brudny sznur pospolitego grzechu, którym się opasał. Cały w swych psalmach, gdzie albo schlebia Panu by pogrom nieprzyjaciół a bło-

gosławieństwo dla siebie wyjednać, albo kaja się w prochu.

Ale duszą poety on istotnie wyczuwał Boga, widział go, dotykał usty i duszą, otwierał przed nim wszelkie swe skrytości, opowiadał mu wszystko — do najdrobniejszych frasunków, cieszył się jak dziecko łaskawym uśmiechem, łkał gdy Pan się zasępił. „Boże, mój Boże — czemuś mnie opuścił“. I przed cudne miał widzenie tej potęgi: „Któryś zasklepił na wodach pałace swoje, obłoków miast wozów używasz, na skrzydłach wiatrowych chodzisz...“ A Bóg to już wiele był łagodniejszy od Samuelowego. Znał litość „ojca nad dziećmi“ bo „zna, cośmy za ulepienie, pamięta żeśmy prochem“. Pełen troski tkliwej o wszystko, od zwierza polnego by miał gdzie ugasić pragnienie, do cedrów Libanu, które nasadził; dzikim kozom i królikom ten Pan dobrotliwy obmyśla ucieczkę; słyszy ryk głodnych lwiat... Umiał król Dawid wielbić, prosić, przepraszać i dziękować, ale czasem zdolen był i bezinteresownie zatęsknić do ochłody czystych przybytków Pańskich. „Wszak ci i wróbel domek swój znajduje i jaskółka gniazdo swoje, gdzie ptaszęta pokłada — u ołtarzów twoich. Albowiem lepszy dzień w sieniach twoich, niż gdzie indziej tydzień“. Modlenie było w nim.

A tak samo — czy śpiewał, czy grał, czy pisał — nie mógł inaczej czynić, bo to w nim coś gra, śpiewa, tańczy. Z weselem i trąbieniem prowadząc skrzynię Bożą z domu Obedodoma do swego — król skakał, pisał, nucił i grał. A gdy córka Saulowa Michol wymawiała mu brak godności i powagi królewskiej, on tem bardzo był zdziwiony.

— Przed Panem grałem, zawołał — i będę grał przed Panem.

To samo odpowiedziałyby jaskółka, konik polny, lub szumiące kłosa, które też dzwonią i szumią Panu. I ta bezpośredniość to był najcenniejszy w nim djament.

Ale spojeń w nim było wiele a w spojeniach kruchość.

...Już rok trzeci mdlała ziemia judzka w udęce suszy. Gorące podmuchy lata wysały z niej resztki wilgoci. Nadszedł zwykły czas deszczów lecz ani jedna kropla dżdżu nie padła na wyschlą pierś Kanaanu. Pomdlały macice winne i rodzić przestały. Mdłe źdźbła jęczmionów wychyliły się z spiekłej roli i pożółkły nie zawiązawszy kłosów. Łań, co na polu porodziła, opuszczała z jękiem swe młode bo nigdzie trawy dla nich nie było. Osły, wystawając po wysokich miejscach, nozdrzami chwytaly powietrze i wysuwały z pysków spiekłe języki. Błędnie, zdziczałem okiem, rozglądały się woły po

pustkowiu, które pamiętały soczystem zielonem pastwiskiem. Zawarty się źródła skalne co dawały napój zwierzowi leśnemu i polnemu. Padało martwe ptactwo łagodne, a dzikie — orły, sępy i kruki — chciwie rwało je i piło krew gołębią. Jękiem głodu i pragnienia nabrzmiały pola i lasy usychające, pełne szkieletów drzew i padłego zwierza.

A szafiry nieba były wciąż niezłomnie czyste i pogodne. Promiennosc ich stawała się okrutną i pełną grozy; raziła oczy i dławiała duszę. Ziemia legła u stóp oschłych sklepień niebios jak schorzała, z ziejącemi żarem usty.

Ludzie biegli od cysterny do cysterny i wracali pomieszani, z próżnemi naczyniami. Oracz wychodził na pole, patrzył na spękaną, w kamień obróconą ziemię i powracał z opuszczonemi rękoma, w zawstydzeniu nakrywszy głowę. Ludzie nie śmieli patrzeć sobie w oczy, lub patrzyli podejrzliwie, szukając w kim jest ta wina, za którą tak są karani. Bowiem ziemia Kanaanu ma rozpoznanie zła i dobra i raczej cała uschnie lub zapadnie się w czeluście, niż pozwoli by deptała ją stopa zabójcy, cudzołóżnika lub bałwochwalcy...

Zaczęto wyciągać stare urazy, dobywać zapomnianych krzywd, szukać zaschłych śladów krwi, dosłuchiwać się zbrodni...

Poszło szemranie wielkie, zakłębiły się złości.

I doszedł ten pomruk do Dawida.

Stroskany pytał:

— Czyjaż włość wina? Czyj grzech dowiedziony, głośny, a bezkarny.

Odpowiedziano mu:

— Jak głodne z jaskiń wypędzone niedźwiedzie najgłośniej porykują Gabaonity, że bezkarną została krzywda, którą Saul im uczynił bo z gorliwości dla synów judzkich i izraelskich chciał z granic tej ziemi wypłenić Gabaonitów jako nie są oni z synów Izraela.

Przywołano ich. Stanęli przed królem mężowie z Gabaonu prawdziwie jak niedźwiedzie zgłodniałe, którym boki zapadły, a ślepią krwawo błyskają.

Dawid łagodnie do nich przemówił:

— Cóż mam wam uczynić, czem was ubłagać abyście przestali złorzeczyć tej ziemi, dziedzictwu Pańskiemu? Zostało saulowych bogactw wiele, mam-li wam je rozdać.

W dzikim uśmiechu obnażyły się ich zęby.

— Nie nasycim się, rzekli, ani pragnienia nie ugasimy złotem i srebrem Saula. My pomsty głodni. Chciał nas wypłenić, my chcemy jego nasienie wypłenić. Daj nam syny i wnuki Saula.

A przed domem Dawida, jak okiem zasięgnąć, wzgórze okryły się ludem.

Dawid zasłonił oczy. Nie przysiągł — że tam, na puszczy w Engaddy...

Lud mruczał:

— Za ojca niech będą wydani. Czas przebłagać Pana. Ziemia wyschła i pierś matek wyschły. Dzieci głodne, my głodni. Co tam król mówi?

Rzekli mężowie z Gabaonu:

— Wydaj nam siedmiu tylko z domu przeklętego, a powiesimy je Panu w Gabaa, które ongi było Saula. — Wydasz li je?

— Wydam — rzekł poblady.

Było w nim złoto za oprawę drogim kamieniom, zaś królowi, co o życiu i śmierci, nagrodzie i pomście stanowić ma, bardziej granit przystoi.

I potoczyły się mrukliwe fale za pędzącą przodem gromadą dzikich gabaonickich niedźwiedzi, obliżujących się na smak krwi. Toczyły się płowogrzywami ongi, dziś wypalonemi polami ku domowi, gdzie od suszy uwędły jabłonie i pokładły się lilje zczerniałe.

Zdało się Resphte, że słyszy wołanie: „Saul, Saul“ jak niegdyś, gdy chciano go za króla, ale dziwnie złowrogim był teraz ten głos.

Wybiegła jak lwica dysząc ciężko.

— Daj nam syny przeklęte, wołano.

Głos uwiązał w jej gardle, lecz szarpnęła się i drzwi zastawiając sobą ręce rozwiódła szeroko, jak orlica nad orlęty.

— Daj syny.

W zdławionym gardle zacharczał jej głos:

— Przysiągł Dawid, że nietknięci będą. Pytajcie króla.

— Król je wydał, głupia niewlasto — wrzaśli. Za zbrodnie twego Saula wydani są by lud nie był wygubiony. Pan żąda z nich ofiary.

Obalili ją. Przeszli po niej. Porwali młodzieńców, związali bijąc i wykręcając im dłonie, niecierpliwi chwili gdy krew popłynie. I ponieśli ich do Gabaa, dokąd przywiedziono i pięciu wnuków saulowych, synów Meroby. Do Gabaa — Saula, gdzie ojciec i dziad tych siedmiu chodził w koronie!

Śród skał, za miastem, umęczono ich i drgające w bólach konania ciała zawieszono na siedmiu słupach „na górze, przed Panem“.

By Pan widział i ulitował się nad ludem.

„I umarli oni siedmiu pospołu“, a było to na początku czasu, kiedy zazwyczaj żniwo się poczynało jęczmionów, lecz teraz żać nie było co.

Rozchodząc się patrzył lud na niebo czy już nie nadciągają chmury deszczowe, bo wargi mieli spiekłe, a krew ich nie orzeźwiła.

I za ludem odeszło stąd do swej otchłani cicho stąpając widmo nieszczęścia bo wypełniła się ta przyszłość, w którą ongi zapatrzyły się jego zimne, nieruchome oczy...

V.

Zostali śród skał i urwisk — martwi.

I jak martwe, na kupie kamieni, w zapadlinie góry rozciągnięte ciało Resphy.

Ale życie w niem było. Ciche jego drgania niepokoiły szakali, które gdy noc zapadła, z wolna jak cienie z ukryć skalnych następować poczęły.

Zawył jeden — i drugi po nim.

Zajęczała noc głosem wygłodniałego zwierza.

Gdzieś załopotwały skrzydła obudzonego kruka czy orła.

Ocknęła się Respha i jak widmo stanęła na skale przed siedmiu słupami. Gdzieś w dole słychać było szmer czyniony przez spłoszone zwierzęta, a potem rozległo się ich chóralne, pełne jęków i skarg wycie. Podniosła Respha kamień i rzuciła go w tę jęczącą przepaść, potem z krzaku ułamała gałąź i pod słupem Armoniego usiadła skulona.

Tu rankiem zastało ją kilka niewiast z Gabaa, w których czasu tej suszy nie wyschła była jeszcze litość.

— Respho, pójdź do domu, prosily. Nie gniewaj Pana by czasem nie odtrącił tej ofiary, którą dla ubłagania jego z synów twoich uczyniono.

— Dobrze mówicie — rzekła — i ja proszę Pana by za tę krew młodą dał deszcz ludowi. Lecz patrzcie jakie niebo pogodne. Gdyby wiatr strącił

które ciało lub sznur przegnił i spadłoby, a szakale by je poszarpały i kruki odzłobały zanim chmury deszczowe nadejdą, to może i ofiara byłaby za nic. Więc będę strzegła te martwe. A was o jedno proszę, przynieście mi wór włosiany, abym miała czem za dnia od żaru się osłonić, zaś w nocy podesać na skale.

A gdy przyniosły jej wór i nieco posłtku i czem ognisko rozpalić, rzekła:

— Jeszcze was o jedno proszę. Powiedzcie — proszę — Dawidowi, że nie odejdę stąd póki nie spadną deszcze i póki król nie nakaze martwe te pogrzebać z czcią jako synom królewskim przystało.

Poniesiono te słowa Dawidowi i bardzo jęczała dusza jego, a nie śmiał przyganić Resphie, bo istotnie było odwiecznym zwyczajem by trupy powieszonych tak długo zostawały na słupach, póki Pan nieda znaku, że dał się przebłagać. Lecz długo w noc bezseną dręczył go obraz tej kobiety, co wśród wycia psów i szakali strzeże powieszony syny. Gdy sen nie przybywał, ujął Dawid harfę i trącił o jęklive jej struny.

„Zemdlałem i startym jest bardzo — śpiewał w psalmie.

„Kiedyż karać nas przestaniesz, Panie!“

Deszcz nie upadł ani nazajutrz, ani dnia trzeciego, ani siódmego, ani dziesiątego. Przeszedł

miesiąc i drugi i początek czasu, gdy zawždy deszcze się poczynają.

A Respha wciąż strzegła zczerniałe i jak przy ognisku uwędzone ciała. W dzień oganiała je od orłów i kruków; w nocy odstraszała zwierza roznieconem ogniskiem.

I co noc wracała ta sama gromada, w okrąg otaczała skałę z powieszonemi i wyła żałośnie: „My głodne, głodne, czemuż nam bronią trupów“.

Czasem zachodziły na skałę i blisko się podsuwały. Raz ujrzała Respha na krawędzi skały wygięty grzbiet jakiegoś nowego zwierza. Gdy skała w rozpadlinę oświetlił go płomień ogniska; dojrzała rozsypane po rudawej szerści jego czarne okrągłe plamy. I wnet, gdzieś opodal, słyszeć się dał ryk lamparta pustyni.

Zrazu gniewała ją ta natrętna wygłodzona gromada. Czasem, chwyciwszy głównię porywała się od ogniska i sama jak zwierz błyskając wyszczerzonemi zębami biegła na nich tak straszna, że wszystko to pierzchało daleko. I ledwie już dochodziło ich przycichłe, smutne, głodne wycie.

Ale po miesiącu jednym i drugim przywykła do nich. I jakby jakieś stanęło jej z niemi przy mierze. Czy urzekła ich, czy coś im przyobiegała, bo czasem i ognisko zagasło i coraz się zwężał krąg świecących łakomie oczów — i ona była jak

martwa i gdzieś blisko, jakby tuż za krawędzią skały odzywał się lampart i rozmaity zwierz zachodził i węszył zapadniętymi od głodu robiąc bokami, a ona była nietknięta. Co rano słońce widziało ją na tem samym miejscu skuloną, wyschlą, czarną, w opadających łachmanach lecz żywą, cudną ongi Resphę Saulową.

Wreszcie upadł deszcz na spiekotę Kanaanu, na lud wynędzniały, upadł wśród gniewnych błysków nieba i łoskotów gromów.

A gdy deszcz upadł powiedziano Dawidowi, że Respha z skały nie zeszła i strzeże powieszzone.

Ruszył się tedy król Dawid, a przypomniawszy, że i kości Saula i Jonatana dotąd jeszcze do grobu ojców, na spokój wieczny nie były złożone, poszedł zabrać je z Jabes Galaadzkiego. Bo po bitwie pod Gielboe zacnych mężów kilkoro nocą, ukradkiem zdjęło obezglowione zwłoki tych dwu — króla izraelskiego i jego syna, na ścianie Betsańskiej przez Filistynów, na urągowisko przybite, i pogrzebali je pod drzewem w Jabes Galaadzkim. Zabrał je stamtąd Dawid, a również kazał wziąć z słupów szczątki siedmiu powieszonych na górze Gabaa przed Panem i kości te wszystkie społem z czią pogrzebał w Sela, w grobie Cysa, ojca saulowego. Tak tedy prochy mężów tych i synów i wnucząt w jednym spoczęły miejscu, na cichą wieczność.

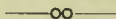
Ale — rzecz dziwna — choć z słupów wszystko zdjęto, w noc po pogrzebie jeszcze się tu zjawiała Respha. A nie miała nic w garści ani kija, ani nic do rozniecienia ognia. Na zwykłym miejscu usiadła skulona i czekała na towarzysze swoje. Z zacieni skalnych cicho powychodzili. Jedna i druga — i wiele par oczów, łakomie świecących w krąg, jak paciorki na nić nanizane, otoczyło ją posępnym różańcem.

Wtedy przemówiła do nich łagodnie, jakby rozumieć ją mogli:

— Otom uczyniła z wami przymierze i obiecałam wam, że gdy syny moje stąd wzięte będą i pogrzebione, ja was głodnych i o kość żebrzących nakarmię! Ale nic nie mam nad moje ciało wyschłe. Weźcie je tedy i pożywcie się.

A gdy żadne się z gromady nie ruszyło, osunęła się Respha na ziemię i przyległa cicho. I długo była cisza, a ona czy usnęła, czy duch z niej uleciał... Aż rozstały się szakale, doskoczył zwierz królewski, lampart z pustyni i pierwszy na niej łapę położył.

... Nad światem przeleciało Westchnienie.



PIEŚŃ.

Przypomniały mi się dwie niegdyś słyszane rzeczy i radbym je opowiedzieć, ale nie potrafię tego uczynić w słowach, w jakich sam je słyszałem, bo było to już bardzo dawno, a powtórę — rzeczy te zbyt długo żyły we mnie, przełamały się w mojej duszy, oblepiły jej cząsteczkami — i dla tego dziś mogę je powtórzyć tylko „swojami słowami“.

Pierwsza — to pieśń. Jej wątek tylko został mi w pamięci, strofy całej ani jednej. Śpiewała mi ją przed laty dziewczyna, ot — ładaco, niedobra dziewczyna. Nawet o cień tkliwych uczuć jej bym nie posądził, a przecież — gdy wyśpiewała mi to, w oczach jej były wielkie łzy, te najcudniejsze z brylantów, w których lubi przeglądać się Bóg. I choć je szybko otarła — wiedziałem już, że pod stwardniałą grudą błota, spodem gdzieś, w jej piersi szmerze czyste, nieskalane źródło tkliwości.

Jej pieśń i druga, dawniej jeszcze, już nie pamiętam od kogo zasłyszana bajka, którą potem z kolei opowiem, — mają wspólny motyw taki. Cierpienie jest pospolitym objawem; jest go tak wiele,

że nikt, nawet Bóg nie może sobie zaprzętać głowy wszystkimi, których coś boli. Ale czasem jest ono tak okropne, krzywda tak okrutna, że krzyk jej biegnie przez zaświaty i Bóg strwożony schodzi sam na ziemię, ukazuje się „w osobie“ i ze wzruszeniem wielkiem przytula do boskiej piersi swe nadmiernie zbolale stworzenie.

Tak się oto dzieje i w pieśni i w bajce.

... Ożenił się chłop z wybraną swą dziewczyną... Byli oboje z tego ukontentowani, ale cóż — nie mieli dzieci. Lata mijały — nie było. Chłop się tem markocił, ale nie tak znów wiele. Kazano mu odprawić jakieś praktyki religijne — odprawił. Kazano mu pójść do znachora i posłuchać jego rady — posłuchał. Gdy nic to nie pomogło, przestał sobie głowę zbytnio tem zmartwieniem nabijać, na co zresztą i czasu nie miał — cały dzień za domem, w robocie. Ale z babą było gorzej.

Może nie tyle była zapracowana, może prędzej z domową robotą uporać się mogła, dość że miewała chwile zadumy — i choć brała wtedy wrzeciono, ale palce jej wprędce nieruchomiały, a głowa smutnie opadała na piersi. Cała wtedy uchodziła w ciche, tęskne, trwożne wsłuchanie się. W siebie się tak wsłuchiwała czy nie dosłyszysz pierwszego szmeru rodzącego się życia, czy nie wyczuje pierwszego upragnionego drgnienia.

Ale cisza była w jej łonie, tylko z ciszy tej jak opar się podnosiła i zasnuwała ją całą — coraz gęstsza, z dnia na dzień silniejsza tęsknota...

Szły lata — i ludzie, patrząc na chłopca, z politowaniem kiwali głowami: „Biedak, żonę ma warjatkę“. Bo nieswoja taka jakaś się stała, tak cała uszła w tę swoją tęsknotę, w siebie się zamknęła i tak nieochotnie i czasem nie do rzeczy odpowiadała... Więc myślano, że źle słabą jej głowinę obłąkało.

Chłopcu bardzo jej żal było — i za nic najmniejszego nie czynił jej wyrzutu, choć widział, że i robota już jej się nie sporzy. Pewnego dnia do domu wróciwszy zastał ją przy kołysce, w której na posłaniu z siana klocek dębowy z gruba ociosany ułożyła i z dziecinnem na twarzy uradowaniem kołysała to drewniane dziecko. I wtedy nic jej nie rzekł.

Tylko usiadł gdzieś w kącie i twarz dłonią przysłonił, a choć chłop był twardy, spracowany, do czułości nieskłonny — coś mokrego między palcami mu się sączyło...

Teraz ona miała swą jedną zawsze rozrywkę, z niego zaś ludzie się śmieli. „Lepiej spralbyś babę, a do roboty ją napędził, — mówiono — niż pozwalać jej na taką warjacką i nawet grzeszną zabawę“.

On na to ręką machał i słowem jej nie przymówił.

A ona nawet poweselała i na wybladłe liczko lekki powrócił jej rumieniec. Już nie zastawał jej w takiej martwej jak dawniej zadumie, kiedy nawet z kąta się nie ruszyła, nawet okiem po nim nie powiodła — gdy wracał. Teraz ledwie nogę za próg przełożył, porywała się od kołyski i, witając go przyjaźnie, ręce mu kładła na ramiona i patrzyła mu w oczy z takim w swoich rozradowaniem, z taką roześmianą obietnicą, że w nim aż dech spierało i słodki szedł po nim dreszcz.

Ale gdy chciał zacząć rozmowę, kładła palec na ustach i wracała do kołyski, którą całą muślinem ostoniła — i z troską w nią zapatrzona znów kołysała, kołysała bez końca, przyspieszając to ciszey, to głośniejsz; „Luli, luli...”

Chłop w milczeniu ze spuszczoną głową jadł wieczerzę, gdy zaś spojrział w tamtą stronę i pomyślał, że pod muślinem wykołysuje się klocek dębowy — piołunem mu zachodziła strawa, kładł łyżkę i szedł do swego kąta. Ciężko jak kłoda walił się na pośłanie — spać, spać, nie widzieć, nie słyszeć...

I nieraz, gdy w nocy się obudził — wciąż jeszcze słychać było miarowy stuk kołyski. Wtedy prawie strach go zdejmował. Przed ciemnym świętym jakimś obrazem lampka się dopalała, knot skwierczał, coraz głębiej uchodząc w wodę; światło

to przygasało, jakby zdławione zewsząd napierającym, zgęstniałym mrokiem, to wybuchało nagłą jasnością, od której cienie się rozlatywały, opuszczały w dół, kołysały po ścianach i łopoczącemi bezgłośnie skrzydłami muskały główkę nieruchomą, wspartą na ręku — cierpliwą, upartą, niezmorzoną...

Nieswoim jakimś wtedy głosem prosił:

— Andziu, a połóż-że się przecie...

Wreszcie doszło do tego, że ona od tej kołyski już wcale nie odchodziła. W oczach jej paliła się gorączka, na twarzy zastygło jakieś bezdennie trwożne oczekiwanie i niepokój.

Kołysze, kołysze, a naraz poderwie się i przypadnie głową do owego muślinem osłoniętego drewna — i słucha, a słucha; dziwne ognie przebiegają jej po twarzy i w wejrzeniu coś dzikiego błyska. Toczy okiem dokoła niczem tygrysyca strzegąca swych małych.

I znów kołysze, i znów przyspiewuje — luli, a w śpiew jej wrywają się raz po raz przenikliwie jakieś akcenty — ni to tryumfu, ni to na trwogę.

Zmarniało im gospodarstwo i jedna tylko została krowina. Zwiedzieli się różne oszusty, że tam kulawo idzie i oto raz — gdy chłopca nie było — wsuwa się do izby ktoś z ryżą, śpiczastą bródką.

— Sprzedacie krowę, gospodyni?

Nic nie rzekła, ręką tylko machnęła żeby szedł sobie. Wyszedł, ale za chwilę już dwu ryżych było.

— Gospodyni, wy nam krowę sprzedacie, bo tak powiedział gospodarz. Un nam powiedział, żeby my za nią zapłacili wam pięćdziesiąt rubli. Nie macie się co spierać bo to już targ skończony.

Szarpnęła się, żeby ich wypędzić, ale naraz coś do miejsca ją przykuło. Głowę przychyła do kołyski, słucha a cała krew jej uszła z lica. Dziko zamachała rękoma.

— Idźta, idźta ludzie, idźta precz!

— Już pójdziemy, już zaraz pójdziemy, gospodyni, tylko weźcie od nas te pieniądze. No, już weźta przecie... Ot, patrzajcie — gospodyni — my kładziem je tu, tu.

Coś wsunęli pod poduszkę.

I poszli — krowę z sobą powiedli.

Wpada chłop na odwieczerz, a ludzie mu już na drodze powiedzieli — że baba krowę sprzedała. Trząśł się, jak liść osiczyny.

— Gdzie krowa? huknął od progu.

A ona palec na usta swe kładzie, cichość jemu nakazuje.

— Gdzie krowa — suko ty zaprzepaszczona — gdzie pieniądze?

Rękami rozwiedła — pomieszana; na poduszkę wskazała.

Chłop sięga — tam brudnego papieru kawałek.

Uh — ryknie, jak nie chwyci siekierę i ciosem, co dębu by rozłupał, jak wytnie w nakryty muślinem pień...

I wtedy to ten straszny w zaświaty uderzył krzyk:

— Zabiłeś!

Szkarłatnym strumieniem krew z drewna tryśnięta...

Runął chłop rozpaczą podcięty — i cisza nastąpiła.

W tę zgrozę krwawą, rozpaczną — z przestworzy wywołany i sam pomieszany zeszedł wtedy Bóg. Matkę, ojca i to z cudu jej miłości już poczęte dziecko zgarnął w swe ramiona i — uchyliwszy pomoc aniołów, którzy służyć mu chcieli — ostrożnie i czule poniósł sam wszystko troje, do siebie.

OPOWIEŚĆ DRUGA.

OPORTOŚCI DRUGA

Innym znów razem było tak.

Miał chłop konia — starą strudzoną szkapę, z zapadniętymi bokami, skrzywionemi nogami, szerścią gdzieniegdzie powycieraną od niewygodnej uprzęży, śladami strasznej oparzeliny na zadnich nogach oblanych kiedyś kwasem siarczanym z spadłej z wozu butli. Długą a niewesołą historję opowiadały jej sterczące gnaty, blizny liczne, skaleczenia, narośle dziwne i smutek bezbrzeżnie łagodnych oczu.

W tej rodzinie chłopskiej lata długie już przebył i zżył się z nią. Jego przyjaźń i życzliwość dla niej wyrażała się w tem, że swoją niezmiernie ciężką służbę pełnił jakoś ochoczo. W pierwszych latach gdy los sprzągnął go z nimi, pracował z poddaniem się biernem jak każda istota przyniewolona, do niczego z dobrej nie przykładając się woli. A z czasem — dobra wola właśnie coraz była wyraźniejsza.

Szło to zapewne — taką drogą. Najpierw do nich wszystkich się przyzwyczaił. Gospodarz — towarzysz jego przez dzień cały, prędko do bicia,

hojny na razy zgoła niepotrzebne — ot tak, iż ręka bezczynna świerzbi a na sercu niewiadomo czemu niecierpliwość wzbiera — lecz z tem wszystkiem na pamięci mający, aby worek z obrokiem we właściwym czasie jemu podwiesić; baba, co mu wieczorem kubek świeżo zaczerpniętej chłodnej, jak kryształ czystej wody podaje; — i starszy wyrostek co latem, nocą, oklep na nim gania na pastwisko, gotowy zawsze do swawoli, która i w koniu jakieś przypomnienie młodości budzi; i dziewczynka też do zbytków skora i — byle sposobna chwila już hyc! mu na grzbiet, próbuje jazdy, targając go za resztkę wypłowiałej grzywy — wszyscy oni nie byli to już jacy tam pierwsi lepsi ludzie, lecz wybrani z mrowia obojętnych, kręcących się po świecie, i związani z nim tysiącem nici. Gdy rodzina się powiększyła, matka pewnego słonecznego popołudnia wyniosła na dwór otulone w jej chustę coś małego, różowego, ładnego i podetknęła mu to pod sam łeb.

— Pats i ty. Ucies się, bo to twój dziedzic!

I on to obwąchał, dotknął pyskiem różowego ciała, parsknął i dostał porządnego klapsa. Być może jednak, iż tej właśnie chwili poczuł, że wszedł do rodziny.

Odtąd nie było to już przyzwyczajenie, lecz przywiązanie. A że w przywiązaniu tkwią zawsze pierwiastki troski i dbałości o los swoich i że każde

uczucie czyni przenikliwszą głowę — więc łatwo już teraz uchwycił przyczynowość, istniejącą między jego ciężką pracą a dobrobytem tych, których pokochał.

Chłop siedział na małym bardzo nędznym kawałku roli. Długa wążka płaska tej ziemi zaczynała się górką oślepijaco wyiskrzonego białego piasku, która chyba do tego tylko służyć mogła, do czego służyła — za cmentarz zdechłych bydła. Tu wyciągano ich zwłoki; spuszczone z łańcuchów psy nocą, dniem zaś wrony i kruki rozprawiły się z padliną; deszcz i słońce bielilo szkielety i od białości ich — póki sypki piasek nie wessał kości — jeszcze bardziej iskrzyło się bezpłodne wzgórze. Od góry ku chacie idąc, w długiej wstędze trafiały się kawałki nieco lepsze i znów nieco gorsze; dopiero za drogą był błogosławiony „dołek“, w którym ziemia czerniała i tam, gdy rok suchy, ładnie obradzały kartofle, no a w mokry gnily. Za mało było wszystkiego, żeby przekarmić rodzinę i konia.

Ratowało ich to, co zarobił chłop zwózką. Budowano stacyę w pobliżu, była fabryka jakaś, wynajmował się z furmanką i koniem — i żył.

Z początku trudno było koniowi ustalić związek, jaki zachodzi pomiędzy tem, ile razy on — wożąc kamienie, zwir, cegłę lub żelastwo — obróci z furmanką od miejsca do miejsca — a nastrojem

domowników, ale cały szereg faktów, które mu się wyłobily w pamięci, pouczył go, że im bardziej on się namęczy, tem ów nastrój jest weselszy; im mniej — tem ciępszy; gdy zaś się trafi, iż roboty niema, i cały dzień z gospodarzem przestoją bezczynnie, oczekując na zażądanie — to wszystko w domu chmurą zachodzi. Głodny głodnego zawsze przewacha; koń pojął, że chmurny nastrój bywa oznaką głodu. Wreszcie kiwnąwszy łbem powiedział sobie:

— Rozumiem o co idzie.

I stosownie do tego postępując, był istotnym rodziny całej żywicielem. Nie czuł się nieszczęśliwym. Ciężko bo ciężko, ale były przecież chwile ulgi i wypoczynku. Ot, słońce siada za borem, bydło wraca do domu — i oni z gospodarzem wracają. Ledwie między opłotkami zapach swojej wsi go obleci, znów odrobiną rzeźkości krzepł się jego niesłychanie zmęczone ciało. Powieki, co cały dzień ociężale opadały mu do pół oka — podnoszą się, wejrzenie już rzeźwiejsze, łbem potrząchuje z jakimś niezwykłym rozmachem.

Dom. Swój dom! Miło jest rozejrzeć się po obejściu i upewnić, że wszystko jest, jak być powinno — i nikogo nie brakuje ze swoich. Zdejmują uprząż. Dobra chwila. Otrząśnie się, jakby jednym zamachem chciał zrzucić brzemię mozołu i zmęcze-

nia. Jest wolny, będzie sobie szczypał trawę koło domu, wytarza się na swoich śmieciach. Będzie się czuł przy swoich.

Lubił koń ciche, letnie, księżycowe noce. Nie zamykano go, bo miał czujną straż z zawziętego kundysa i zresztą ktoby się łaszczył!

Całą noc — krótką, jasną, pod świt pieszczącą chłodem — wałęsa się z miejsca na miejsce po całym obejściu. Kundys zaszczeka i ujadając pomknie dokądś. I on za nim [wolno [stąpa, wyjdzie na drogę, rozejrzy się. Nic szczególnego. Droga pusta. Senny, srebrny świat. Spokój, który niewiadomo po co psy mącą.

Zawróci i pójdzie w drugi koniec, gdzie widać wielki obszar pól, pławiących się w rozpylonem, błękitnawem świetle; w dali bieleje cmentarzysko zwierząt. Uroczysta cisza, której słuchałoby się bez końca. I koń słucha długo.

Ale przypominają mu się swoi. Zawraca ciężkim krokiem i podchodzi do domu; czasem przystanie koło okiennicy, słucha, chrapliwie wciąga dech — jakby chciał się upewnić, że oni tam są; czasem zacznie się czochać o słup ganku. Z wnętrza zaspany głos pyta:

— Kto tam?

— Cicho, głupi, to śkapa — strofuje ktoś drugi.

Tak, to wasza szkapa — potwierdza w duchu koń. Gdyby mógł przemówić, dodałby:

— Śpijcie z Bogiem.

...Cała ta skromna pomyślność wisiała na jednej słabej nici — wątłych siłach starej szkapy i urwała się — jak się rwą nici — odrazu a nie w porę.

W niedzielę którąś — jak zwykle pojechano do kościoła i wrócono dobrze po południu, gdy już słońce opuszczać się zaczęło, — w liczniejszej kompanji, bo kilku kmotrów i kumoszek do chłopa się w odwiedziny wybrało. Powrót był wesoły, ludziska już utraktowani, a w domu nowy zaczął się częstunek. Aż wbiega roztargana dziewczyna:

— Tatu, śkapa zdycha!

Już w powrotnej drodze koń niezwykle bokami robił, ale na to nie zwrócono uwagi. W świecie złud, powstających z oparów wódczanych, nie dostrzega się lub pomija dużo rzeczywistości.

Gromadką całą pobieżono i okazało się, że koń istotnie kończy życie. Jakaś godzinę spędzono koło niego, radząc, próbując postawić go na nogi, różne stosując środki. Wreszcie ktoś zawyrokował:

— Nic z tego nie będzie. Ostawcie go — a lepiej zaciągnąć odrazu na górę, niech tu na oczach nie leży. I sami goście po miękkiej, zielonej miedzy zawlekli szkapę ku błatemu cmentarzysku.

Szło już tylko o to, aby frasunek gospodarzy rozproszyć i humor ogólny przywrócić. Mdły, ułudny opar wódczany znów to sprawił, iż klin troski stał się niebolesnym. Późno w wieczór, gdy wielki księżyc już wzeszedł, niepewnie stąpająca kompanja odprowadziła kumotrów na koniec wsi.

... Tymczasem koń konał. Dręczyło go pragnienie, wyschły język nie znajdował odrobiny wilgoci, wysuwał się szukając jej nazewnątrz — i zamiast rosy zgarniał sypkie ziarna piasku. Dręczyło go niezrozumiałe jego osamotnienie. Okiem, w którym zbległa się resztką życia — słał ku widniejącemu niedaleko domowi nieustanne, uporczywe przywoływanie. Wołał gospodarza, gospodyni, wołał wyrostka, dziewczyny, kundysa. Wszyscy swoi byli mu przytomni w myśli.

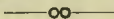
Noc kładła się wokół. Srebrna cisza zamknęła się nad nim w obojętnym, bezdennym przestworze. Coraz to bezsilniejszy łeb podnosił się jeszcze i okiem słał jedno i to samo przywoływanie. Aż cicho zajęczał i powiekę opuścił przed jakąś straszną, bezlitosną prawdą...

A wracali wtedy jego gospodarze miedzą dla skrócenia drogi i gdy byli kole górki, tknęło ich coś by zajrzeć do szkapy. Lecz gdy się zbliżyli w uroczystej ciszy nocnej — jakaś moc wstrzymała ich w miejscu.

Opowieść druga.

Było to w chwili, gdy Bóg w widomej osobie pochylił się nad koniem, ujął łeb jego w swe ręce i boskiem okiem wchłonął ostatni, zachwycony, wdzięczny błysk gasnącego wejrzenia szkapy...

I ciche krzyki doleczą w zaświaty.



SZKLANY DZWON.

W jakimś zagłębieniu duszy, na dnie jej, gnieździło się w mnie dawniej uczucie sieroctwa. Przychodziły chwile, iż z swego ukrycia wypęzało ono, snuło się po duszy, jak dym cierpki podnosząc się coraz wyżej, aż mnie całego spowinęło.

Dziwne i dręczące miałem wtedy wrażenie. Zdawało mi się — jakby to określić? — że człowiek tylko pozornie zbliżyć się może i przytulać do innych. W istocie zaś każdy z nas ma swój szklany dzwon i w nim się porusza, on idzie za człowiekiem wszędzie — niewidzialny i nieodstępny towarzysz, a zarazem nieprzenikniona między nami zaporą.

Zjednoczyć się, wtulić się w czyjąś duszę! Będziesz się łudził, że to jest możliwe póki naraz, pomiędzy tobą i drugim, nie wyczujesz czegoś chłodnego, ślizkiego — szklanej ściany tego dzwonu, w którym zamknięty jesteś na wieczne osamotnienie... I pocałunki są złudzeniem, i uściski są złudzeniem. Zbliżamy usta do ust, ale całujemy przejrzystą, zimną, nieprzeniknioną powłokę — nasz dzwon — i po ślizkiej jego powierzchni zesuwa się dłoń szukająca uścisku.

...O zmierzchu pewnego dnia, na schyłku zimy, szedłem — obcy przybysz — w zwartym tłumie, który zalał ulicę w Ł. W każdym prowincjonalnem mieście jest taka ulica, a nawet tylko jedna strona jakiejś ulicy, gdzie o pewnej porze wylega wszystko, co żyje. Już po drugiej stronie przechodni mało, na przyległych pustki, a tu — procesja, mrowie depczących sobie po piętach, parotysiężne towarzystwo, spacerujące — od rogu do rogu. Dzień był zda się świąteczny.

Posuwałem się krok za krokiem pomiędzy gromadkami panien, uczniów, oficerów, cywilnych, żydów eleganckich i chałaciarzy, wieśniaków przybyłych pogapić się, wieśniaczek, dla których naza-jutrz wspomnienia tego spaceru będą rzeczą godną opowiedzenia.

Młodzież szła ramię przy ramieniu lub trzymając się pod rękę. Samotnemu przechodniowi w takim tłumie ciasno jest jakoś i niezręcznie; przepychają go z miejsca na miejsce. Los mój podzielała bardzo młoda dziewczyna, również sama. Fala ludzka po kilkakroć już to zbliżała nas, to znów oddalała. Już mi zginął z oczu jej czarny aksamitny berecik z czarnem piórkiem — i znów znalazł się tuż przy mnie.

W wdzięcznym owalu drobnej, bladej twarzy osadzone ciemne oczka musnęły mnie nie-

pewnym spojrzeniem. Miły miała wyraz i miłe spojrzenie, ale jakieś ulatujące — jakby się trwożyło lub wstydziło. Gdzieś, kiedyś widziałem już takie oczka, które wzrokiem wciąż gdzieś lecą, czegoś szukają i nie znajdują punktu, rzeczy, człowieka — nic, w co by się wpatrzeć mogły dłużej.

Była jeszcze bardzo młodą, jakby dopiero z lat podlotka wyszła — coś dziecięcego nawet grało jeszcze w jej twarzyczce, ale nie było w niej niefrasobliwości, kokieterji, roześmianego zuchwalstwa szesnastu lat. Szła zachmurzona i taki wygląd musiała mieć zawsze.

Chwila obserwacji pouczyła mnie dużo. Ten tłum znał siebie oczywiście w każdej swej części. Aksamitny berecik z czarnem piórkiem był mu wiadać znany. Trzymające się pod rękę szeregi panien usuwały się od niego, a młodzi ludzie mijając go wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Źle więc z czarnym berecikiem... „Własność ogółu“! Nie wiem czemu przyszło mi wtedy na myśl to właśnie wyrażenie, zasłyszane kiedyś — w sądzie. Pod sądną była dziewczyna, której zarzucano lekkie obyczaje. Sędzia ją nazwał „własnością ogółu“!

To dzięki słowo głęboko utkwilo mi w pamięci.

A czy też w tem dziecku jest jeszcze coś jej własnego, po co nikt nie ma prawa sięgać? Zdaje mi się, że to była jedyna myśl, jaka poprze-

dziła chwilę, kiedy wyminąwszy szereg rozdzielających nas osób, podszedłem do czarnego berecika i w głos zapytałem, czy pozwoli mi sobie towarzyszyć. Było to w miejscu, gdzie kończyła się przechadzka, z kąd fala zawracała i gdzie dlatego tłum kłębił się najgęściej.

Miałem wrażenie, iż coś zasyczało dokoła nas i syk ten tysiąckrotnie się powtórzył. Przemknęły mi w oczach spojrzenia dwóch młodych panien — zawstydzone i zarazem jakieś litujące się. Strojna dama, idąca pod rękę z panem, obejrzała się i zmierzyla mnie pogardliwym spojrzeniem. W grupie oficerów ktoś głośno parsknął śmiechem. Tuż koło siebie widziałem przez moment nader dostojne oblicze siwobrodego jegomościa i dostrzegłem jak z twarzy jego ginie powaga i jak przymrużywszy oczy poczyną mrugać ku mnie filuternie i jakoś obrzydliwie.

A mój biedny czarny berecik miał minę w najwyższym stopniu zmartwioną, zawstydzoną i rozgniewaną nawet.

Jakiemś rozpaczliwym szarpnięciem wydostała się z kleszczów tłumu i puściła się szybko w boczną ulicę.

Tu było pusto. Biegła nie oglądając się i dopiero gdy była tak daleko, iż ucichł goniący za

nami pogwar tłumów — poczęła zwalniać kroku, obejrzała się i widząc, że idę za nią, stanęła.

Podszedłem do niej. I znów to niepewne spojrzenie, nie mogące się zatrzymać musnęło mnie na mgnienie, odleciało — czy zasunęło się w siebie — a za chwilę wróciło i znów pierzchno.

Zapytałem się, czy się gniewa, że ją zaczepiłem. „Nie, tylko w pierwszej chwili to tak dziwnie. Przy tylu ludziach...” Opuściła głowę, a podniósłszy ją po chwili i próbując patrzeć mi w oczy, zapytała:

— A z kąd pan wiedział, że — mnie można zaczepić? Szłam przecież jak inni... Myślałam, że nikt na mnie nie zważa...

Przeprosiłem ją i zaproponowałem przechadzkę. Prosiłem, żeby sama wybrała w którą stronę, bo ja miasta nie znam. — „Dobrze, rzekła. Może w stronę rzeki?” — Dobrze. — I poszliśmy. Podałem jej rękę, zawahała się — więc ująłem sam jej rączkę dziecinnie małą i zasunąłem pod swe ramię.

Szliśmy ulicą w dół ku jakimś rozległym błoniom, zalanym wodą i zasnutym gęstym, brunatnym, marcowym oparem. Przechodziliśmy koło starego kościoła na wzgórzu, koło jakiegoś pałacyku w kępie bezlistnych drzew. Pytałem ją o wszystko, co wpadało mi w oczy; ona objaśniała, opowiadała, prowadziła.

Czułem, iż przyjemność jej sprawia taka właśnie rozmowa o rzeczach potocznych, zwykłych, niezahaczających o to coś brudnolepkiego, obrzydliwego — co gdzieś za nią się wlecze, co ją plectowało tam, w tłumie ulicznym. A w ogóle wydała mi się sympatyczną. Rozstrzygnął o tem głos i spojrzenie. W głosie nie miała fałszywych lub robionych nut — zupełną bezpośredniość; i to samo w oczach, których spojrzenie usuwało się i chowało, ale schwyte ukazywało przejrzystą do dna toń. Lubię dziewczęta, których dusza odzywa się w głosie i odbija w oczach. Lubię płochliwe cienie, gdy kładą się na szczupłych policzkach lub pod rzęsy. Lubię twarz, która mówi nie samemi ustami.

Wieczór zapadł. Od rzeki ciągnęło zimnym wyliewem. Zawróciliśmy.

Dobrze mi z nią było. Dotąd ani jednym słowem nie potraciłem o nią samą, nie wypytywałem jej o nic.

Naraz minęła nas dziewczyna strojnziej od mojej towarzyszki ubrana, bardziej krzyżąco, o nie-miłym wyglądzie. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Czarny berecik szepnął:

— To Andzia, my razem mieszkamy.

Głos jej jakoś upadł. Zaraz poczułem, że w tej chwili staje się niespokojną, że coś poczyna

ją dręczyć. Ręka jej wysunęła się z pod mego ramienia. Uchwyciłem spojrzenie z pod oka, nie mile, niespokojne, pytające. Rzeczywistość nas przywoływała. Czemś dusznem powiało.

Zapytałem ją — czy same mieszkają z Anią. — Nie, mieszkają u „starej“, płacą jej za mieszkanie i stół. Ale słowa jej się plątały. Nie trudno było zrozumieć, iż jest zupełnie zależną od „starej“, zwykłej zapewne stręczycielki. Szliśmy dość długo w milczeniu, które przerwałem tylko kilkoma słowami, prosząc żeby mnie zaprowadziła do siebie. Kiwnęła głową — i odtąd szła z główką opuszczoną, cała jakaś mniejsza — i nie szła już obok mnie, lecz wyprzedzając i spiesząc się.

... Drzwi nam otworzyła służąca, z pozoru wiejska dziewczyna, bosa, o rudych włosach, bardzo brzydka, z twarzą złociście czerwoną od piegów. Wyszła z kuchni, drzwi do której z przedpokoju były uchylone i przez nie widać było niemalowany stół kuchenny, na nim przyklepiony ogarek palącej się świecy, a przy niej rozłożoną jakąś małą, grubą książeczkę.

Weszliśmy do pokoju, wyglądającego na salonik. Na małym stoliku płonąca lampa osłonięta była ponsowym abażurem; panował półmrok; pachniało perfumowaną dusznością.

Przebiegła szybko ten pokój i wprowadziła mnie do drugiego. Tu zrzuciła swój czarny berecik i okrycie i zaraz pobiegła do lustra.

Poprawiając włosy, przepasane szeroką ciemnozieloną wstążką, kręciła główką zupełnie jak ptaszek.

„Ma takie same jak ptaszek czarne paciorki w oczach i takąż w nich beztroskę“ — pomyślałem. Ta niefrasobliwość synogarlicza wystąpiła w jej spojrzeniu dopiero teraz, gdy patrzyła na samą siebie. Musiała ją bardzo cieszyć jej uroda. Jej spojrzenie nie było już niepewne i zablakane; miała przed sobą coś, do czego mogła przyłgnąć okiem długo i pieszczotliwie. Biedne dziecko — nie kwitnie świat temu, kto po za sobą nie śmie na niczem zatrzymać oka.

Żal mi jej było bardzo. Ale gdym od niej oderwał wzrok i rozejrzał się po tej sypialni, uczułem wzrastający ciężar na piersiach. Coś waliło się na mnie. Z kątów dusznego pokoju wyglądały zimne oczy jakiejś ohydy, wysuwały się lepkie wstrętne macki, kłębiły w cieniu jakieś odrażające węzowe sploty. — Ciężko mi poczęło być, duszno. Nie miałem już co do niej gadać. I znów gryzący opar bezkresnego sieroctwa tchnął na mnie takim zimnem, iż uczułem coś blizkiego rozpaczy. Przez chwilę tam, nad błoniem, wtulonem w mgły, pieściła mnie jakaś ułuda, jakieś niepewne spodziewanie

się cudu, który może rękami tego wydziedziczonego dziecka rozłucze szklane ściany mojego więzienia. Prysła teraz ta złuda — i już nie szklaną czułem za sobą przegrodę, ale jakieś spiętrzone dokoła zwały lodów, których nic, nawet litość i spólcucie losowi tego biedactwa stopić już nie mogło. Żal mi jej było, ale o granitowo twardą między nami zaporę żal ten tłukł mdłą, bezsilną falą.

Trzeba iść! I znów wyjrzała ku mnie pustka ulicy szara, zimna, w którą mam wracać. Wstrząsnąłem się mimowoli.

Wtem doszedł do mnie jakiś przyciszony, monotony śpiew.

Dziewczyna odeszła od lustra, na pałcach zbliżyła się do zamkniętych drzwi, uchyliła je i chwilę słuchała.

— To Kasia — szepnęła, zamykając drzwi z powrotem.

— Kasia to ta ruda dziewczyna, która nas wpuściła? — zapytałem.

— Tak, nasza służąca.

— Cóż ona takiego śpiewa?

— Nabożne pieśni.

Uśmiechnąłem się.

— Nabożne pieśni? Tutaj!

— A tak, naprawdę. Jak tylko starej nie ma, Kasia zamyka się w kuchni i śpiewa bardzo

ładne pieśni. Ale ona wcale nie ma głosu, ani słuchu. Mruczy coś i tyle.

— Co ona teraz śpiewa? — zapytałem jeszcze.

— A zaraz panu powiem.

Znów uchyliła drzwi i na chwilę poszła do drugiego pokoju.

— Śpiewa „Płaczcie anieli“, — rzekła wróciwszy.

— Co to jest „Płaczcie anieli“?

— To jest taka pieśń na wielki post. Smutna. O śmierci pana Jezusa. Teraz przecie jest wielki post.

— A Kasia nie śpiewa wesołych pieśni?

— Nigdy. To dziwna dziewczyna. Chce pan, to coś o niej opowiem.

— Proszę.

— Ona jest ze wsi. Stara sprowadziła ją przez jakichś swoich znajomych. Kasia nie wiedziała nic o tem, co tu u nas się wyrabia, a jak się dowiedziała, to dalej płakać i powiada do starej: „Ani jednego dnia nie będę“! Stara na to: „To idź do djabła“. — I zaczęła Kasia pakować manatki, a my z Andzią żalowałyśmy, że odchodzi, bo taka cicha — jednym słowem dobra dziewczyna. Poszliśmy do kuchni, posiadałyśmy i patrzymy jak ona się szykuje do drogi. Andzia się rozżaliła i zaczęła płakać i prosi Kasię — zostań. „Tyle — powiada —

wycierpiałymy od tamtej Maryny, co była przed tobą — taka złośnica. i we wszystkim stronę starej trzymała — i teraz pewnie znów taka sama nastanie; nie dość tego, co ucierpimy od starej, to jeszcze i od służącej. A ty byś nas pożałowała“.— „Mnie was bardzo żal, moje dziewczyny, — powiada na to Kasia — i jednej chwili bym was ztąd wyciągła, ale że tego nie mogę, to i swojej duszy tu przy was gubić nie mogę“. Tak mówi, ale się zadumała. Siedzi, siedzi, дума i powiada tak: „Jak Pan Jezus nie dopuści, to nic mi się nie stanie. Zostanę, gdy mi jedno przyrzeczenie“. — Powiadamy — dobrze. — „A to — że codzień jak stara wyjdzie i nikogo nie będzie, to przyjdziecie tu do kuchni i zmówimy razem pacierz“. Powiadamy — dobrze, ale ja jeszcze mówię tak: „A co tam wart nasz pacierz“! A Kasia: „Cicho, — kto może wiedzieć co wart twój pacierz. Może więcej niż mój“. — Więc na tem stanęło i ona została. Stara jej nie lubi. Nie daje jej wieczorem światła do kuchni, żeby nie miała przy czem czytać; my jej dajemy ogarki. Przylepi sobie na stole i czyta albo śpiewa z książki. Tylko śpiewać nie umie — to ja jej zawsze melodję poddaję.

— A ty znasz te pieśni? pytam.

— Znam, jeszcze z domu.

— A starej niema teraz?

— Właśnie że niema.

— To czemu nie pójdziesz do Kasi pośpiewać?

— Poszłabym. A pan?

— Nie zamykajcie drzwi, to ja posłucham. —
Klasnęła w ręce i pobiegła.

Drzwi zostały otworem. Stałem w framudze ich.

I już wtedy szło do mnie skądś jakieś rozradowanie nadzwyczajne, nieznanne, pewnośc, że się zbliża coś dobrego, upragnionego. I już wtedy czułem jak przybywa wkoło mnie przestrzeni wolnej i czystej. Pierś inaczej zaczęła oddychać.

A w kuchni słodki, dziewczęcy głos na monotonie smętną nutę zawodził:

— „Płaczcie anieli, płaczcie duchy święte...”

Nigdy nie słyszałem tej pieśni, w której wszystko co jest na świecie lub co ludzie wymarzyli — od kamieni i zwierza dzikiego do aniołów — płacze i wyrzeka, zasmucone śmiercią Pana Jezusa.

I czułem prawdziwie, jak dusza mi się otwiera przed łożami, spadającymi z kądziś zwysoka, a tak gorącemi, iż jedna chwila — i oto śladu nie ma po tych zwałach lodowych, które tylko co piętrzyły się wkoło mnie. I dzwon szklany roz-

bity — i jakiś górny powiew rwie wolnem przestworzem. Ale i coś ważniejszego jeszcze, nieskończenie dla mnie ważnego się stało...

Oto z nieprzepartą pewnością uczułem, iż nie tylko żadnej między nami trojgiem niema przegrody, ale że my — jedno... Tak, ta Kasia, która w złem miejscu została by pacierzem osłaniać ginące dusze — i ukradkiem, przy ogarku świecy, swym fałszywym głosem wyśpiewuje w nabożnej pieśni swe tęskne ukochania, — i to zaprzędane wiedźmie, pełne wdzięku dziecko, co „gdy niema starej“ słodkim głosem zawodzi czyste melodje, zasłyszane w domu — i ja, dręczony samotnią duszy — my jedno. I do tego by poczuć się jednym nie potrzeba słów, nie potrzeba zbliżenia — nic, dość ot tak — zasłuchać się razem w lecący górą płacz aniołów...

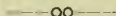
Wtem dzwonek się rozległ. Śpiew umilkł. Dziewczyna pędem przybiegła...

— To stara wraca, — szepnęła zamykając za sobą drzwi.

Boże mój, co mogłem jej powiedzieć — memu małemu, czarnemu berecikowi — i jak dziękować za radość i łaskę, którą mi uczyniła. Ująłem jej dłoń — malutką, białą, nienauczoną pracy — i ucałowałem nic nie mówiąc.

Potem wyjąłem zapłatę, należną „starej” i położyłem na stole.

... Gdym wyszedł — cicha noc płynęła nad miastem. W górze, kędyś, szło jeszcze echo.... Płakali anieli....



O ZMIERZCHU.

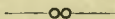
Jest przy gaśnięciu dnia jedna cudna chwila. Jej czar wszystko przenika; wszystko jej słodczy melancholijną wyczuwa. Martwe rzeczy — czyli te, których życia nie rozumiemy, widząc wieczną ich nieruchomość i przywartość do ziemi, odzyskują wtedy swą bezgłośną mowę. Na naszym wielkiem podwórzcu, rozpostartem po zboczach wzgórek pod stopami starego kościoła — brzydkie, stare domostwa, wstydliwie stulone w gromadę dźwadów wyżółkłych, chropawych jakichś, odrażających — śmieiej na tę chwilę podnoszą swe omszone łby. Coś dobrego zbliża się ku nim, jakaś delikatna, tkliwa dłoń muślinem przedwieczornego zmroku zaciera ostrość ich konturów, wysmukla ich przyziemne, ociążałe postaci. Stary, siwy kościół — co przytlacza wzgórze i zdawało się, że zwali się na nas — teraz ledwie dotyka ziemi. We wszystkim jest coś lekkiego, co bije ku górze; wszystkiemu wyrastają skrzydła tęsknoty; wszystko przywołuje kogoś już blizkiego. Ktoś płynie, ktoś się zbliża... Wiatr cały dzień trząsł drzewami, teraz ucichł. Wszystko czeka, bez

wzruszeń i niepokoju, utulone, z przymkniętymi oczyma... Słodczy tej chwili czuje i dzwonnik kościelny i w ciszę jej zaczyna rzucać łagodne, miękkie nawoływanie dzwonu na Anioł Pański.

Stało się. Oto już płynie Niewidzialna nad nami, koło nas, przez nas przepływa. Niemal czujesz muśnięcie delikatnej szaty, zgarniającej tęsknoty, bóle i niepokoje. Płyne tak wolno, aby nie ominąć żadnej rzeczy i każdą upieścić przez chwilę, przez słodką, wymarzoną chwilę — ukojenia. Przez ten jeden moment — niema krzywd i cierpień. Wszystko przywiera najśłodszym z pocałunków do dobrej, niewidzialnej, kojącej dłoni, która równie miękko i pieściwie przesuwają się po zgorączkowanym czole człowieka i omszonym łbie starego domostwa. Pieści wszystko, przepływa i ginie, zostawiając za sobą ślad czarunku, cudu bezbrzeżnej piękności.

Codzień o tej samej porze — czuję jej tchnienie i codzienność tej ukochanej dają jakieś imię. Raz zwałem ją Tęsknotą świata, która ku jednemu morzu niesie potoki tęsknot wszystkiego, co istnieje. Niema rzeczy, w której nie tkwiłaby zaduma i upragnienie innego bytu. Ona zbiera te ciche, żalose prośby i coś obiecuje. To znów zwałem ją Śmiercią, bo zdaje mi się, że najśłodszym i najlitośniej-
szym jest właśnie jej tchnienie. Zwałem ją Matką

Boską, tą, do której w jakimś pełnym bzu i innego pachnącego kwiecica kościółku, w majowy, przedwieczerek, śpiewano: „Dobranoc, przeczysta lilija...“ Zaprawdę, nie wiem, jak ona się zwię, ale wiem, że jest, że jest dobra — i że nie może być większego szczęścia, niż ostatniem tchnieniem przyłgnąć do jej szaty i ulecieć z dobrą Istotą, która pieści nawet kamienie...



W PIWNICY.

W. BERNICKY

W uchylone podwoje kościoła dziad dzwonnik wsunął swą siwą głowę. Nie przestępując progu, dłonią zastawiając się przed światłem dworu, usiłował przejrzeć mrok, zalegający nawę i w jedno zlany z zupełną w niej ciszą.

— Księżę dobrodzieju — kilkakroć powtórzył prosząco.

Nikt nie odpowiedział.

Jeszcze raz, po chwili wyczekiwania, wywołał księdza, ile mógł najbłagalniej.

— A cóż ci tak pilno?

Ksiądz odezwał się bez zniecierpliwienia i spokojnie, tonem człowieka, który nie odpowiadał zaraz, bo chciał do punktu pewnego doprowadzić swe rozmyślanie, czy modlitwę.

W tej chwili spruł powietrze dziwny, przejmujący dźwięk — coś z wycia, jęku i chichotu. Pocisk wybuchł na drugim końcu wsi.

Wolno, w pomroku zstępując z stopni ołtarza, przy którym długą chwilę spędził w zadumie, ksiądz pomyślał:

— Ostatni raz!

I zaraz się zgromił. „Tylko nie być babą“!

Ale u drzwi, na progu jeszcze się zatrzymał. Nie było tam już nikogo. Dziad znikł, jakby zmiótl go granat lub strach rozwarł pod nim ziemię.

Wyprostowany, z twarzą zwróconą ku ołtarzowi, do piersi przyciskając jakiś ztamtąd wyjęty przedmiot, zapatrzył się ksiądz w wysłaną cieniami nawę. Dwanaście lat w mury te i sprzęty wsiąkał i przepoił je sobą tak, że i one z kolei poczęły ku niemu promieniować bezwładną miłością kamieni i rzeczy. Nieme i nieruchome tchnęły teraz na odchodzącego skargą, wyrzutem, żalem. Czuł jak po taflach zimnych posadzki rozsnuwa się ich ciężka, bezwładna tęsknota, którą sam w nich wzbudził, i zbiega mu do nóg, kuli się u nich, nie daje mu poruszyć się z miejsca.

— Nie odchódź!

Zacisnął usta. Ból wyrył na jego twarzy dwie gotowe dla łez brózdki, ale na łzy nie czas był jeszcze.

Na plebanji niepokojono się. Strzały padały coraz gęściej. Mała dziewczynka, która z swą ciotką, komornicą ze wsi, tu z innymi ukryć się przybyła, ofiarowała się biedz po księdza.

— Ja najprędzej przelecę i nic mi się nie stanie i przyprowadzę go,— tłumaczyła starszym, gdy zaś nie przestawali się spierać — kto ma iść, wymknęła się sama i pobiegła.

Za nią pogonił głos ciotki:

— Janka, ani się waż. Wracaj! Zaraz mi się wróć! Ksiądz głos ten usłyszał i zobaczył biegnącą dziewczynkę. Z lękiem rzuciwszy okiem w górę, czy tam śmierć nie chichocze już na spotkanie małej, zatrzasnął drzwi za sobą, podbiegł, uchwycił dziecko na ręce i za chwilę był na plebanji. — A powietrzem już sunął chichotliwy, potępieńczy głos i znów gruchnęło w któreś z opustoszałych domostw wioski.

W niewielkiej, sklepionej piwniczce na plebanji — prócz starego służącego księdza, jego kucharki i dziada dzwonnika — z obcych schroniło się czworo ludzi: wdowa komornica z Janką, bezdomny żebrak zwany „Onufer“, który przygodnie znalazł się na ten czas we wsi i stary gospodarz, jeden z najmniejszych, Marceli Madziak. Synowie jego, zięćciowie z żonami, dziećmi, dobytkiem, węzłkami puciekali, on ruszyć się nie chciał i bardzo się cieszył, że i ksiądz do ucieczki namówić się nie dał.

Pachniało ziemniakami, kapustą, ziemią, pleśnią, grobem trochę. Okienko zatkał ktoś rogożą, pewnie by nie widzieć krwawych odblasków łuny. Światło dawała świeca, postawiona na beczce. Dla księdza przyniesiono taburet. Kobiety siedziały na przyniesionej z werandy ławeczce. Mężczyźni przykucnęli na ziemi.

Taburet został nie zajęty. Ksiądz usiadł na pęku rogóż, pod tylną ścianą piwnicy, po środku jej, mając z jednej strony „Onuferą”, z drugiej — nieodstępną Jankę.

— No, dzieci moje, — rzekł głaszcząc włosy dziecka — jakże my tu czas sobie skracać będziem? Janeczka pewnie nie zechce próżno siedzieć, naobiera nam kartofli, — ale gdzie je ugotować, to już nie wiem.

— A to lepiej napieczem w sionce, — rzekł ktoś.

Janeczka zrobiła zafrasowaną i smutną minkę, poczem z pod oka spojrzała na księdza w nadziei że ją zapyta o powód strapienia. Ale ksiądz przeczył jej frasunek i spojrzenie. Dziwnie od spokoju jego mowy odbijał palący się w oczach żar bólu i niepokoju.

— Ale, ale, — mówił dalej z uśmiechem, — cóż się martwić o czasu skrócenie. Toż mamy naszego Marcelego. Kronika trzech ćwierci wieku. Co tam macie dla nas na myśli do opowiedzenia, Marceli?

— Co jeno zechcecie państwo kochani, — rzekł stary. A powiem księdzu proboszczowi, że oto — jak godzinę tu już siedzę, to tyle mi się naprzypominało... Siedzę, a precz myślę, a przypominam. Jezus kochany, — jakby z ziemi wstawało, jakby powietrzem leciało, pełno czegoś i kogoś i koło mnie...

— Nic dziwnego — rzekł ksiądz, — chwila poważna, to i żywot cały staje przed oczami. A to i dobrze. Posłuchamy was.

W tej chwili huknęło znacznie bliżej i zaraz potem wyraźnie słyszeć się dał łoskot czegoś walącego się. Plebanja zadrżała, zabrzączały wypadające szyby.

Milczenie zaległo na chwilę. Marcełi szepnął:

— Musi w szkołę.

— Nim zaczniemy opowieści, — odezwał się ksiądz spokojnie, — pomódlmy się w pierw dzieci moje, boć co prawda śmierć lata nad nami. Spowiadaliście się już wszyscy, prawda?

— Wszyscy, księżu.

Ukląkł i oni pouklękali.

— Panie Boże nasz, — zaczął — w tej ciężkiej chwili, może ostatniej żywota naszego, bądź miłosiernym nam grzesznym, odpuść nam winy nasze i umocnij ducha naszego...

I z dziwną mocą nasunęły mu się w tem miejscu słowa:

— ... który wspólny i jeden w nas jest —

Wypowiedział je głośniejsz niż inne, jakby za kimś powtarzając — i ciągnął:

— ... abyśmy go ochoczo w ręce Twoje oddali...

— I z Tobą jedno się stali, — znów głośniejsze, z mocniejszym wzruszeniem, *za kims* powtórzył.

— W ostatniej zaś od nas ofierze przyjm jeszcze raz modlitwę, którą Syn Twój ułożył, a my bez zmiany, jak z ust Jego wyszła, powtarzamy... —

— Z cudnych najcudniejszą, — znów mimowoli wtrącił — i ciągnął:

— Ojcze nasz, któryś jest...

Skończył, ale nie wstawał z klęczek i dłońmi zasłonił twarz. Coś łkało w nim i — jak ongi dobry Syn człowieczy — czuł wstępujący weń ból ofiarny. Jakoż piekielny huk rozdarł powietrze i wszystko się zatrzęsło. Gdyby ucho księdza nie złowiło jęku sygnaturki, gdyby potężny łoskot nie wskazał co się wali, poznałby i tak po przeszywającym sercu bólu „kogo“ ugodził pocisk. — Chwila — i znów to samo, tylko dłuższy potem i cięższy łoskot na łoskot, trzask na trzask. W kupę waliły się mury, sklepienie, wiązanie dachu. Wszystko to takie stare było, takie zwiotczałe.

— Boże! — zajęczeli ludzie. Wszyscy nie wyłaczając Janki, zrozumieli, że ugodzony został i umiera stary kościół, ale nikt żadnego więcej nie dodał słowa; jak jeden pojęli, że tylko milczenie należy się bólowi księdza.

On na kolanach posunął się ku ścianie i twarz ukrył u muru.

— A ja go odszedłem! — zajęczał bezgłośnie. Boże mój, ja z nim jedno, błagam Cię o śmierć.

Janka z niedzielną powagą wlepiła w niego oczy. Widziała część twarzy księdza, oko rozwarte i nieruchome, jakby patrzył i widział przez mur — i z pod oka spływający brózdą sznurek łez. Widok tych łez rozżalił ją i przypomniał jej własne, osobiste zmartwienie.

Opuściła główkę i zapłakała rzewnie.

Płakała swego pieska Burusia. Gdy uciekały, zawieruszył się, czy wystraszony wlaźł gdzieś i ani go się było dowołać. A teraz staje jej przed oczami opuszczony, trzęsący się, skulony — gdy szuka jej dokoła biednem, stroskanem, wylęknionem spojrzaniem.

Naraz czyjaś ręka ujęła lekko jej podbródek i uniosła główkę do góry.

— Czego płaczesz Janeczko? — spytał ksiądz szeptem.

Ona również cicho odrzekła, patrząc nań szybko osychającymi oczkami.

— Pieska Burusia. Nieme stworzenie — takie dobre i nie wiem, gdzie się podział.

Po chwili zaś dodała:

— A ksiądz płacze swego kościoła?

— Tak, — szepnął. Pochylił się ku niej i przez chwilę stara głowa bezwładnie wsparła się na wążem ramieniu dziewczynki.

...Był tu człowiek, który od początku trwał w jednym ciągle uczuciu, nie frasując się o wypadki. To był żebrak Onufer.

Brzydkł, z twarzą niegoloną, krzaczasto na brodzie i po bokach porośłą krótkim, twardym włosiem rdzawo rudym, miejscami brudno siwym, z głową niechlujną od lepiących się po łysinie starganych kosmyków, siedział on koło Marcelego na ziemi, z podkulonemi kolanami, o ścianę plecami oparty. Gdy ksiądz usiadł z drugiej jego strony, Onufer odrzucił się od ściany i zrobił ruch do wstania, a i Marceł targnął go za kapotę, nakłaniając do odsunięcia się. Nie wstał jednak i wrócił do poprzedniego położenia z tą zmianą, że od Marcelego zupełnie odwrócony a przodem do księdza podany zapatrzył się na niego, otworzywszy przytem usta.

I odtąd twarz jego o tępem wejrzeniu i niezawartych ustach już nie zmieniła wyrazu jakiegoś nieporadnego zdumienia.

Zbliżając niekiedy wargi dla zebrania śliny i znów je rozchylając patrzył on na księdza nie spuszczać zeń oka może dlatego, że ani razu nie spotkał się z jego spojrzeniem. — Ziemia drżała od

huku, waliły się domy, walił się kościół, — Onufer skonstatował to w swej głowie:

— Wali się kościół, tak, tak, — powiedział sobie i trwał nieznużenie w kontemplacji jakby koniecznie oczekiwał tą drogą rozwiązania jakiegoś nadewszystko zajmującego go pytania.

Podniósłszy osłabłą głowę z ramienia Janki, ksiądz spojrzeniem ciężkim powiódł dokoła i po raz pierwszy napotkał wleptony weń wzrok żebraka. W tem spotkaniu oczów, wejrzenie Onufiera utraciło swój tępy wyraz i rozbłysło jasno wyrażoną ciekawością, a jednocześnie chyżo odepchnął się on od ściany i wsparłszy na rękę gotował się do wstania.

Zatrzymała go ręka księdza.

— I dokąd-że to, Onufer? Za ciężkie tam spadają jabłka, nie poradziłbyś im. Posiedź z nami, znajdziem ci tu strawniejszą renetkę.

Onufer znany był z zamiłowania do zbierania jabłek w cudzych ogrodach, ale ksiądz ani strofować go, ani ukłóć nie miał zamiaru, tylko widząc, że stary się żenuje, żartem tym chciał go roześmielić.

I Onufer dobrze żart przyjął. Rozdziawione usta jego zamknęły się zaraz i — rzecz dziwna — w dobrym jakimś i miłym uśmiechu; z tym uśmiechem i tryumfującym zadowoleniem w oczach, odwrócił się i popatrzył na Marcelego, jakby rzecz chciał.

— Aha, co — czyja wygrana?

Ale Marceli spoglądał w inną stronę — i żebrak usadowił się jak wpierw pod ścianą, tylko na nic i na nikogo więcej nie patrzył. Podrapał łysinę, potarł krzaczystą brodę, skrzyżował potem ręce na skulonych pod brodą kolanach, oparł na rękach głowę i najspokojniej do drzemki się gotował próżen trosk, frasunku, pytań. Raz tylko podniósł głowę i coś nosem pociągnął.

Przyszło mu na myśl:

— Czy ksiądz o renetach mówił tak sobie tylko, czy też naprawdę tutaj je ma?

Ale nos nie wykrył obecności renetek.

Poczem uspokoił się Onufer zupełnie. A przedtem — ot co go dręczyło. Powiedział sobie, że ksiądz usiadł przy nim nie widząc go. Co zaś robi, gdy go tuż przy sobie zobaczy? Im dłużej, skutkiem nieuwagi księdza, nie odbierał na pytanie odpowiedzi, tym bardziej go ono przejmowało, tem większej nabierało wagi. Otrzymana wreszcie odpowiedź — ręka, zatrzymująca jego ramię, i żart — napełniła go czemś dobrem, co uczuwa się przed snem bez-troskim....

Armaty precz słychać było, ale pociski w pobliżu już nie padały.

Ludzie spokojniej poczuli oddychać i oddali się rozważaniu nieszczęścia, w postaci zburzenia kościoła. Fakt dokonany z każdą minutą odsuwał się

w przeszłość. Kobiety coś szeptały. Marcelli odezwał się półgłosem, bardziej do siebie:

— W Moczyborzu, po spaleniu, odbudowano w dwa lata. Parafja sama sobie, bez niczyjej pomocy.

Ksiądz wstał, podszedł do drzwi omijając nogi siedzących na ziemi i wyszedł przeprowadzony milczącymi spojrzeniami.

Bawił niedługo. Wróciwszy, zaraz na wstępie odezwał się:

— Kupa gruzów! Boczne ściany trzymają się — i to jedna jakby trochę pochylona.

I wrócił na swe miejsce.

Chwile mijały. Coraz dalej szło w noc.

Przygasła świeca. Ucichły szepty. Wsparta główką o kolano księdza uśpiła się Janka. Z drugiej strony twardo usnął żebrak. Zdrętwiał mu kark od pochylania głowy, odrzucił ją na ścianę, a po niej coraz to zsuwał się niżej. Gdy dotknął ramienia księdza, ten ujął głowę Onufrego i na drugim kolanie swoim ją położył.

Z wyżyn bólu myśl jego opadała w tę ciasną, skuloną w murach piwniczki rzeczywistość i rozlewała się po duszach kilku obecnych, wsiąkała w nich dziwnie rozlewna, dziwnie łatwo wszędy przenikająca. Nie spał, a zdawało mu się, że się stapia

z senną myślą Janki i Onufera, że widzi strzępki jakichś wspomnień w drzemiącej głowie Marcelego...

— To mój kościół zatem — pomyślał.

Szły chwile...

Czyjeś kroki i głosy słyszeć się dały.

— Trzeba księdzu powiedzieć — ktoś mówił za okienkiem piwnicy.

Otwarto drzwi.

— Księżę proboszczu, bezpiecznie, ucichło; wojska odeszły ponoć aż pod Moczyborz. Ale kościoła nam popłakać, szkoty... Wieś spalona...

Wybiegli. Dniało. Gromadka popatrzwszy chwilę na ruiny kościoła rozpierzchnęła się — i ku gruzom podszedł ksiądz sam. Nie było gdzie wejść, wewnątrz nie było. Ukląkł przy bocznej ocalałej ścianie i znów zapłakał. A myśli dziwne, niewłaśne szły ku niemu.

„Czemu płaczesz księżę? Kościoła? Jeśli kształtu widomego, toć złuda to tylko była; jeśli żywota, któryś tchnął w niego, to ten nie umarł“.

„Gorzkie łyzy tej nocy przelałeś, ale czy i radość ci nie była dana?“

— Tak, Panie, — odpowiedział komuś w myśli — nigdy tak blizki nie był ludzi i tak jedno z nimi.

„I nic nad to nie czułeś, księżę?“

Z wstajacem nad ciche pola słońcem jasność się po myślach jego rozlała i wykrzyknął radośnie:

— I Tyś tam był z nami, Panie, za jedno z nami!

— Księżę proboszczu, księżę proboszczu, — wołał srebrny głosik — Buruś się znalazł!

Na rękach niosła Janka skowyczącą z radości psinę.

Ksiądz głęboko westchnął. Wstał. Przycisnął dziecko do piersi, a pies pełen szczęścia, że żyje i jest wśród ludzi, oblizał różowym języczkiem obie twarze — księdza i dziewczki.



ZŁUDA I RZECZYWISTOŚĆ.

WOLFF & BERKELEY

W splocie ludzkiej doli trzy nici płaczą się ciągle — zdolność wytwarzania złud, usiłowanie by je utwalić, melancholja płynąca z bezowocności tych usiłowań.

Piękne złudy rodzą się na wysokości. Tworzy je człowiek czasu górnych swych lotów, w odepchnięciu od pastwiska prozy codziennej, rozpiną je naprzeciw słońcu. Ztąd malowność, tęczowość, promienność tych widzeń.

Ledwie jednak gdzieś, na wyżynie, rozepnie cudne widziadło, płonące barwami, które — wierzyć się chce, że kradzione są niebu, gdy już szukać poczyna gwoździków by swą tęczową złudę przybić do ściany, jak dywanik nad łóżkiem, — i mieć ją na codzień, na zawsze. Po ulatywaniach najgórniejszych zawsze wraca bezwład, ociężałość, usiłująca do czegoś przywrzeć, w coś wrosnąć. Byliśmy kiedyś drzewem, kamieniem, sennie snującą się w przestworzu mgławicą i zachowujemy pamięć tych bytów znie-ruchomych, cichych, przeobrażających się tak powolnie, że ich *dzisiaj* jest bez końca, a *jutro* nie daje

się wyczuć za wiekami. I teraz przesączamy się ciągle w ociężalszą od nas przyrodę i w tem przesączaniu się w powietrze, wodę, ziemię, coś nęci nas obietnicą spokoju przyrostłego, kamiennego, niezmiennością czucia i widzenia. Od złud górnych upadamy do przyziemnej — złudy trwałości ukształtowanych bytów — gdy płynie wszystko, nie trwa nic i wszelki kształt jest złudą, którą nieudolność naszego postrzegania osłania nieustanne przeobrażenia.

Zresztą — jest w nas i ślimak i mrówka i jaskółka pracowicie lepiąca swe gniazdko; jak one — musimy, chcemy i lubimy coś budować, a cóżby za budowniczy nie dbał o ozdobienie domu. Bierze więc młotek i gdzieś, na widoku, przybija — złudę.

I — niszczy ją. Tak giną cudne, różowe złudy miłości, gdy je utrwać; tak giną inne, a śladem rozwinanych leci łkanie melancholji, snuje się jej opar, podnoszący się z zniszczeń, śmierci wszelkich, gruzów, westchnień ostatnich, wszystkiego co ginie...

Jest złuda jedna — rzekłbym — najcudniejsza z wszelkich... Złuda twórczości. Najwięcej skupiająca blasków słonecznych, najbardziej królewska, Tworzyć — „z mułu ziemi“ — jak mówi Księga Święta... Tchnąć „dech żywota“, gdzie go nie było... Wywieść coś pięknego ze szpetoty... zaprawdę, tyle w tem rojeniu tęczowości, blasków purpurowych, czaru upajającego i jakiejś wiosennej krasy, że —

warto być człowiekiem i takie śnić widzenia. Śnić. Bo nie co innego chrzci każde „dzieło“ jeno łaza jego twórcy, łaza nieziszczonego marzenia i nowej ku niepochwytnemu tęsknoty, a któryby nad „dziełem“ uniósł ręce w zachwycie i wołał: „otoś jest piękne, skończone, doskonałe“ — jużby młotkiem uderzał po zjawie.

Zkądże jednak ten wieczysty, uparty, nieuprzykrzony nawrót do złud, gdy złudami są tylko? To wspinanie się strąconych, setne razy zawiedzionych, rozżalonych? Bo, mimo wszystko, za temi złudami jest jakaś rzeczywistość. Czujemy ją i czujemy, że jakiś wzlot, jakiś chwyt rozpaczliwy, ostatni musi kiedyś zerwać zasłonę.

A gdyby bez targań — opadła? A może wcale jej niema? Może prawdy nie widzimy dlatego tylko, że — jest prosta i od wieków stoi przed nami? Boć dosyć pomyśleć Boga, jako dobro i jedyną rzeczywistość, by byt nasz przestał być zagadką i charakter rojeń naszych i złud jasnym się stał. Jeżeli Bóg jest dobrem — z wszelkimi jego synonimami i dopełnieniami, jak piękno, miłość, cnota i t. d., których używamy dla określenia rzeczy jednej, lecz zbyt wielkiej by dała się zawrzeć w jednym słowie, o ile słowem tem nie będzie właśnie Bóg — i jedyną rzeczywistością, to i ja jestem rzeczywistością, gdy mam

w sobie coś dobrego. Jeśli nie mam, jestem tylko rojeniem i w dodatku — szarem, bezbarwnym, uprzykrzonym i niepotrzebnym.

To co jest, nie może nie być i rzeczywistość nie może się stać nierzeczywistością. Bóg zatem nie może umrzeć i moja w nim tkwiąca cząstka jest nieśmiertelną; nie widzę zatem potrzeby frasować się co będzie ze mną po śmierci, gdy wiem, że to co jest jedyną istotną i rzeczywistą moją treścią nie może być zniszczone.

Rzeczywistość może być tylko jedną — i Bóg jest jeden i jednością — i my, spotykając się w dobru, jesteśmy jedno. Wyczuć to, jest to posiąść prawdę równie prostą, jak słodką.

A złuda nasze? To widzenia, w których odbija się rzeczywistość. Mówimy, iż rozpinamy je naprzeciw słońcu... Ależ tej poetycznej alegorji można dać nazwę konkretną — Bóg. On się w nich odbija. Mówimy, iż najcudniejszą jest złuda twórczości... Bo twórczość jest najwspanialszym z atrybutów Boga, że zaś nierozdzielnie się spleta z najpiękniejszemi i najbardziej malownemi — pięknem i miłością i splot ten odbija się w rojonej przez nas złudzie, — stąd więc tęczowość jej, i purpurowe blaski, czar upajający i wiecznie świeża wiosenność jej kras... Martwić się, że to tylko marzenie? A któż wie, zaprawdę, czy cały świat nie jest tylko marzeniem Boga!

Każdy katechizm poucza, że Bóg jest w niebie i na każdym miejscu. Gdy jednak pierwszej części tego twierdzenia ani zmysłami, ani najlotniejszym marzeniem uchwycić i uprzytomnić sobie nie zdołamy, to — natomiast — wszechobecność Boga, byt jego rozlewny i przenikający wszędzie, gdzie tylko serca i myśli choćby odrobinę rozchylają się ku dobremu, — nie czuje chyba ten, kto nie chce. A iluz czuje, lecz waha się zaufać swym czuciom i nazwać je. — Sądziłbym zaś, że powinnością jest każdego jak najgłośniej mówić o tem, gdzie i kiedy wyczuł Boga.

Ja o sobie mogę mówić tem śmielej, że dusza moja jest kaleką, sądząc właśnie po wielkiej trudności, z jaką to wyczucie we mnie nastąpiło. Bo co znaczy wyczuć Boga? Znaczy przedewszystkiem — stać się i poczuć się lepszym. Otóż — czy można przypuścić, żeby odbicia boskiego nie było w takich przeczarownych złudach jak poezja, muzyka, sztuka? Jest — lecz w tem wszystkiem ja go zrazu wyczuć nie mogłem. Tak bezpośrednio, w pulsowaniu żywym, w takim władnem narzuceniu się świadomości mojej, oczom, wzrokowi myśli, żeby się krzyk wydarł: „Widzę go żywego, gdyż sam zmartwychwstaję“... — tam go nie wyczułem. Może ułomności to był skutek, garbu jakiegoś na duszy — czy daltonizmu duchowego, czy chwila nie nadeszła — dość, że coś mi Go przestało w rzeczach, z natury swojej boskich.

Lecz gdy pewnego razu, mnie — mieszcucha, któremu miasto zardzawiło duszę — czyjaś dobra dłoń zaprowadziła do lasu i wiodła potem ścieżką w żadne, nadzwyczajne uroki niewyposażonej wioski naszej, pod stropem czystym, cichym a modlącym się, — poczułem Go z tak nieprzepartą siłą, tak zmysłowo, jakby to właśnie Jego dłoń mnie wiodła i Jego głos pytał: „Widzisz — że mnie teraz“? I wtedy to dopiero mogłem ze łzami odpowiedzieć: „Teraz widzę Cię, Pannie, jesteś koło mnie i we mnie“.

Uważałbym za słuszne pytanie takie: „Skoro widziałeś Boga, powiedz że jak wygląda“. Jest to pytanie nie tyle myśli, ile ócz wzwyczajonych do widzenia kształtów i barw, — więc nim na nie odpowiem, uprzytomnię sobie w pierw — co i jak widzimy.

Gdy patrzę na drzewo, widzę pewien kształt stały, wiem jednak z pewnością, że jest to raczej płynąca fala cząstek, w nieustannym będących ruchu i wymianie z otaczającym środowiskiem, fala, która jako kształt stały ani na chwilę nie da się pomyśleć. A więc to, co widzę, nie jest zgodne z tem co jest i co da się pomyśleć. Dalej — lubo oczyma nie widzę, lecz mogę sobie wyobrazić widzenie, któreby postrzegało ruch soków, obumieranie jednych cząstek, życie innych, przesączanie się ich zzewnątrz, oddech drzewa — i takie widzenie myśli istotnie jest we mnie, organem zaś jego jest poznanie. Tem, że nie widzę

oczami krążenia soków wcale się nie trapię, podobnie jak tem, że w kształcie człowieka nie przegląda wątroba, kiszki, serce i nie unaocznia mi się przebieg procesów fizjologicznych. Przeciwnie, uważam za doskonałą i celową taką organizację oczu, która—nie wyłączając możliwości wzrokowego badania przedmiotów—bezpośredniego, czy drobnowidzowego, czy wielkowiedzowego, czy przy pomocy jakichś odrębnych promieni—przystosowana jest do wytwarzania złud kształtów, to zaś daje nam możliwość rozpięcia nad całym widomym nam światłem czarownej złudy piękna, w której—rozumiemy to z całą pewnością—odbija się Bóg i lubi się w niej odbijać, sam będąc pięknem. Istnienie zaś, o czem również jesteśmy upewnieni, widzenia osiągniętego drogą poznania, musi czynić nas ostrożnymi w twierdzeniu, że na tem koniec i już nie może istnieć żadne inne widzenie, nie objęte naszą świadomością i posiłkujące się nieznanym nam organem.

To powiedziawszy, wracam do pytania, jak wygląda Bóg? Gdy was ktoś zapytuje jak wygląda ta i ta osoba, co czynicie? Uprzytomniacie sobie w pamięci jej obraz, czyli analizujecie to wszystko, z czego powstał i w odpowiedzi na pytanie wyciągacie z rysów tych pewną syntezę. I ja tak postąpię. Przypomnę sobie na com patrzył, com widział i com myślał w chwili ujrzenia Boga i stąd musi powstać synteza Jego obrazu, jak przełamał się on w moich oczach i świadomości.

Otóż pamiętam. że patrzałem na niebo. Było czyste i głębokie. Wszelka głębia chłonie naszą myśl, czy też myśl ma dar wsiąkania w głębię, z wszystkich zaś widomych, jedno niebo, głąb bezdenne, tchnie bezpośrednio nieskończonością i chłonie myśl w bezkresy. Przypomniałem sobie, że gotyk naszych katedr jest uzmysłowieniem tego bezkresnego lotu i na myśl mi przyszły kopuły kościołów, o które objają się modlitwy ludzi. Pomyślałem, że lubo bezkresne, jest to niebo dla oczu kopułą, ku której od tysięcy lat biją modlitwy ludzkie w słowach, westchnieniach, tęsknotach. — Gdy po raz pierwszy w świadomości człowieka wezbrała zgroza, lęk lub uwielbienie dla potęg przyrody, począł się modlić. Wszystko jedno, co wycisnęło pierwsze słowa modlitwy — chęć prześlągnięcia kogoś, czy pozyskania sobie kogoś, czy dziękczynienie komuś, ważne jest, iż z chwilą gdy człowiek począł się modlić, posiadał prawdę — dziś już najstarszą na świecie, choć wciąż poszukiwaną — prawdę istnienia Boga. I odtąd nie mylił się. Czy czcił ogień, czy słońce, czy posąg — nie mylił się. Bo choć Bóg nie jest ogniem, ani słońcem, ale jest w jednym i drugim; choć to — nie posąg, ale jest w akcie ludzkiej twórczości, odbija się w ludzkiej złudzie twórczej, a przedewszystkiem tkwi w potrzebie samej kultu, tkwi w marzeniu, bo sam wymarzył swój świat. — I czy tylko ludzkie modły biją o tę kopułę,

czy nie wznosi się ku niej modlenie całej przyrody — bez słów, lecz w tęsknotach bardzo naszej pokrewnych?

W tej kopule ujrzałem Boga. Nie był on samą kopułą, lecz bijącą od niej świętością. — Rzeczywistości jego brak kształtów i barw nic zgoła ująć nie zdołał, bo to właśnie są złudzenia; był zaś widomym, gdyż wskazał mi go wzrok myśli i ócz.

Na cóż jeszcze patrzałem? Rosła tam przy miedzy młoda brzoźka. Cudną była biel jej kory, wruszającą wątlność płaczących gałązek, uroczeni — wiosenne, złotawe listeczki. W rozchyleniu jej młodych ramion był wdzięk nieopisany. Przypomniały mi się marmurowe posągi dziewcząt, trzy Gracje greckie. I ona była Gracją. Przypomniało mi się, jak patrzałem kiedyś na kąpiące się w rzeźculce dzieci; był tam chłopczyna, który stopy dopiero zamaczawszy w wodzie stał nad nią troszkę pochylony, po ciele jego przebiegał dreszczyk chłodu, skrzyżowane rączki położył sobie na ramionach i kuilił je. Był prześliczny — a tak do niego podobną ta brzoźka.

Czy ta brzoźka była Bogiem? O nie, lecz jej czarujący wdzięk wspólny z wdziękiem marmurowego marzenia i żywego chłopczyny — był Bogiem. Widomym i pragnącym by go widziano. Bo to On jest tą Jednością, która w wdzięku i pięknie obejmuje

i stula w jedno — wszystko, od kopuły nieba do drzewa, do szumów leśnych, marzeń zaklętych w marmury lub muzykę, do wiośnianej krasy ludzi...

Pomyślmy trochę nad jednym, co może nas pocieszy, gdy martwimy się, że śmierć zamknie nasze oczy i nic już widzieć nie będziemy.

Byt i życie to nie jedno. W pojęciu bytu mieści się i wiecznotrwałość, ponieważ byt nie może się stać niebytem; gdy w pojęciu życia tkwi jego skończoność w śmierci. Co żyje, to i umiera. Jedyny byt, to Bóg. Gdy więc poza Nim właśnie jest ta ciemnia głucha, milcząca, której tak się boimy, gdzie powstają, błakają się i giną rozwiewne mary bytów urojonych, — czemuż po byt nie idziemy do Boga? Milej by Mu to było. Bo zaprawdę bytu nikomu On nie skąpi, rozsiewa nieustannie siebie — a więc Byt — i potem idzie po każdą swoją okruszynę, po drobiny Dobra, zgubione w bryłach występku, kału, błota. Rozrzuca Siebie i zbiera Siebie z drobin. I już każda drobina taka ma byt wieczny. Daje go i tym, którzy Go nie widzą. Bo On widzi ich serca. Ale choć Bóg sam nas szuka i odpaść od Niego nie możemy, jeśli jedną bodajby cząsteczką w Nim tkwimy, — może, powiadam, milej by Mu było, gdyby nie zawsze szukać miał, gdybyśmy Mu czasem sami serca nasze ponieśli, nie targując się o byt, nie wy-

praszając nic, ot — poprostu dlatego, że słodko jest ustami, czy sercem przylgnąć do skraju choć szaty Dobrego.

Uczyńmy tak i nie martwmy się o cień śmierci. I za życia oczy widzące, mogą nie widzieć, przymknięte zaś śmiercią — widzą. — Widzenie, nie do oczów tylko jest przywiązane.

Mówił Tolstoj, nie pamiętam dobrze gdzie, zdaje się w jakimś liście, o sobie, że w życiu jego były trzy okresy: młodzięńczy — w którym niepomamowanie cieszył się osobistą radością życia, następny — kiedy zaprzętały go sprawy i służba społeczna — i ostatni kiedy wszystkie myśli jego rwały się ku Bogu i rzeczom duchowym. Sądzić by można, że żywot ludzkości nie innym biegnie torem. — Po okresach indywidualizmu i dzisiejszego budownictwa społecznego, nastąpi bezwątpienia budownictwo duchowe, kiedy nie będzie głodnych chleba i nie odzianych, łaknienie zaś Boga stanie się natomiast powszechnem. I wtedy, coraz bardziej przejrzyste opadną zasłony; myśl boska i oblicze Jego wyłonią się w całej swej prostocie i jasności — i zapewne wielu powie: „Widzieliśmy Go, dotykaliśmy się, głos Jego słyszeli i nie wiedzieliśmy, że to On“.

Czy to bardzo daleka chwila, czy dziela nas od niej tysiącolecia powolnych przeobrażeń? Jeśli pomyśleć, że człowiek dziś jeszcze z wszystkich

złych i dzikich bestyj jest najzłośliwszą i najokrutniejszą, że jest takim nie w wybuchowych tylko chwilach, naprz. czasu wojny, lecz zwyczajnie, co dnia; że żaden drapieżnik leśny przez swe życie nie zdoła wychłptać tyle krwi, ile wytoczy jej człowiek cywilizowany, karmiąc się krwią i mięsem zwierząt; że on jeden zdołał zorganizować mord swoich, jako wojnę, a mord zwierząt — w przemyśle, fachach i handlu; że z drapieżników, on jeden hoduje swe ofiary... Tu pozwolę sobie odeprzeć wtęt, że i tygrys hodowałby sobie stada baranów, gdyby był przemyślniejszy. Tak, lecz jeśliby tygrysiątko lub wilczątka udało się wykarmić piersią krowy lub kobiecą, czy potem kiedyś rzuciłby się do mordu karmicielki? Wątpliwe, a raczej niewątpliwe — że nie. Tylko jeden człowiek karmi siebie i swą dźiatwę mlekiem istoty, której mięsem potem się nasycą. Tylko on jeden zdolny jest stworzenie, które pod dachem swym chował, które w oczy mu patrzyło, głosu jego słuchało, z dłoni jadło, lgnęło doń ufnie — zabić! On jeden wreszcie morduje nie z głodu, na zimno, dla rozrywki! —

Gdy pomyśli się, że ten sam człowiek swą świadomość — wspaniały w swej pełni i jasności splot przeżyć, odczuwań, nastrojów — zdolen jest dobrowolnie zaćmić, wolę zaś — dar królewski — spētać wódką!.. Że zorganizował nierząd i sferę uczuć,

które w całej przyrodzie nic obrzydliwego nie mają, wpełznął w takie błoto, iż symbolem jego może być tylko chlew, z tem jednak zastrzeżeniem, że mieszkańcy jego bynajmniej nie lubują się w błocie i leżą w nie dlatego, iż nikt ich nie uwolni a same uwolnić się nie potrafią od pasożytów, błoto zaś sprawia ulgę cierpieniu skóry... Jeden tylko człowiek i w błoto lezie i pasożyty sam w sobie zaprowadza i gnoi swą duszę — z lubością!..

A jednak nie są to takie straszne rzeczy, dla wyjścia z których potrzebaby tysiącolect. Gdyby jeden tylko człowiek dowiódł, że można zwyciężyć w sobie instynkt mordy, pijaństwo i lubieżność, już sprawa cała stałaby się tem, czem jest w istocie — sprawą woli i wychowania, a więc dwu potęg, które mogą tysiącolecta skrócić do przestrzeni jednego lub dwu pokoleń. Dalej, gdyby drobną część tylko tych wysiłków, woli zabiegów, wiedzy, techniki, kosztów — jakie pochłania społeczna organizacja mordy, skierować inaczej — już dałoby się osiągnąć rozumne i sprawiedliwe spóżyte ze zwierzętami.

Tego progu zaś ludzkość żadną miarą ominąć nie zdoła; potykać się o niego będzie wszelkie budownictwo duchowe i dlatego przyjrzenie się spiętrzonemu u progu tego zagadnieniom jest rzeczą, której do jutra odkładać nie można. Słyszałem zdania ludzi oświeconych, iż sprawy zwierząt winny nastę-

pować po sprawach ludzi; co mówić o krzywdzie psa, gdy słyhać łkanie człowieka; rzeczy społeczne, wciąż jeszcze nie rozwiązane praktycznie, są tej wagi, iż rozpraszać uwagę i rozstrzeliwać wysiłki w innych kierunkach jest nieomal zbrodnią, rzeczy zaś duchowe nie wydaje się by były w bezpośredniej zależności od sprawy spożywania befsztyku lub łagodzenia zajadłości walczących o byt gatunków i osobników zwierzęcych. Przedewszystkiem człowiek! Tak. Co prawda, wolałbym powiedzieć, przedewszystkiem Bóg, ale w sprawie osiągnięcia dobra — nieodłączność Boga od człowieka jest tak widoczną, że byłby to spór o słowa. Więc przedewszystkiem — człowiek i właśnie dlatego poprzedni pogląd nasuwa wątpliwości.

Czy my w istocie zdajemy sobie sprawę z natury dobra? Z bezwzględnej niemożności jednoczesnego wmieszczenia dobra i zła; że dobro ani złem środkami osiągnąć się nie da, ani zezwolić na współrzędność zła nie może. Lecz jeśli zło przerasta wszelką możliwość pokonania go i walka z niem staje się tylko utopijną? Takiego wypadku nie może być, gdyż zło samo w sobie nie istnieje, jest tylko nieobecnością dobra, chaosem skotłowanych mar i widm, które takim zostaje, póki nie spłynie weń dobro. Jak byt nie może być niebytem, podobnie dobro w żadnej swej części, na najmniejszej przestrzeni

swego wcielania nie może przestać być dobrem. Gdybyśmy raz zdali sobie z tego sprawę, nie próbowalibyśmy czystej idei wcielać w życie przy pomocy haniebnych środków. Psychologicznie można w zupełności zrozumieć niecierpliwość i pośpiech ludzi znękanych swoją czy cudzą niedolą (czasem tylko ambitnych, marzących o królewskim gościu, któryby zmienił wygląd świata), gdy odrzucają środki pewne lecz powolne i mają się gwałtownych. Cóż kiedy ta niecierpliwość jest bezcelową i w skutkach podobną do drapania po miejscu dotkniętem egzemą. Jest nadto zbrodniczą, gdyż zabija ideę. Wprawdzie w czystej idei tkwią pierwiastki nie mogące uleść zagładzie, ale idea, jako coś czynnego, rzuconego w wir społeczny, gdzie ma coś osiągnąć, działać, stworzyć — umiera bezpowrotnie; niezniszczalne zaś jej pierwiastki — by mogły znów odegrać rolę czynną — muszą przejść przez nową, czystą retortę i wyłonić się w nowej, nieskalanej postaci. Ujęliśmy niezłomność praw fizycznych, czy podobna, byśmy ująć nie mogli niezłomności moralnych.

Prócz bezwzględного niezgadzania się na zło — tkwi w dobrem równie bezwzględny *nakaz*. Odkąd w świadomości człowieka zarysowało się dobro, którego zaczątki prześliczne widzimy wyraźnie u zwierząt, przy pewnej zaś uwadze dostrzeżlibyśmy i u roślin, duch jego zyskał prężność, pnącą się ku pełni

dobra. W tem pięciu się żadne *zakazy*, żadne bezwładny — setki zaś ich czepiały się zawsze i czepiać będą nóg człowieka — powstrzymać go nie zdołają. To rzecz nakazu. Idzie mi bardzo o ten grunt, gdyż obcy mi jest zupełnie inny. Ludzie niekiedy ujawniają skłonność do ustępstw, gotowość — lubo najczęściej w postaci pobożnych życzeń — przyniesienia *przyjemności* zmysłowych *w ofierze przyjemnościom* duchowym. Otóż — ani o ofiary, ani o przyjemności tu nie idzie, lecz o nakaz, który spełnić muszę, bo jest on istotą tkwiącej we mnie cząstki dobra, z nią zaś związany jest mój byt.

Zakazy płyną z bezwładny, zalegającego na drodze wszelkiego postępu. Bezwładny fuka, gdy go ruszać z miejsca i lubo ciężki, obfituje w fortele, byle nie dać się ruszyć. „Panie kochany — powie — zgadzam się by nie zabijać dorosłej krowy, ale takie małe, głupiuchne cielątko, które nie zdaje sobie sprawy z przyjemności życia, lub wreszcie starą krowę, gdy zbrzydł jej świat? Bo stara krowa na pewno nie cení życia — i choć mięso jej twarde i łykowate, ale z jakimś sosem“... Nie wiem jak ludzkość upora się ze sprawą zestarzałych zwierząt — czy uzna za możliwe skracać im życie, może pozwoli skracać też życie schorzałym i znużonym ludziom, w każdym razie ani jednych, ani drugich nie pozwoli spożywać.

Mówił mi ktoś: „Nie upleram się przy mięsie, ale gdyby mi powiedziano, że memu choremu dziecku potrzebna jest filiżanka rosółu, ja — com muchy nigdy nie zabił — własnoręcznie zabiję wołu i nie dam sobie przetłomaczyć, żebym miał źle czynić.” Szkoda. Skoro filiżanki rosółu nie mogę uzyskać bez zabicia, zabić mi zaś nie wolno, więc — filiżanka rosółu nie istnieje, niema jej wśród środków, którymi mogę ratować moje chore dziecko. A czy mogę mu dać filiżankę mleka lub jajko? Nle wiem jak opowie się ludzkość, układając kodeks stosunków ze zwierzętami; sądziłbym, że biorąc mleko w okresie, gdy zwierzę nie karmi swego dziecka i na siebie wzmian wkładając troskę o ich życie, dach, strawę — lub biorąc jajko z warunkiem zapewnienia kurze trwałości jej gatunku i możliwości zaspokojenia w właściwym czasie potrzeby macierzyństwa — korzystam tylko z wymiany usług. Może się mylę.

Lecz co będzie, gdy *lekarz* się uprze i powie, że broń Boże nie mleko, nie jajko, lecz potrawka z kury, inaczej — Paweł umrze. A więc — Paweł umrze. Codzień umiera tysiące Pawłów i niema dziury w niebie. Będziemy opłakiwali Pawła; opłacze go jego rodzina, może wielu ludzi, może cała ludzkość, jeśli Paweł był genialnym człowiekiem, ale zapobiedz temu smutnemu wypadkowi nie spo-

sób — i jeśli przed skonem Pawła nie zjawi się kura i nie poprosi, żeby ją zabito, bo to ogromną sprawi jej przyjemność, gdy Paweł spożyje ją w potrawce, to potrawki z kury Paweł nie dostanie; jeśli zaś jest genialnym, a więc blizkim Dobra — pierwszy kpić będzie z potrawki i wiele się nie zafrasuje, że dla braku jej, nieco prędzej pożegna się ze światem. Lecz — strata ludzkości? Nie przesadzajmy jej. Genialne Pawły odślaniają Prawdę, która równie jak Dobro — odeń nieoddzielna — zawiera sama w sobie nakaz poznania. Czy ten genialny Paweł — czy inny, tego lub innego imienia — czy zbiorowy chwyt wielu niegenialnych, dość że uważnych badaczy, rąbek jej uchyli — wszystko to jedno. Prawda będzie poznana, bo musi być poznana.

Wspomniałem o naleganiu lekarza. Nie mam jednak, by lekarze i fizjolodzy mieli powiększać bezwład, zawisły kulą galerniczą u nóg człowieka. Przeciwnie. Życie nauczyło mnie jak i innych zapewne, że wśród tej grupy ludzi, pomawianych o materjalizm, są tak gorliwi propagatorowie Boga, wyznawcy w czynie, że nieraz przykładem świecić by mogli urzędowym jego sługom, w kapłańskich szatach. A dobrze, że tak jest, bo ludzkość zażąda od nich innych jeszcze prócz potrawki, zrzeczeń — wiwisekcji, wielu doświadczeń, surowic i t. d. Głos oburzenia, z jakim zawołają, że nie wolno im od-

bierać środków poznania i środków służenia ludzkości — zasługiwać będzie na najgłębszy szacunek, lecz nie na wysłuchanie. Ich względy — wysokie, lecz są wyższe. Dobro jest całością, która stula w sobie także i poznanie i humanitaryzm, lecz nie może być im podporządkowaną. Niektóre środki poznania, niektóre z humanitarnych — zastąpimy innymi, od tego właśnie mamy genialnych Pawłów.

Słowem, sprawa befsztyku tak się przedstawia. Jest to danie doskonałe, nierównie co do smaku i pożywności lepsze od mdłego, jarskiego kotlecika z kartofli lub kaszki zapiekanej. Majonez z ryby jest jednym z najcelniejszych pomysłów kucharki, a kieliszek starki przed tem lub wina potem, według zaś mego gustu szklanka pilznera — to rzeczy przednie. Gdybym mówił inaczej, byłbym faryzeuszem, kłamalbym i durzył innych. Cała bieda, że umieszczone na linii prężności ducha ludzkiego wyśmienite te rzeczy nie utrzymały się na niej i zostały zepchnięte, jako kategoria rojeń zmysłowych, zawadzających w uchwycie Rzeczywistości. O zepchniętych zaś — mowa skończona. Jeśli nie dla nas, którzy odchodzimy, to dla tych co przyjdą. My, wielowiekowej, martwej spuściznie nałogów, możemy przeciwstawić tylko wolę; im — wychowanie ujmie bezwładu. Oni będą zgodni, my zapewne do końca będziemy się spierali.

Po próbach roztkliwienia widokiem słabego dziecka i Pawła na łożu śmierci, po próbach dowiedzenia niezbędności ofiar zwierzęcych dla pozyskania środków poznania i surowic leczniczych, — nasz fukający bezwład wytoczy setki innych argumentów. — Powie, że uzębienie nasze samo już wskazuje przynależność naszą do mięsożernych. Niestety, tak mało ludzi posiada własne zęby, iż jest to raczej sprawa dentystów... Powie, że przemysł, warunki ekonomiczne i handlowe przewrócone zostaną do góry nogami. Być może — lecz po to jedynie, by potem przywrócone zostały do pozycji bardziej normalnej. Zaklnie natenczas, że zwierzęta oszczędzane swą plennością wyprą — panie dobrodzieju — człowieka z powierzchni globu! Bajki. Plenność jest wyrazem trudnych warunków walki o byt, niosącej zagładę większości potomstwa, wyrazem troski przyrody o zachowanie gatunku; spadnie sama, lub zredukowaną będzie do normy niegroźnej dla innych gatunków i człowieka, gdy on będzie regulatorem stosunków w przyrodzie.

Dobro nie pozwala na kwietystyczne przyglądanie się stosunkom, w których kłębi się chaos nieobecności dobra. *Musimy* iść tam i nieść dobro. W otaczającej nas przyrodzie tylko o siłach kosmicznych możemy powiedzieć, że nie wiemy — czy, kiedy i jak zdołamy na nie wołać naszą reagować,

świat zaś roślinny i zwierzęcy jest w rękach człowieka materiałem plastycznym, dającym się urabiać. Nie dość iż dobór naturalny może być zastąpiony sztucznym, możemy nietylko dobierać i utrzymywać, lecz nadto wyprowadzać na jaw cechy pożądane, czyli wnieść w ów świat pierwiastki kształcenia i wychowania.

Czy praca w tym kierunku wymagać będzie jakichś od nas ofiar? Nie — gdyż jest w wysokim stopniu ponętną i z chwilą kiedy człowiek w przyrodzie stąpać zacznie nie jak zbój, pogromca i wyzyskiwacz, lecz przyjaciel, opiekun, nauczyciel — otworzy mu ona bezgranicznie piękne perspektywy. — Nie — raz jeszcze, bo nie może być mowy o ofierze jakiegokolwiek, gdy idzie o rozrost konieczny i nieunikniony naszego ducha. A rozrost ten zaprawdę jest bezkresnym. Stawiając swą wolę rozumną i celową w miejscu okrutnych praw walki o byt, już zyska człowiek prerogatywy nieomal boskie. Bóg nie będzie mu zazdrościł, gdyż sam w nim będzie — i może wtedy właśnie ziści się jakieś Marzenie, które Bóg rozsnuł sobie na prapoczątku świata...

Będziemy nad ziszczeniem jego pracowali w ostatnim okresie powszechnego budownictwa duchowego, które dalekiem nie jest, poczęło się już i niesie nam Ukojenie. Dymiące, purpurowe fale tego morza krwi,

jakie dziś się wylewa, zastygną u stóp Ducha i może będą ostatnią naszą krwawą ofiarą. To będzie jutro.

Lecz my dziś cierpimy. Więc dziś pamiętajmy, że Boga nam nie szukać. Wieloimienny — Rzeczywistość, Byt, Dobro, Całość i Jedność on, marzyciel i twórca, Bóg słowem, — opływa nas jak żywioł, jak powietrze, którem oddychamy i dość nie opancerzać się bezwzględny przeczeniem, zostawić szczelinę tę choć, którą upływa wspólna nam wszystkim tęsknota — i On sam napłynie do świadomości naszej wspaniałym, roziskrzonym strumieniem...

Wołomin, 6 lutego 1915 r.



MOJA BIOGRAFJA.

NOVA BIOGRAPHIA

S kąd i po co? Stąd że jeśli w kimś powstała myśl i oderwana od niego w tej czy innej postaci stała się własnością ogólną, częstką Myśli powszechniej, to może być — sędzę nawet, że winien być — zapytany o jej genezę. A więc — autobiografia jako dzieje myśli na przestrzeni danego osobniczego istnienia, historia powstania jej wśród danego układu warunków życiowych i na podłożu indywidualnych właściwości umysłowych i moralnych.

Urodziłem się 9 maja 1864 r. w Lublinie, w rodzinie urzędniczej. Matka moja była córką rejenta Serafina Konwickiego, lublinianką; ojciec zaś osiadł w tem mieście przygodnie. Był on synem Karola Brodowskiego, dosyć znacznej figury — referendarza rady stanu Kr. Pol., „ober“ — prokuratora b. warszawskich departamentów senatu, z pochodzenia nieszlachcica — gdyż szlachectwo otrzymał dopiero od Mikołaja I. — Na portrecie — fizjonomja biurokraty, z odcieniem poczciwości.

Ojca straciłem mając cztery lata. Myślę, że przetrwał on w mnie chwilę skonu. Jeśli później,

z biegiem lat, wyrobiło się we mnie zupełnie wyraźne poczucie ciągłości powszechnego istnienia, łączności zgoła wyczuwalnej z temi co pomarli, co przyjdą i z całą przyrodą, to już w dzieciństwie więź jakaś nierozzerwana, spajająca trzy istnienia — ojca, — którego w wspomnieniu bardzo tkliwie kochałem, matki i moje — narzucała mi się niezmiernie żywo. Gdy przed kilku laty umarła mi matka w bardzo późnym wieku, który na schyłku życia zaćmił jej i wzrok i władze umysłu, śmierć jej w znaczeniu straty prawie mnie nie dotknęła. Trwanie jej — nieoderwane od mego — czuję. Wyznam, iż spirytyzm budził zawsze we mnie i dziś budzi głęboką odrazę umysłową. Nigdy też matki swojej nie wystawiam sobie jako ducha, nie obcuję z nią jak z duchem, nie wywołuję jej, nie wydaje mi się bym słyszał jej głos. Obcuję z nią jak z samym sobą, rozmawiam, pytam się, proszę o zdanie, proszę by rozważyła moją pracę, moje postęпки i myśli i słucham jej uwag z tem większym szacunkiem, że miała nieskazitelnie piękne zasady i podług nich postępowała, ja zaś nigdy żadnych zasad nie miałem i chcąc sobie uprzytomnić co to jest „postępowanie podług zasad“ — muszę o to zapytywać jej. I gdy ona strofuje mnie, że coś — ze względu na zasadę — jest niedobre, ja otwieram jej głąb swojej duszy i pokazuję zamiast zasady *nakaz*, który inaczej postąpić mi

nie pozwala i mówię jej: „Mamo, ja się temu nie oprę“. Za życia wszystko mi przebaczała i teraz przebacza, chociaż nieraz ranię jej serce, godząc w zasadę. Spieramy się, godzimy i płyniemy wciąż niepodzielnie jednym strumieniem — bez najmniejszej potrzeby uciekania się do praktyk spirytystycznych.

Pierwszy mój drukowany obrazek — przepraszam za odskok, będą się wciąż powtarzały, gdyż idzie mi, jak powiedziałem, nie o życiorys lecz wykrycie i zbadanie w samym sobie dróg powstawania myśli — nosił tytuł: „Niu“¹⁾ i odtwarzał wrażenia i odczucia dziecka, w którym wciąż żyje i odzywa się wspomnienie łączności fizycznej z matką z czasu, gdy w jej łonie było z nią jedno. Nieraz gdy patrzycie, jak dziecko wtula się w matkę, ona zaś chłonie go w jakimś szczególnie namiętnym uścisku, bezwątpienia uczyniliście sobie uwagę, że te dwa oderwane od siebie ciała długo potem *czują* jeszcze swą dawną jedność fizyczną. Lubo obrazek ten pisałem nie ze wspomnień swego dzieciństwa, lecz

¹⁾ Nikły ten utwór przesałem p. Aleksandrowi Świętochowskiemu. Zwrócił mi go z uwagą, że jest to coś niedokończonego, urywek raczej z większej całości. — Wydrukowała go „Gazeta Lubelska“ w roku 1886 czy 1887. Podpisałem go pseudonimem *Henryk Równia*. Obrazek ten się nie zachował.

patrzac na dziecko¹⁾), dla wczucia się jednak w jego wrażenia posłużył mi oczywiście odzew własnych przeżyć. Wspominam o tem dla tego, iż długotrwałość więzi fizycznej była stopniem; po nim moja myśl wspięła się do nierozzerwalności więzi intelektualnej i duchowej, którą objąłem zrazu trzy nasze istnienia, później zaś wszystkie intelektualnie i duchowo do siebie przystające cząsteczkami Dobra, czyli Jedności Boskiej.

Wracam do swoich wspomnień rodzinnych. Rodzice moi posiadali kulturę umysłową. To mi jest miłe. Bezwątpienia, nie mniej bym ich kochał, gdyby byli prostakami, lecz wspólność pierwiastków intelektualnych sprawia, iż dusze większemi przystają do siebie obszarami. — Z patentu ojca widzę, iż „licząc lat 17 po ukończeniu nauk w Gimnazjum 2-im Warszawskiem zapisany w poczet Uczniów Kursów Prawnych Warszawskich“ ukończył je w r. 1845 „przy sprawowaniu dobrem“ (więc nie celującym podobnie jak syn jego piszący te słowa, który za krnąbrność — „stroptiwost“ otrzymał w patencie Rówieńskiej Szkoły Realnej czwórkę z prowadzenia).

¹⁾ Bardzo miłe i dobre. Był niem mój siostrzeniec Jerzy Frieman. Jako sztabs-kapitan wojsk rosyjskich—ubiegłej jesieni, wśród posepnych jezior Mazurskich, poległ on piękną śmiercią żołnierza.

Stopień celujący przyznano ojcu z historii prawa rzymskiego, prawa cywilnego Królestwa i literatury łacińskiej, reszta dobrych za wyjątkiem historii i statystyki Państwa rosyjskiego i historii prawodawstwa polskiego; z tych tylko dostateczny ¹⁾).

Matka moja otrzymała staranne wykształcenie domowe. Niektóre przedmioty—jak historję powszechną i polską, geografię i botanikę znała gruntownie. Oczytaną była bardzo. Już po zupełnej niemal utracie wzroku — póki tylko wiek nie zaćmił jej umysłu — każda nowa książka, czy trafiała jej do przekonania czy nie, gotowała jej święto. Była gorliwą katoliczką. Stosunek jej do religji i katolicyzmu budził we mnie — nawet w tej dziwnej, przemijającej, dziś wręcz niezrozumiałej dla mnie samego epoce mego życia, kiedy zaliczałem siebie do bezwyznaniowych — szacunek i zajęcie. W katolicyzmie widziała jakąś kolosalną, niebotyczną potęgę duchową i intelektualną, przerastającą ciasne pojęcie wyzna-

¹⁾ Karjera jego służbowa była krótka. Jako aplikant sądowy przy trybunale cywilnym w Warszawie zaliczony został do Komisji „dla rewizji do ułożenia praw Król. Pol. w S.-Petersburgu ustanowionej.“ Potem jako urzędnik do szczególnych poruczeń Komlsmi Rządowej sprawiedliwości został delegowany do pracowania w sądzie kryminalnym w Lublinie. Opuścił wkrótce służbę i został rejentem. Zmarł w r. 1869, w wieku lat czterdziestu paru.

nia, pełną prężnych, żywych pierwiastków, zdolną do wyłonienia zarówno Czynu, jak i Marzenia — subtelnego, lotnego, bezkresnego. Mówiła, że nie może być pochlebniejszego dla polskiej duszy zbiorowej świadectwa nad tę jej zdolność i potrzebę wchłonięcia w siebie przedziwnej tej potęgi, zrośnięcia się z nią; proces ten — mówiła — nastąpił w najgłębszych warstwach duszy narodu i ktoby zbadał drogi jej ciężenia ku katolicyzmowi, sięgnąćby musiał do jądra duszy polskiej. Żaliła się, iż takie ciekawe, głębokie zagadnienia leżą odłogiem i może pieściła marzenie, że to jej syn będzie tym badaczem, który pokaże jak i dlaczego dusza polska omotała się siecią katolicyzmu, wsunęła się w niego, przerosła nim, dlaczego ciężą ku niemu zarówno warstwy oświecone, jak nieoświecone, skąd ta ich wierność kamienna, nieporuszona, nieprzełamana, dlaczego — mawiała — można sobie wyobrazić polaka sprzedawczyka, renegata, wyzbywającego się wyznania i narodowości dla pełnej miski — ale pomyśleć polaka wyznania mojżeszowego, prawosławnego, nawet luteranina nie można. „Wierzę — mówiła — że to będzie najzacniejszy człowiek, przywiązany i poświęcony syn tej ziemi. Jednak coś mu brak i to najważniejszego — możliwości uzyskania bezpośredniego kontaktu z duszą narodu. Niech przyjmie katolicyzm i na pierwszej mszy katolickiej, w najskromniejszym

kościółku wiejskim, otworzy mu się furtka dotąd przed nim zabita. Do przekroczenia zaś jej nie może nie tęsknić, gdy w nim tkwi choć źdźbło polskości“. „Jestem przekonana — pisała mi kiedyś — że to, co się wyrabia we Francji, u nas nie mogłoby nastąpić, choćby rząd nasz był w rękach najskrajniejszych żywołów, byle polskich, nieżydowskich lub innych. I wtedy ksiądz katolicki chodziłby sobie najspokojniej i w mieście i po wsi. Pierwiastkami ducha myśmy daleko od francuzów bogatsi i jeśli kiedyś Bóg sprawi, że przodownictwo intelektualne i duchowe przejdzie od nich do nas, to będzie za sprawą wierności naszej tym pierwiastkom, które z nas ostoję katolicyzmu uczyniły. To nie wyznaczenie, to — polot ducha.“

W owym najmarniejszym okresie mego życia, o którym wspomniałem, mawiała: „Jestem pewna, że wrócisz do religii i katolicyzmu. Odbywa się w tobie jakiś proces, którego dobrze nie rozumiem, ale mówię sobie, że błędzisz dlatego, że szukasz. A skoro szukasz to już dobrze“. Gdy przypomnę sobie te impresje filozoficzne, które snułem przed nią — i jak niczem nie okazała swego bólu, zapewne w obawie, bym nie zamknął przed nią duszy, wydają się samemu sobie małutkim i obrzydliwym. Patrząc na mnie z wysokości widziała mnie bezwątpienia jako karzełka, gdy w gęstwinie traw buńczucznie

toruje sobie drogę i napotkawszy wystający z ziemi kawałek korzenia wielkiego drzewa mówi: „Jak to dobrze, że drzewa są takie małe i świat tak uproszczony. Zbadam go w ciągu godziny a w ciągu następnej opiszę“.

Miała zdolności pedagogiczne i popularyzatorskie i trochę inklinacji literackiej, nie popartej talentem. Drukiem ogłosiła, około r. 1875, pod pseudonimem Bogumiły, książeczkę p. t. „Kobieta w rodzinie“ — i w pismach nieco artykułów; w rękopisie zostawiła kilka prób spopularyzowania historii polskiej i geografji.

W naszych rozgałęzieniach rodzinnych widzę stryjecznego brata mego ojca — Józefa Brodowskiego, znanego w Warszawie artystę malarza, i rodzzonego mej matki — Stanisława Konwickiego. Żałuję, że go nie znałem; zdaje mi się, że w niektórych kierunkach, np. poczucia piękna był on bogaciej od mojej matki uposażonym. Czytałem listy jego do siostry — prześliczne, drgające głęboką wrażliwością artystyczną, bogatym odczuciem piękna w przyrodzie i sztuce. Jako młodzieniec, wyrostek niemal brał udział w powstaniu, wyemigrował potem do Paryża i nigdy już do kraju nie wrócił. Nie mam pewności co było przyczyną tego, czy nie mógł uzyskać pozwolenia na powrót, czy wessał go Paryż. Pisywał stamtąd, pod pseudonimem Stanisława Rów-

ni, korespondencje do dawnego „Echa“ warszawskiego i, zdaje się, do „Wleku“; był nauczycielem szkoły w Batignolles. Paryż dotknął go zarazą ateistyczną; na krótko przed śmiercią pojednał się z katolicyzmem. Sądzę, że Bogu Piękną i Dobrą nie przენiewierzył się nigdy. Umarł mając lat 30; strawił go Paryż, nędza i suchoty. Dla uwypuklenia pewnych podobieństw duchowych i życiowych jego ze mną — jakie nasuwały mi się gdym swoje i jego życie zestawiał, winienem dodać, że w Paryżu ożenił się, po kilku latach pożycia nieślubnego, z dziewczyną bardzo niskiego pochodzenia, o jakimś dziwnie pospolitego, nawet komicznego brzmienia nazwisku — Pipelet, czy coś podobnego. Rodzina ta całym swym kompletem wessać go musiała, gdyż po śmierci pierwszej żony, ożenił się z jej siostrą. Obfity zbiór jego listów do mej matki, wśród których były bardzo ciekawe z czasu oblężenia Paryża, nieszczęśliwym trafem zaginął, nie tracę jednak nadziei odzyskania go.

Dwie siostry mojej matki — Paulina i Marja Konwickie — były zakonnicami; pierwsza szarytką we Lwowie, w jakimś zakładzie karnym dla kobiet; druga wizytką z tych, które wyemigrowały z początku do Niemiec, później do Anglii, gdzie w Roselands Walmer (Kent) założyły pensjonat klasztorny dla panien. Twarze ciotek znam tylko

z fotografii — miłe; dusze trochę z listów, ale to źródło mętne; Marja naprzykład w listach robi wrażenie oschłej, nasiąkniętej formułami ortodoksyjnymi, bez żywej treści; skądinąd zaś wiem — mówiła mi moja siostrzenica Wanda Frieman, która w owym w Roselands Walmer pensjonacie się kształciła — że żywej dobroci i tkliwości w Marji było wiele. Paulina zaś to już i z listów i opowiadań przejrzyszcie świetlany człowiek; cała w dobroci i ofiarności.— Obie dawno już zmarły.

Powtarzam, że miło jest doszukiwać się w rodzinie nitek duchowego powiązania. Tak zwanym związkom pokrewieństwa, istnieniem nici owych niepoświadczonych, trudno zaiste jakąś wagę nadawać. Gdy mi matka, lub ludzie obcy opowiadali o moim ojcu, że był to umysł marzycielski, że lubił dalekie, samotne przechadzki, długie sam na sam przebywanie z przyrodą, gdy mi pokazano ławeczkę, na której siadywał w ogrodzie miejskim w Lublinie (wspomniał!), gdym z tego miejsca wpatrzył się w to, na co on patrzył, — czułem, jak łatwo rozrasta się moje ja i obejmuje jego. W tem tkwi jedyne istotne, nie zaś przygodne pokrewieństwo. Miło mi jest wiedzieć i stwierdzać opinią ludzi, że na pamięci moich rodziców nie ciąży żadna plama, żadna skaza moralna. Syn ich nie może tego o sobie powiedzieć; szedł do Boga jakąś drogą okólną, daleką,

przez moczary ponure, ziejące jadowitym oddechem występku, zgaszeń myśli, serca, cnoty, przez ostępy, w gąszczu których nie tylko kaleczył, lecz zdierał duszę. Mimo to przyszedł gdzieś, gdzie jest widniej. Jeśli przyszedł żywy, nie oślepy, nie ogłuchły ze zdolnością od odepchnięcia się od wszystkiego tego moczarowego plugastwa, do lotu, z widzeniem tęcz złud i wyczuciem Rzeczywistości jedynej — czy można przypuścić by w jego wędrówce nie czuwały nad nim ręce niewidzialne dobrych, czystych, nieskalanych istot, by cnota ojca i matki nie była talizmanem, który jemu więcej niż życie zachował!

Po śmierci ojca został matce mały domek z ogrodem w Lublinie i bardzo niewielki fundusik. Chcąc kształcić troje swych dzieci — dwu synów i córkę — musiała się wziąć do pracy zarobkowej. Założyła pensję prywatną dla panienek. Było ich cztery, czy pięć. Korzyści innych nad to, iż pokryty był koszt edukacji mojej siostry, pensyjka ta zapewne nie dawała. Wiążę to z tą okolicznością, iż w parę lat po śmierci ojca — gdy miałem jakieś siedm, ośm lat — począł się zjawiać w domu naszym żyd. Był to stary człowiek, pochylony, z długą, siwą brodą i bezzębnymi, zapadniętymi ustami, — które okalał dziwnie ujmujący uśmiech. Miał w swej twarzy i cichej, szepleniącej mowie coś tak miłego, że ja — co dzieckiem na każdego obcego przybysza,

na każdą nową fizjonomję patrzałem z jakąś dziką, psią nieufnością — do niego przylgnąłem odrazu i tęskniłem do jego odwiedzin. On zaś nie chybiał w tym względzie, gdyż był to lichwiarz, który matce mojej niewielkie kwoty na dwudziesty któryś procent rocznie wypożyczał. Mama mówiła, że inni wymagali jeszcze więcej i że on był względnym wierzycielem. Mało mnie to obchodzi; jeśli krzywdził nas, rzecz to jego sumienia, ale ja go lubiłem. I matka również. Przesadywał u nas, rozmawiali z sobą długo, matka prowadziła z nim zdaje się dysputy teologiczne i może chciała go nawrócić na katolicyzm, on zaś kiwał na to głową z miłym uśmiechem i opowiadał ładne rzeczy o swym Jehowie. Wyidealizowałem go potem w obrazku „Strącone liście“¹⁾ przez pewnego rodzaju wdzięczność nie za to, że pobierał od nas dwadzieścia kilka procent, lecz — że był z tych nielicznych w dzieciństwie mojem ludzi, od których zaraz na wstępie, przy pierwszym widzeniu, nie oddzieliła mnie lodowa, nieprzenikniona zapora.

A byłem dzieckiem — okropnem i bardzo nie-
szczęśliwem. Wcale nie ze względu na jakiś wy-
jątkowo nieprzyjazny układ warunków życiowych,

¹⁾ Zamieszczony w zbiorku *Chwile* i powtórnie w książce zbiorowej *Z jednego strumienia*.

bo niedostatek nas wtedy jeszcze nie nękał, matkę miałem dobrą, rodzeństwo dobre i miłe — lecz z powodu właściwości natury mojej. Otóż przedwszystkiem była to niesłychana bojaźliwość i nieśmiałość. Bałem się nie wiedzieć czego. Wszystkiego—od szczeknięcia psa do ciemności pustego pokoju, od odgłosów burzy do najprostszej w dzień pogodny wycieczki lub zaprosin w gościnę, od przedsennych jakichś widzeń do pierwszego otwarcia ócz zrana. Otworzyć oczy na świat — to już był ból i lęk. Zewsząd dybały na mnie strachy. Wtulić się w matczyną spódnicę i nic i nikogo nie widzieć — to był stan najmiłszy. Bałem się życia a nadewszystko ludzi. Świat był pełen czarnych kątów, w których czaiła się nieżyczliwość i wyzierały jakieś twarze zimne, lub wykrzywione, lub szydercze. Sama myśl o obcym tchnęła strachem. Zapowiedź czyjejs wizyty już wprawiała mnie w rozdrażnienie i niepokój. Nie było zdarzenia by do gości nie wyciągano mnie przemocą z kąta. Na przemoc zaś reagowałem zaraz nienawiścią i na pocziwców odwiedzających nas w święta patrzałem okiem, które nie przyniosłoby im nic dobrego, gdyby mogło — kąsać. Wyciągnięty z kąta znikałem po chwili tajemniczo w jakiejs kryjówce, której nikt się nie mógł domyśleć i skąd już żadna moc by mnie nie wydobyła. Wtedy nie bałem się nawet ciemnego pokoju; wołałem

ciemność z urojonemi strachami, niż żywych ludzi. Gdy wizyta się przeciągała bywałem głodny; siostra umiała mnie czasem odnaleźć i przynosiła mi do mego schowanka coś do zjedzenia. Nie jadłem dopóki „tamci“ sobie nie poszli; wtedy wracał mi apetyt i spadał jakiś ciężar z piersi.

Ale bywało i tak, że schowany między szafami lub pod stołem i upewniony co do swej nietykalności poczynałem przysłuchiwać się rozmowie, opowiadaniom, śmiechom dorosłych lub przyglądać zabawie kolegów i koleżanek mego starszego roduństwa. I jakoś zapominałem o swoim wystraszonem *ja* i żyłem *za sobą*, zawieszając się na czyichś ustach, przelewając się w czyjś śmiech, ruchy, gesty. Zamykałem oczy i mówiłem sobie, jakie to dziwne, że ja jestem i tu i tam. Czasem brała mnie chęć opuszczenia swego kąta i wmięszania się do toczącej się przedemną akcji, ale paraliżowała mnie nieśmiałość i wstyd fałszywy. Jak to wszystko odbiło się później w mojej kontemplacyjności, niemocy czynu, niezdolności do wzięcia udziału w akcji i wprowadzenia jej do swoich utworów!

Takie usposobienie w dzieciństwie miało dla mnie wielorokie następstwa. Ponieważ nie obcą mi była tkliwość — owszem, sądzę, że był jej nadmiar lecz utrudnione drogi wyładowania — więc gdy

się zdarzało, że z owej cizby obcych straszaków ktoś przeszedł na drugą stronę, do nielicznych „swoich“, blizkich — takiemu z miejsca gotów byłem rzucić się na szyję, może natrętnie nawet. To natręctwo musiało chyba dziwić patrzących na mnie, bo to — albo jak kociak fuka, chowa się i ucieka, albo przylepi się jak plaster, lezie niejako ze swą miłością nieproszony. Dużo mi się faktów takich przypomina; widzę w nich wiele podobieństwa do dróg uczuciowych u zwierząt, zwłaszcza u psa i innych domowych. Nie uraża mnie ono; rozważając te podobieństwa, później znacznie doszedłem do zrozumienia psychiki zwierząt, do możliwości wczuwania się w nie.

Dodać muszę, że wybór ludzi, którym — jak mówię — gotów byłem na szyję się rzucić — bywał bezkrytyczny; intuicja dziecka nieraz je zawodziła, omyłki zaś nie mogły nie przynosić skutków ujemnych. W ogólności jednak — dobrych czy złych — ludzi takich było bardzo niewiele. To naturalne, bo w istocie ile dobrej woli potrzeba, cierpliwości, wyrozumienia, żeby jeża takiego czy okunia ugłaskać i do duszy mu zajrzeć, tem więcej że jakieś bezpośrednio do mnie zwrócenie się celu chybić by mogło. Rękę która by pogłaskać, cukierkiem obdarzyć i popieścić mnie chciała, pewniebym podrapał — jeśli nie ugryzł. Do przełamania lodów potrzeba było czego innego — bym na człowieka popatrzeć mógł z strony, wcale przez

niego niezauważony i żeby człowiek ten w obserwacji mojej przełamał się jakąś ujmującą cechą, czy zewnętrzną — w rysach, uśmiechu, wyrazie ocz, głosie, czy — w postępowaniu; słowem nie zażegnania zewnątrz, lecz promieniowania trzeba było jakiegoś ku niemu odemnie zewnątrz ciepłem, uśmiechem, chęcią dobrowolną powitania, ucałowania, przylgnięcia. I wtedy człowiek ten wołać mnie nie potrzebował, szedłem sam i lgnąłem już natrętnie.

W owych latach zwierzęta nie grały w mojem życiu zadnej roli, natomiast inny świat o bardziej bezwładnej od nich i prostolinijnej psychice — wobec skąpych relacji z ludźmi — narzucił mi się z ogromną siłą. Świat roślin.

Ładny był nasz ogródek w Lublinie. Na terenie dość urozmaiconym miał bujną roślinność. Wzdłuż, środkiem biegł wał, podobny do resztek jakiegoś okopu, kończący się niby bastjonem górką, z wewnętrznej strony jak wały forteczne niższy, z zewnętrznej wyższy, bo uchodzący niżej jakby w fosę. Jak powstał — nie wiem; o okopach w tej stronie miasta nikt nie wspominał. Dzielił ogród na dwie części — wyższą, bardzo słoneczną, gdzie i kwiatów moc i dość piękne były klomby delikatniejszych krzewów i wśród skąpanych w słońcu trawników cenniejsze drzewa owocowe, wzdłuż parkanów maliny troskliwie wypielęgnowane a przy wale porzeczeki

i agrest w dobrze utrzymanych rzędach — i dolną, ocienioną więcej i chłodniejszą — tu warzywa i królestwo śliwek i jabłonek; w kąciku, znów słoneczną mającym wystawę, szparagarnia, a wzdłuż tylnego parkanu szereg starych grabów. Miał urocze zakątki. Na górcie przepyszne bzy i jaśminy utworzyły naturalną altanę, odurzająco wonną w czasie kwitnienia; w gęstwinę ich weszło tylko jedno drzewo duże — lipa (dwie ich tylko było w całym ogródku); na zboczu rósł jesion i pięły się gąszcze berbersu.

Ponieważ obcowanie moje z roślinami poczęło się odrazu na tle uczuciwem — w poszukiwaniu przyjaciół, powierników, przedmiotu ukochania, więc odrazu też narzuciły mi się ich cechy osobnicze. Widziałem przed sobą nie gatunek, lecz indywidua wyraźnie odrębne. Stąd kwiaty dla swej mnogości, małego zindywidualizowania i krótkotrwałego zresztą istnienia nie tyle zajęcia we mnie budziły; lubiłem je — zwłaszcza fijołki i narcyze, ale inaczej, niż krzewy nie wskupieniu rosnące i — przedewszystkiem drzewa, które w małej ich liczbie uderzyły mnie obfitością cech osobniczych. Tu już każda gruszka była inną; każda czereśnia inną; lipa rosnąca na górcie miała w oczach moich więcej różnic niż wspólnych cech z lipą w pobliżu domu, dlatego że widziałem w drzewie każdą jego zmarszczkę,

każde pęknięcie czy uszkodzenie kory, każdy sęczek czy narośl, miejsca stoczone przez owady, odłubane dziobem dzięcioła, sączące żywicę, dotknięte jakimś cierpieniem, rany, skaleczenia i złamania, uważałem na kierunek pochylenia drzewa, układ gałęzi, nazywałem je ramionami (i później zawsze słowa konar i ramię — mieszałem) i cały ten obraz nasyciałem swemi ludzkimi odczuciami — bólem, płaczem, uciechą, nadzieją.

W tym światku znów kierowałem się nicią sympatji i antypatji, zapewne bezkrytycznej lecz jakieś źródła mającej. Graby na końcu ogrodu, budziły we mnie nieufność i lęk; jakże mi żal tego, gdy pomyślę, że już nie żyją i że je krzywdziłem. Sympatja dla pewnej czereśni może nie była bezinteresowną, bo i owoc jej nie był mi obojętny. Lipę na górcie polubiłem dla tego może, że dziwnie rosła, była niskopienna i konary jej rozdwajały się tak blisko ziemi, a gałęzie tak się ułożyły, że to było jak schody, które same niejako podsuwały się pod stopy dziecka, pragnącego wejść na drzewo i popatrzeć w dal. Dobry to był przyjaciel, żadne drzewo tak życzliwie mnie nie przygarnęło, z żadnym nie byłem tak poufały. Pieściłem kwiaty, kochałem róże i bzy; *rozmawiałem* z jedną tylko tą lipą, lub całym ogrodem, gdy cichy, majowy wieczór spoił go w jedno. I dziwna rzecz — bałem się ciemnego

pokoju, nie bałem się ciemnego ogrodu; szeleszczący jego oddech uspokajał mnie; z niechęcią myślałem o mieszkaniu i siedzących tam strachach, których tu nie było. Kiedyś uświadomiłem sobie to wszystko w wielkiej wdzięczności, a z tego ziarna urosła z czasem tak ogromna miłość przyrody, że mocy jej nazwać nawet się nie kuszę. Nikomu i niczemu tyle nie zawdzięczam — pociechy, ukojenia, zachęty, poznania Boga, poezji, pogodzenia się z życiem. Stałem się tak jedno z nią, że sam czuję się jak jakiś żywioł rozlewny; trwać będę nie w swych marnych utworach, nie w duszach i sercach ludzi, lecz w lipach i szumiącym borze sosnowym. Nie jestem obłudny, więc powiem, że nigdy człowieka — jednego, lub zbiorowego — tak nie kochałem... W uczuciach dla ludzi zawsze coś się rwało; tu — jedna nieprzerwana nić.

* * *

Zima wtedy — równie jak dziś — była dla mnie czemś okropnem. Świat najzyczliwszy i najmiłszy oddalał się odemnie, uchodził w siebie, zamykał na siedm pieczęci. Nie mogłem tego zrozumieć i w jakimś trwożnem napięciu oczekiwania wyglądałem wiosny. Ale w wytworzoną lukę coś musiało napłynąć. Napłynęła — książka. W kraju wiecznej wiosny chyba nikt by mnie do abecadła

nie napędził. Książkę zrodziła zima. Jej zawiązki musiały powstać z gawęd lub marzeń w zimowe wieczory gdy ciało się kuliło z chłodu, dłonie wyciągały ku ognisku, myśl zaś — jędrniejsza i skąpiona — poczyniała błyszczeć, świecić i grzać silniej niż płonące polana. Malutkiego widzę siebie nad Starym Testamentem i *Emilem*. Dla czego te książki? Kto mi je dał — nie mam pojęcia. Księgozbiór mieliśmy dość liczny; dostęp do niego — dla dziecka, którego niktby nie posądził o chęć zgłębienia idei Rousseau'a — nie był kontrolowany; łapałem co chciałem, czytałem w kąciuku. Więc — Biblia, *Emil*, Don Kichot, Gulliwer, Robinzon, Przyjaciel Dzieci, Tygodnik Ilustrowany z powieścia Zacharjasiewicza *Mąż upatrzony* i ilustracjami z wojny francusko-pruskiej, Ballady Mickiewicza, Pan Tadeusz (głośno przez kogoś czytany), Nieboska i Irydjon (głośno przez matkę czytane dla starszych), małe tomiki klasyków polskich, lub dla odmiany wyciągnięty z półki duży tom historii powszechnej Cezara Cantu — albo, co lepsze olbrzymia księga Słownika Lindego, cięższa odemnie — w której chyba szukałem obrazków. Nauczyłem się czytać mając lat sześć, może i nieskończonych; w siódmym począłem zakładać swoją biblioteczkę. Pierwszą książeczką, którą kupiłem w księgarni Arcta w Lublinie, był mały tomik Lilli Wenedy, drugą Mindowe (zdaje się

z biblioteczki „Mrówki“); następne Jeż i Kraszewski.— Chciałbym sobie uprzytomnić co z tych książek, czytanych w latach życia — siódmym, ósmym mogło zostawać w umyśle. Wszystkie te książki, czytałem później powtórnie jako rzeczy zgoła nowe. Ależ i to trzeba wziąć pod uwagę, że niektóre z nich — jak Bibliję, Don Kichota, Mickiewicza, Krasieńskiego — odczytywałem i po raz trzeci, czwarty, dziesiąty i może jeszcze przeczytam jako rzeczy poniekąd nowe, bo w nowem przełamaniu myśli widziane. To więc nie dowód by wtedy nic nie zostawało. Przedewszystkiem po każdej książce nawet niezrozumianej, a może najbardziej po niezrozumianej zostawała jakaś tęsknota do jej zrozumienia, t. j. to właśnie co później zniewala wrócić do niej powtórnie—i raz trzeci... Dalej, każda bezwątpienia książka była szpulką, na którą ja sam się nawijałem snując jakieś marzenie. Czy to jest dobrą czy złą stroną wczesnego czytania wszelkich książek, bez wyboru — nie wiem. Marzycielem byłbym i tak, czy z Bibliją i Emilem czy bez nich. Jaki cel w zamknięciu furtek i utrudnianiu szukania wątków do marzeń? No, wtrącić muszę, iż łajdackich książek, plodów sprostytuowanej myśli w księgozbiórce rodziców moich nie było i te mi nie zagrażały. A czy sądzicie, iż taki słownik Lindego w rękach dziecka, które zaledwie tom udźwignąć mogło, był przedmio-

tem obojętnym, bez wpływu na kształcenie się myśli? Z tych wielkich ksiąg biła do mnie pokusa, a odemnie ku nim tęsknota. Pytałem się: „Co to jest takie ogromne?” Matka mi zaś odpowiadała: „To bogactwo naszego języka. Ogromny skarb. Schowaj go w sercu do tego samego kącika, gdzie masz Pana Tadeusza i Orcia i twoich kochanych Lelum Polelum, białą Lilę, królowę Jadwigę, bitwę pod Grunwaldem, księdza Kordeckiego”. — Czy takie rzeczy przechodzą bez wrażenia?

Uczyć się zacząłem wcześniej i z wielką ochotą. Podkreślałem to trochę by zestawić z późniejszą dziko płomienną nienawiścią — nieugaszoną, dziś ty-leż piekącą co i dawniej, może jedyną w tym stopniu choć wiele rzeczy nienawidziłem, — nienawiścią do pierwszej mojej szkoły. Uczyła mnie matka, pamiętam jej historję polską w obrazkach, które skądciś powycinała i tekst do nich ułożyła; pamiętam pisany katechizm. Bardzo go lubiłem; te pytania i odpowiedzi sprawiały na mnie wrażenie rozmowy nie z nauczycielem, lecz z samym Bogiem. Zda-wało mi się, że to On się pyta: „Ilu mnie jest?” — I ja odpowiadałem: „Jeden jesteś, Panie.” — „A gdzie jestem?” — „Wszędzie, ukochany mój Panie, koło mnie i we mnie gdy Cię nie obrażam”. A Historia święta — ileż w niej uroku. A początki geografji, kosmografji, botaniki, zoologii — toż to nie były

w owym czasie domowego uczenia przedmioty do wykuwania, lecz coś, co dawało ogromny rozpęd myśli i wyobraźni. Toć patrząc na globus czy atlas w rękach matki i słuchając jej skromnego wykładu (mówiła z cicha i wolno), który jednak wciąż dla nauki i jej umiłowaniem tchnął w każdym słowie — *widziałem* ziemię — Sacharę i palmy oazy, — Sfinksa zagrzebującego się stuleciami w piasek — i lody Północy. Płynąłem *Drogą mleczną*. Sięgałem w głąb zwartego jeszcze pąka róży; słyszałem rozgwar czyniony w puszczy podzwrotnikowej przez nieznanne mi zwierzęta. Rozrastałem się śmiało i lotnie na wszystkie strony. — A szkoła — no, później o niej...

* * *

Miły nasz ogródek najżywiej mi się przypomina, gdy na wiosnę kwitł cały w jakimś żarliwym, młodem rozradowaniu, gdy kwitł swemi wiśniami, jabłoniami, gruszami — i później, gdy zakwilał marzeniem swych cudnych róż. Z tym ogródkiem wiąże jeszcze dwa wielkiej dla mnie wagi wspomnienia — mój pierwszy romans i moje zapoznanie się z ludźmi prostymi, z nizin.

W dzieciach marzycielskich i samotniczych romantyczne czy erotyczne popędy — we wszystkich chyba — wczesnie się budzą. Miałem wtedy lat jakieś dziewięć. Mówiłem już, że w wyborze ludzi, którzy nie „mrozili“ mnie, nie zawsze byłem szczęśliwy.

Nie pamiętam już w jaki sposób przylepił się do mnie jakiś chłopiec z sąsiedztwa, starszy ode mnie o lat trzy, uczeń zdaje się wstępnej czy pierwszej klasy. Szukał znajomości ze mną i wyraźnie schlebiał mi — najwięcej w czasie dojrzewania porzeczek i agrestu, a potem — gruszek i śliwek. Mętna figura, umiejąca naszeptywać do uszu brzydkie rzeczy. Otóż jakoś wypaplałem do niego, że przez dziurę w parkanie, oddzielającym naszą posesję od tej, gdzie on mieszkał, przyglądam się codzień bardzo ładnej dziewczynce i to tylko wiem o niej, że nazywa się Emilcia.

Zwąchał natychmiast korzyści nowego odkrycia; urodzaj agrestu był wielki, a zwierzenia nasze odbywały się jakoś zawsze w pobliżu gęsto owocem osypanych krzaków.

Spojrzał na mnie domyślnie:

— Emilcia Ł. Znam ją doskonale. Kochasz się w niej? Pysznie się składa. Napisz-no tylko list, a ja jej oddam.

Nie oparłem się pokusie i napisałem.

Tyle tylko:

„Emilciu, kocham cię i kochać będę do śmierci“.

Niespodziewanie prędko przyniósł mi odpowiedź. Napewno, zbrodniarz, napisał ją sam:

„I ja panu jestem życzliwą.

Emilcia“.

Nie sprawdzałem nigdy czy to było jej pismo. I po co? Nie trzeba zaglądać za złudę ani ścisnąć palcami kolorowej bańki mydlanej. Owszem, *wtedy* trzeba *wierzyć* — listom, spojrzeniom, nieuchwytnym obietnicom uśmiechu, nawet przysięgom. Jedno powiedziałbym, że rozpinając swą złudę lepiej chyba brać do tego coś pięknego. Królewski płaszcz swego marzenia, utkanego złotem i perłami, zarzucił Don Kichot na brudne ramiona folwarcznej dziewczki. Tak mu się podobało i tak zrobił, i dobrze zrobił, gdyż chciał dowieść i dowieść istotnie, że rzeczywistość tkwi w nas nie zaś w tem, na co patrzą oczy rozmarzone. Ale ja wolę, że moja Dulcynea była milutką, pełną wdzięku dziewczynką, z rozwianemi pukielkami jasnych włosów, z muzyką cieniów i uśmiechów przelewających się po twarzyczce, żywą, roześmianą — uroczą antytezą mego zdziśiałego samotnictwa.

Jeśli mój Mefisto podsunął mi własne pismo, na czem zarobił kilka więcej garści agrestu, to w dalszym toku rzeczy okazał jednak istotną gorliwość.

Widziałem — przez pamiętną ową dziurę w parkanie wyglądając — jak łakomy Mefistofeles kusił Małgorzatkę; coś do niej żarliwie mówił — ręką na nasz ogród wskazywał; może cuda o kwiatach naszych opowiadał; mnie może wystawiał jako zakłę-

tego królewicza, może co najprędzej — próbował ją roztkliwić mówiąc o dzikim, biednym chłopcu bez towarzyszy, który przesiaduje pod szopą i przez dziurę w parkanie przygląda się ich zabawom...

Dość, iż dopiął czego taki djabełek zawsze dopnie — obudził przedewszystkiem jej ciekawość. — I oto Emilcia z drugą dziewczynką zaczynają jakoś kołować, serso ich potoczyło się w stronę parkanu, jeszcze chwilka — zagląda rezolutna twarzyczka i śmiały głosik rzuca mi pytanie. Odrobina zastanowienia w owej chwili wystarczyłaby dla ustalenia, że list był sfałszowany, gdyż tam nazywano mnie panem, tu — najzwyczajniej mówiła ty:

— Czy ty jesteś Felcio B?

— Tak.

— Czemu siedzisz sam i nie przyjdiesz się bawić z nami, jeśli tam nie masz nikogo?

— Sam nie wiem. Nie umiem się bawić.

— To się nauczysz.

Zajrzała do mnie przez dziurę.

— Siedzisz pod jakąś szopą sam. Przyjdź tutaj. Tu się schodzą dzieci i z innych domów, bo dużo miejsca na podwórzu i w środku jest klomb, gdzie chłopcy bawią się w zbójców. A ty może wolisz w piłkę?

— Ani w zbójców, ani w piłkę.

— Czy udajesz dorosłego? Fe! Może jesteś o rok starszy odemnie. Słuchaj — jeśli jesteś grzeczny, bawiłbyś się może w kotka i myszkę z dziewczynkami. Tu chłopcy są niezdolni i my nie możemy się z nimi bawić. Przyjdiesz?

— Nie. Za dużo was jest. A ty czybyś nie chciała zobaczyć nasze róże?

— A to dobre sobie. Żebym ja miała przychodzić do chłopca — jeszcze czego...

Zabrała się i poszła.

Gdy na drugi dzień jak kot czatowałem przy dziurze, ona podkraśla się niepostrzeżenie.

— A kuku! Czy jesteś tam?

— Jestem.

— Zawsze sam? I co ty tam robisz?

— Patrzę się na ciebie.

— Nie nudzisz się?

— Nie, gdy patrzę na ciebie.

Nie wiem skąd się wzięła jej rączka tuż przy otworze. Ująłem ją, przeciągnąłem na swoją stronę i pocałowałem.

— To niegrzecznie — zawołała i odbiegła.

Następnego dnia idąc pod szopę zerwałem pąsową różę. A Emilcia sama zaczęła o kwiatach.

— Ładne macie?

— Dostyc.

— Irysy, narcyze?

— Te już dawno przekwitły. Teraz są róże.

— Ładne?

— Ot takie.

Podąłem jej rozkwitły królewsko kwiat z cudnym nabrzmiałym pączkiem drugiego, z lezkami na nich rosy.

— Ach, dziękuję. Śliczna!

— Ale nie najładniejsza. Gdybyś sama chciała wybrać... Może wolałabyś białą?

Miała minkę zakłopotaną i skubała wstążeczkę, wplecioną do warkocza.

— Przyjdź — prosiłem.

— Nie.

Prosiłem już tylko milczeniem, w którym może wyczuła łzy dzikiego chłopca.

— Możebym przyszła — rzekła wahająco — ale co powie twoja mama?

— Pocałuje cię — zawołałem radośnie — i poprosi, żebyś sobie sama wybrała kwiaty.

I przyszła. Oprowadzałem ją po ogrodzie i rwałem dla niej róże...

Na tem koniec. — Czy ona z rodzicami wyprowadziła się wkrótce z tych stron, czy to myśmy wtedy na dłuższy czas wyjechali do Warszawy — nie pamiętam. Nigdy się nie dowiedziałem czy ta dziewczynka miała dla mnie trochę sympatji, czy była tylko litościwą, czy tylko lubowniczką kwiatów.

To wszystko jedno. Była słońcem, które pomalowało moją tęczę — i za to jestem jej wdzięczny. — Nigdy nikogo więcej po ogrodzie nie oprowadzałem i dla nikogo róż nie rwałem.

Spierać się czy człowiek może kochać raz, czy więcej! Zabawne, niech kocha sto razy... Myślę jednak, że czyste i piękne ekstazy, chwile w których wszystko gra w człowieku, płacze i śmieje się, modli i dziękczyni — nie mogą się często powtarzać.

* * *

Tu zrobię odskok, idąc jednak za naturalnem kojarzeniem myśli o kobiecie. Przełamała się ona w mojej myśli i świadomości: jako matka, o której już mówiłem; jako przedmiot miłości (nie ośmieliłbym się Emilci nazwać kochanką); jako pracownica z ludu — żywicielka; jako pracownica z inteligencji — żywicielka lub dla idei, lub w jednej i drugiej razem postaci; wreszcie — jako prostytutka. Nie znam artystek, literatek, uczonych, wielkich arystokratek krwi czy myśli i ducha. Wymieniłem jeden czy dwa listy z panią Orzeszkową, która przesała mi jakieś miłe słowo z powodu moich *Chwil*, tyleż z autorką *Gromnic* panią Posner-Garfeinową, która w „Ogniwie“ o tymże zbiorze pisząc bardzo delikatnie dotknęła mojej duszy i wiele zrozumiała. Oto wszystko. Synteza moja jest taką tylko dla mego

skąpego materiału, a przeto i ostrożną i nieupierającą się przy swoim i uważną, by — nie urazić.

Kobieta jest szczerą jako matka, jako pracownica — i jako prostytutka. W matce odzewa się szczerść całej przyrody; w pracownicy szczerść tych pierwiastków, które jako naturalne jej bogactwo rozstrzygają sprawę jej wyzwolenia. Bo ktoś gdzieś spiera się o jej prawa. Ona tymczasem pracuje. I skoro praca, której się dotknęła, płynie z niej w sposób prosty, naturalny i konieczny, jak źródło, które trysnąć musi bez względu na zatykający je palec lub szmatę, — więc gadania o jej prawach są zwykłą kołowacizną bezwładu, którego zawsze to boli, gdy coś płynie, tryska i odbiega od niego.

W prostytutce jest szczerść kobiety, która nie oszczędzając siebie i „jego“ — pokazuje jaką ją chciał mieć mężczyzna. Ten, który namawiał ją do zdrady — gdy była cudzą kochanką, do wiarołomstwa — gdy była żoną innego, a zarazem oplątał ją siecią zakazów w imię jedynej zasady że miło jest wziąć cudzą żonę — nie miło dać swojej — i nauczył katechizmu małżeńskiego, t. j. sztuki przypodobania się jemu przed — i po ślubie. — Otóż prostytutka powiada: „Patrz-że teraz w jaki sposób zdołałam pogodzić sprzeczne tve żądania z memi niezaprzeczonemi prawami. Chciałeś ciała cudzych kochanek i żon, masz je i to bez obowiązku zaślubienia, który

ci szedł w niesmak gdyż odbił przyjacielowi kochankę, lub cudzą żonę skłonił do rozwodu. Nie mogę ci się już narzucić na żonę, ale za to nie potrzebuję udawać zalet, których nie miałam jako panna i nie nabrałabym po zamążpójściu. Zyskałam najświętsze prawo człowieka do szczerości. Wolno mi kochać kogo chcę. I oto patrz. Widzisz tam w zaułku ciemną postać? To najobrzydliwszy twór, jaki ziemia wydała — alfons. Jemu oddałam serce. Bo on ma — jak i ja dziś — szczerość występku, gdy wy jesteście występnymi komedjantami. My chodzimy, obnażywszy dusze, wam został najhaniebniejszy strój — obłuda.“

Pochylić głowy przed tą szczerością. I pamiętajmy, że ta biedna — której żywot jest falą tłukącą się od kamienia do kamienia, od cyrkułu do kozy, do szpitala, do szynku, do czkawki pijanego gościa, do razów kochanka — spała się żywą ofiarą na ołtarzu nietykalności ducha kobiety.

Jeszcze w jednej postaci przełamała się we mnie kobieta, pomagając mi do rozplęcia jednej z najczarowniejszych złud — twórczej. Tu jednak muszę pogłębić nieco to, o czym mówiłem w „*Złudzie i Rzeczywistości*.“

Jeśli pomyślę twórczość jako atrybut Boga, który jest Dobrem, i widzę w tkwiących w nas cząstkach dobra pierwiastki czynne, to wnioskuje.

że nasza genetycznie boska twórczość ujawnia się w Czynie.— Czyn płynący z nakazu, tkwiącego w Dobrem, może być tylko dobry. Mówimy jednak również i o złych czynach. Te nie mają przed sobą realnego obiektu, bez którego nie można pomyśleć czynu. Dobry czyn czyli poprostu czyn ma przed sobą Dobro, więc rzeczywistość, obiekt realny. Zło zaś nie jest rzeczywistością, tylko nieobecnością dobra, przeczeniem, chaosem. Zły czyn zatem jest obłudnym przeciwieniem się dobru, działaniem warjata, ślepeca, lub głuchego, istoty niemogącej dojrzeć ani wyczuć rzeczywistości; jest bezsprzecznie widmem strasznym i złowrogim, ale które rozwiewa się i znika, gdy tylko dobro wpływa tam, gdzie go nie było, gdy w pustkę przeczenia wchodzi twierdzenie i chaos zostaje ukształtowany. Zły czyn jest wyrazem bezwładu, którego uraża ruch i który przenosi niebyt nad ruch, więc sam w sobie nosi zagładę swą.— Tolstojowskiego nieprzeciwienia się złu nie rozumiem. To Dobru nie trzeba się przeciwzić; złowrogiemu zaś, krwawemu, ohydnyemu widmu trzeba się przeciwzić i rozpraszać je całą twórczą potęgą dobra, całym Czynem. Oczywiście złemi środkami posługiwać się on nie może, gdyż sam wtedy staje się chimera i mogąc być nieśmiertelnym czyn taki umiera znikomie, bezpowrotnie.

Taką więc wyobrażam sobie naturę Czynu. Mówiąc jednak o twórczości miałem na myśli to coś, w czym widzimy wykwit pewnych wyjątkowych umysłów, własność twórczych geniuszy. Wyobrażam sobie umysł genialny uczonego lub artysty, jako punkt, ku któremu od wieków ciążą myśli i aspiracje zgasłych i dzisiejszych pokoleń. Zawartą w tych myślach tęsknotę i więcej, bo dorobek swój już na drogach tych myśli osiągnięty — zgasła ludzkość wycisnęła, wrzeźbiła w organizację tego człowieka. On to wszystko już przyniósł ze sobą. Potem coś przybrał, ucząc się. Potem — rozpędem od wieków i od milionów umysłów nabranym myśli te przebyły jeszcze jakąś drogę w własnym jego umyśle, aż po setnych i tysięcznych błędzeniach i w przestrzeni wieków i nawet w tym jeszcze ostatnim umyśle — skupiły się wreszcie i zestrzeły u jednego punktu i tu trysnął wytęskniony płomień. Dokonało się odkrycie. Co tu jest bezsprzeczną własnością geniuszu? Nie Bóg rozedrgany w płomieniu Prawdy lub Piękna, bo on nie może być własnością uczonego lub artysty; może raczej ich przybrać do oceanu. Ich własnością jest to, co towarzyszyło uroczystej chwili bezpośredniego kontaktu z Bogiem, to jest splot nastrojów i przeżyć, chwila ekstazy, cudowna nie mająca równej złuda, która podobnie,

jak złuda miłości — nie daje się utrwalić, lecz mimo to jest czemś godnem pożądania i tęsknoty. —

Rzeczywistości Czynu złuda ta nic nie ujmuje, podobnie, jak tęcza miłości nie ujmuje rzeczywistości tego morza w nas rozlanego, w którego oparach ona się wymalowała.

Otóż ta złuda twórcza różne miewa postaci, można w niej tworzyć posąg, a można żywego człowieka. Taką właśnie dała mi przeżyć kobieta. Zdawało mi się, że ją tworzę... „z mułu ziemi.“ Była to dziewczyna zepsuta, o bardzo złych, niskich skłonnościach i gdy tylko dostrzegła moją chęć doszukania się w niej czegoś dobrego — zaraz zachciała pokazać się gorszą jeszcze niż była. Nie stosowałem do niej żadnych pedagogicznych metod, prócz dobroci — tem łatwiejszej iż prawie biernej. I stało się to co dokonywa każdy wiatr wiosenny, w którego ciepłem tchnieniu roztapiającem lody nikt się nie dopatruje dobroci. I w niej od tchnienia łagodności wyrozumiałej, życzliwej, cierpliwiej — coś stopniało i spłynęło łąą. Prześliczne są te pierwsze łąy — żalu i tęsknoty do odzyskania siebie samej, z sobą zaś — Boga.

Czułem wtedy dla niej taką tkliwość jaką zapewne czuje matka, gdy swe dziecko okrywa nie tylko swą piersią i chustą lecz duszą całą. I pamiętam taką między nami rozmowę:

— Ty jesteś dobry, dobry...

— Nie mów tak.

— Czemu — kiedy ty naprawdę jesteś dobry?

— To nie ja — Bóg jest dobry. Jeśli będziesz wmawiała we mnie dobroć i jeśli się poczuję dobrym, to zacznę się tem pysznić. Wtedy natychmiast Bóg odleci i z mojej dobroci zostanie coś suchego, umarłego jak kokon po odlocie motyla. Pożałuj białego motyla, niech od nas nie odlatuje.

Wzięła moją rękę.

— Nic z tego nie rozumiem. Powiadam, że jesteś dobry — jeszcze raz, i dziesiąty raz, i setny raz.

— A ja setny ci mówię, że to Bóg jest dobry.

— To ty jesteś Bóg? Nie strasz mnie. Boga jabym się bała, a ciebie się nie boję.

— Bo tak właśnie Bóg czyni. Żeby ciebie nie przestraszyć swoją wielkością i nie oślepić swoim blaskiem, przelewa się przez czyjąś ziemską, ludzką duszę i pieści cię ręką takiego jak i ty stworzenia.

— O, to nie może być! Zresztą, jak tam sobie chcesz. Ty jesteś dobry.

Zarzuciła mi na szyję rączyny zeszczupiałe, bo to było po długiej jej chorobie.

— I ja ciebie kocham. Nic tego nie rozumiem. Miałam tylu kochanków. Tysiące razy cie-

bie bardziej kocham — i inaczej, inaczej. Dla czego? Co to wszystko jest, powiedz mi?

Wsunąłem dłoń w jej włosy i leciutko rozczesywałem miękką ich gęstwinę.

— Pamiętasz — jak to mi mówiłaś kiedyś, że w dzieciństwie nikt cię nie kochał, nikt nigdy nie popieścił, nie wziął na kolana, nie pohuścił na rękach — jak dobre matki swe dzieci huśtają. Prawda? mówiłaś tak... Może za to mnie kochasz, że ja dla ciebie jestem trochę matką. Ot widzisz jak ci ostrożnie rozczeszę włosy, gdybym miał wstążkę wplócił bym ją...

Odrzuciła w tył głowę, a potem jakimś płomiennym rzutem przywarła do mnie i wessała mi się w usta drobnymi, przybladłemi po chorobie usteczkami...

— Nieprawda — tyś mi nie matka tylko kochanek, za którego bym życie oddała.

Odjąłem łagodnie jej główkę:

— Nie dziecko. Ty kochasz kogoś Innego, ale Go jeszcze nie widzisz. Tymczasem widzisz tylko mnie i zdaje ci się, że mnie kochasz.

Bez wątpienia łudziła się — ale nie było złudą to, co już w niej się iskrzyło i płonęło. Że to coś układało się z początku w głoski cudnego słowa kocham — to wszystko jedno. Bo i te głoski są pło-

mienne i w żarze ich już się począł wypalać brud, co ją oblepił. Nie byłoż to — „z mułu ziemi“ powstawanie!...

Nie kochałem jej. Nie była Emilcią, moją pasową różyczką z perlącemi się na niej łezkami rosy. Ale za ową chwilę nie mniej, niż tamtej jestem wdzięczny. Jakieś delikatne, przejrzyste skrzydła łopotwały wtedy nademną i radość lekka i lotna — nie powiem żeby w mnie wchodziła, lecz mnie brała w siebie i niosła dokądś.

* * *

Nie mogę się utrzymać na jednej linii i znów muszę zboczyć, ale to będzie blizkie i krewne. Była we mnie niemoc czynu, która w pewnym, dość długim okresie mego życia ujawniała się poprostu w jakimś zaniku czy przytłumieniu zmysłu pracy. Niczem innem — a już zgoła nie jakąś niesprawiedliwością losu lub winą społeczeństwa — nie mógłbym sobie samemu wytłómaczyć faktu, jaki się ze mną zdarzył, iż człowiek młody, inteligentny, z nieco wyższem niż średnie wykształceniem, zdrów (bo choć byłem wątpy, ale skoro mogłem bezkarnie znośić brak i nędzę, to mogłem znieść i brzemię pracy, choćbym w braku innej zabrał się do łopaty) — w ciągu jakichś dziesięciu lat kołatania się w Warszawie nie mógł sobie nic znaleźć, żeby musiał przemie-

szkiwać w norach piwnicznych z żebrakami i hultajstwem¹⁾, żeby po tygodniach nie jadał nic ciepłego, żeby czerpał zarobek z pisania listów służącym lub prostytutkom, lub prośb żebrakom, żeby sam uciekał się do wypraszenia zapomóg — i dla pociechy, żeby wkraczał do szynku. Czasem naprawdę trudno o pracę, ale tu bezwątpienia musiało być co innego. Zastanawiam się nad tem nie jako swój adwokat, lecz jako badacz siebie. Przypominam sobie, iż przesyłając p. Aleksandrowi Świętochowskiemu (w roku zdaje się 1902 czy 1903) zbiorek drukowanych w jego „Prawdzie“ *Chwil* pisałem coś o owym 10 letnim okresie (mniej więcej od 1890 do 1900 r.) swojej wielkiej biedy i wtedy — sądzą, że w dobrej wierze,

¹⁾ W *Tomaszu Sitoku* — w drugim zbiorku moim p. t. „*Liote*“ — opisałem swego spółmieszkańca. Znikł mi potem z oczu. Przed laty 16 żebrak ten wystawał na ul. hr. Berga, w kawałku od Krakowskiego do Włodzimierskiej. — Mówiąc o hultajstwie mam na myśli populację nieistniejącego już dziś domu Sruła Miotelki na rogu Żelaznej i Ogrodowej. Przez parę lat prowadziłem tam „meldunki“, za co miałem malutką przewiewną facjatkę, do której nietylko oknem gwiazdy zaglądały. W tym „drewniaku“, na rogu którego mieścił się słynny w owe czasy, w tamtej dzielnicy, szynk Miotelki, — prócz kilku uczciwych robotników — same ciemne zamieszkiwały postaci — pobyтови, sutenerzy, stała nie powiązana ślubem, ohydne w rodzaju Skublińskiej baby i t. p. To wszystko jakiś Zola żywcem by wsadził do „*L'Assomoir'u*“.

ulegając jakiemuś złudzeniu — okres ten idealizowałem. Moznaby z mego ówczesnego wystawienia rzeczy myśleć, że miałem się za jakiegoś misjonarza, który dobrowolnie zeszedł do ciemnego państwa zła i nędzy, by samemu wyczuć i zbadać Cierpienie i ująć ogromu jego, biorąc ile się da na swe barki. W dobrym i pięknym liście p. Świętochowski — prócz słów spótczucia i zachęty do pisania — wypowiedział uwagę, że takie bierne poniekąd krzyżowanie siebie, o jakim mu pisałem, nie wydaje się koniecznem — gdyż brzemię cierpienia, jak mówi Jan-Paweł, nie staje się lżejszem, choć je rozłożyć na wiele bark²⁾. Ale ja go wprowadziłem w błąd. Mieszkaniec domu Miotelki ani misjonarzem nie był, ani nie poszedł tam jako Don-Kichot (przypuszczał to jeden z kolegów moich z „Ogniwa“).

Przeżycia ówczesne nie wypełzły mi tyle w pamięci, by nie módz już sobie ich uprzytomnić, głąb zaś własna pod niemi wydaje mi się daleko bardziej przejrzystą. I widzę, że nic tam nie było dobrowolnego, a więc nic z misjonarza i Don-Kichota. Był przymus tylko zgoła nie zewnętrzny, losowy — lecz

²⁾ W roku 1906 pożar na letnisku w Karolówce koło Rembertowa, strawił i ten list i wszystkie cenniejsze jakie miałem — pani Orzeszkowej, Posner Garfeinowej, S. Posnera, S. Stempowskiego, Stanisława Krzemińskiego i in. W ogólności zaś korespondencya moja była b. szczupła.

wewnętrzny. Wprawdzie zdawało mi się, że *coś* rzucało mnie w te moczary i trzyma tam stupudowe u nóg uczepiwszy gwichty, ale to *coś* było we mnie, nie zewnątrz. Nie próżny był u dziecka ów *strach życia*, instynktowa obawa ukłóć jego prozy, przecucie, że ta proza — szara, zadymiona powszedniość — miejscami gęstnieć musi w opar zatruty i duszący, a gdzieindziej tęższe w topiel. Ten strach rozpraszała najbardziej mi wtedy dostępna, najwymowniejsza — poezja przyrody, tkliwość mojej dobrej lipy, powiernictwo bżów i róż. — Później przytłumiło go własne moje marzenie. Nawet nauka nie była dla mnie czem innym niż marzeniem. Ale bez chleba powszedniego i marzenia nie wysnuje. Póki był — choć najskąpszy, chowałem się w nie, jak dawniej w spódnicę matczyną, byle nic i nikogo nie widzieć. Przyszła chwila, która z ukrycia mnie wypędziła i wtedy odrazu grzmotnąłem się o samo dno tego, czego tak się bałem, i odrazu uczułem się obezwładniony, w jamie cuchnącej i oslizłej — stokroć straszniejszej od wszystkiego, co czało się w czarnych kątach dzieciństwa, co mogła uroić wylękniona wyobraźnia dziecka. Gdzież tu misonjarstwo! — a Don-Kichot byłby swą wielką dzidą walił w ścianę jamy. Ja zaś tylko charczałem...

Tak — za wiele marzenia i niemoc czynu. Najlepszy dowód, że innych nie było przyczyn, jest ten,

że z tej jamy, z jej najciemniejszej czeluści *nikt mnie nie wyprowadził*, wyszedłem z niej *sam*, pozwoli, nauczywszy się po trochu *pracować*. Mówiąc *sam*, nie mam wcale na myśli, że nie spotykałem ludzi uczynnych, z wyciągniętą do pomocy ręką. Owszem, lecz żeby pomoc mogła być istotną potrzeba było, by miała się o co we mnie zahaczyć, o rozbudzony pierwiastek czynny. I wpraw, w najcięższych latach byli ludzie, którzy mną się interesowali i ratować chcieli, *ale ja im w tem nie pomagałem*. —

Tu, naturalnie, każdy wychowawca uczyni uwagę, że skoro człowiek mógł już w późniejszym wieku czegoś się nauczyć i jakieś z siebie wydobyć pierwiastki, to można było ułatwić mu to wychowaniem — że więc cała sprawa sprowadza się do braków wychowania. Prawda, że chłopiec wcześniej wdrożony do pracy i dawania sobie rady, później mniej by cierpiał, że powinien być wciągany do gier towarzyskich i tańca, do gimnastyki na świeżem powietrzu, że z dziewczynkami powinien się zapoznawać nie przez parkan, lecz na otwartym terenie rówieśnym i patrzeć na nie nie przez wczesny opar rozmarzenia, lecz jak na przyszłe towarzyski pracy i bojów. Tak, ale następczą mi się tu uwagę zachowuję dla siebie, powiem tylko, że do nikogo nie mam pretensji, niczego nie żałuję, strumienia swego cofać i inne my wytknąć łożysko — nie chciałbym.

Co było — być musiało i tak jest dobrze. — Dotknę się jeszcze pewnych konsekwencji niemocy czynu w mojem życiu wewnętrznem i pracy literackiej.

Nieraz dawniej stawiałem sobie pytanie, co warta jest moja dobroć — gdy nie ma czynu i naturalnie odpowiadałem sobie: nic, a z tej odpowiedzi wypływała wątpliwość, czy wogóle jest we mnie co dobrego. Owa dziewczyna, słowa której powtórzyłem, zapewniała mnie, że jestem dobry, ale wcale nie upewniła. Czy jest czynem dawać siebie? To nic zgoła nie kosztuje. Dając siebie, robię to w warunkach zupełnej, nawet z zyskiem kompensaty. Bo w tej samej chwili coś chłonę w siebie i rozrastam się większy niż byłem. Jeśli co dałem owej dziewczynie, to wzięłem wzamian daleko więcej. Wątpliwe jednak czy co dałem, czy może byłem wobec niej tylko żywiołem, który nic nie daje, poprostu — rozlewa się, a wtedy bierz go ile chcesz — jeśli chcesz, bo nigdy go nie ubędzie. —

Powiedziawszy sobie, że pytanie — czy jestem dobry — rozwiązane w sobie samym być nie może a przeto jest dla mnie martwe, poniechałem je zupełnie. Ale patrzałem pilnie, jak dobroć ujawnia się w innych. I nasunął mi się raz jednego człowiek, którego tu opisać czuję jakąś potrzebę.

Była to niemłoda już posługaczka, żona bardzo nędznego pijanicy, którego występki odezwały się

w dzieciach. Ale ją wszyscy lubili. Miły z niej był człowiek. Posługiwała w wielu domach, wszyscy ją znali. Była w wiecznym chowaniu się przed mężem, który, na każdy grosz jej polował i odbierał przemocą — na wódkę. Trochę rzeczy swoich i dzieci, odzież, bieliznę musiała chować po ludziach, bo wyniósł by wszystko do ostatniego łaszka, jak wyniósł pościel i co tylko sprzedać się dało. W mieszkaniu nie mieli literalnie nic prócz tapczana z słomą, paru nadtuczonych garnków i chudego kota. Zwaliśmy ją Karolową. Posługiwała i mnie trochę.

Tuż za domem, w którym mieszkałem (było to przed laty kilku w Ł.), był stary, po rozpadlinach wzgórza kępami gęstych zarośli rozrzucony ogród — obraz zdziczenia i zniszczenia. Coś tu kiedyś kwitło, coś pachniało, rodził się owoc; rzeczy miały swe przeznaczenie i cel w ładzie i porządku. Potem czyjaś ręka zatarła znamię ładu, pękły jakieś wiązadła; wszystko zaczęło żyć byle jak, dusząc się, gniotąc, następując jedno na drugie, godząc brat w brata. Co delikatniejsze wymarło. Pełno tu było uschłych nieboszczyków, o usunięciu których nikt nie myślał, pełno konarów czarnych, w kurczowym zaciśnięciu wychylających się z zielonej i żywej, lecz zdziczałej i zażarcie skłębionej gęstwiny; pełno jam jakichś wypłukanych przez deszcze, śmietnisk, które niewiadomo kto i jakim prawem tu zaprowadził...

W ogród ten wsunięta była długa waląca się szopa — skład desek, przy niej zaś niemał po okna zapadnięta w ziemię chałupa stróża. Tu siedział Karol. Ogród ten właściwem był tłem dla niego i jego dzieci. Gęstwina krzaków tuż przy domu dawała cień i ochłodę zmożonemu przez wódkę pijanicy. W zwisłemi zaroślami ocienionej, chłodnej, gliną wy-czerwienionej rozpadlinie nad cuchnącą strugą, zbierającą ścieki z położonych wyżej domostw, odbywały się pierwsze spotkania młodej Stasi z łobuzami i złodziejaszkami. Dzięki stadem żerując w tem ogrodzie, zwęszyli oni w chudem jej i posiniaczo-nem ciele łatwy łup — i zagarnęli go. W gęstwinie pod uszłą gruszką schował Wacek swój pierwszy ukradziony zegarek.

Gdy przypominam sobie Karolową — widzę ją zawsze wiążącą jakiś tobolek z chustki czerwonej, w którą zawija chleba bochenek, wędlinę najtańszą — czarny salceson, rozek z herbatą, funt cukru i czystą koszulę kobiecą.

— Dokąd że to Karolowa?

— Muszę to podać Staśce, bo dziś widzenie.

Bowiem Staśka „siedzi“ od tygodnia, czy już od miesiąca i jeszcze ma siedzieć tygodnie czy miesiące. Potem jakiś czas pobędzie „na wolności“ — i znów ją wplączę w awanturę, okaże opór policyi,

czy odmówi uczęszczania do lekarza, oględzinom którego podlegać musi, i powtórzy się ta sama historia. Będzie siedziała,

Innym razem znów widzę tobolek i w nim rychtyk to samo, tylko koszula mężka.

— To dla Wacka. Dziś widzenie.

I dla niego „siedzenie“ jest regułą, swoboda ruchów na świecie wyjątkiem, który nigdy niczego nauczyć go nie może i znów wpędza go w regułę. Tylko pierwszy zegarek puszczo mu płazem ze względu na młodociany wiek.

Ma jeszcze Karolowa i trzecie dziecko — najstarszego syna Jana. Ten jest porządny. I o tego właśnie ona nie dba — i bodaj że wcale go nie lubi. W istocie antypatyczny. Drewniany sobek. Nie pi-je — prawda, nie kradnie — prawda. Ale drewno drewnem, nic z niego nie wypuka. W tych zaś dwojgu rozpustnych i bez pukania odzywało się raz wraz coś takiego, co chwytalo za serce. Te dzieci umiały i popłakać i śmiać się — i uzalić się — i potęsknić — i roić o czemś. Była w nich i chętność jakaś i uczynność, tylko środek ciężkości i punkt oparcia nie były należycie umieszczone, więc kto chciał, to wyprowadzał ich z równowagi i obalał na ziemię lub pchał dokąd mu się spodobało. Przez kogoś były zawsze eksploatowane. Janek — gdy mógł, eksploatował sam.

W Karolowej tkwi spokojne, niezachwiane przekonanie, że dzieci jej — za wyjątkiem porządnego Janka — są dobre i że Bóg będzie je inaczej sądził, niż pan komisarz i pan sędzia. Są dobre — tylko „coś się z nimi wyrabia“. I opowiada mi, że Stasia służyła i mogłaby służyć, ale cóż — miesiąc końca nie dobiegnie a już ojciec grosz po groszu wybierze całą jej pensję — potem zaś na trzewiki nie ma. — Wackowi na wolności zawsze ktoś głowę skręci; terminował po wszystkich rzemiosłach i nigdzie się nie utrzymał. W więzieniu zaś był „dobrze widziany“. Że łyknął tego i owego fachu, więc dawano mu różne roboty, bywał blacharzem, to zdunem, to szewcem — i gdy jego chcenia w pewne karby ujęte nie mogły się rozpierchnąć, pracował wytrwale, dobrze, chętnie. W zimie kiedyś zachorował na ospę; przydreptał biedaczyna do szpitala sam i cierpliwie czekał, aż ktoś go zapyta po co przybył — i tak omdlał na schodkach przy wejściu. Ztąd zabrano go na salę. Przeleżał jakieś sześć tygodni w wygodzie, czystości, śród trosk o niego lekarza i zakonnicy. Po raz pierwszy uśmiechnęła mu się słodycz jakiejś życzliwości i opieki ludzkiej, i powaby kultury. Kąpano go, a potem sam mył się codziennie i cesał; słuchał modlitwy i uczestniczył w niej.

— Tu mi jak w raju — do matki mówił. Był

wdzięczny. Jeszcze poręczy łózek chwycić się z słabości musiał, a rwał się by czemś zakonnicy pomódz i usłużyć.

Ale wyzdrowiał. Zamknęły się za nim drzwi szpitalne i nieumyta proza znów go zagarnęła. I zaraz rozczochrały mu się włosy, a punkt ciężkości począł się chwiać, nie mogąc wyczuć oparcia. Więzienie uczyło go powabu pracy, szpital odślaniał urok życia.

— Dobrze, dobrze dzieciśka — tak zawsze kończyła Karolowa o nich.

A mąż — nie raz posiniaczy ją, ukrzywdzi, gdy zaś pijany przewali się na podłogę, ona mu poduszkę z siana pod głowę podłoży i sama głową nad nim kiwa:

— Dziwny, dziwny człowiek. Dawniej taki nie był.

Wszystko jej tylko dziwne. Dziwem wszelki występki.

I tak chodzi sobie po świecie zawsze pogodna, dla wszystkich życzliwa, cicha, skromna. Chyba miło Bogu przepływać przez jej duszę — czy to wtedy gdy drepcze z tobołkiem do więzienia, czy gdy zartata w tłumie modli się w kościele: „Boże! nie patrz krzywo na moje dzieci. One są dobre, tylko coś się z nimi dziwnego wyrabia“... I gdy tak krąży od pijaka do prostytutki, do małego złodzieja —

wydaje mi się białą gołębicą, której płynna dobroć sączy się nieświadomie na podobieństwo żywiołu i pada „jako deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych“, na opoki spieczone, na główkę zgrzanej ptaszyny, na kudły zwierzęcia.

... Unikajmy martwego węzła, w którym skręciło się pytanie — czy jesteśmy dobrzy. Żyjmy jak nakaz wewnętrzny mówi, a tam już ktoś zważy — i może orzecze, że deszcz wiosenny, który nic o swojej dobroci nie wie — jest dobry, człowiek zaś — który ją w sobie rozważa — nie.

Gdy ten punkt — nie na drodze — lecz w sobie samym znalazłem dużo się we mnie uspokoiło.

I tylko dla tego teraz — w tej autobiografii mogę tak mówić o sobie, jakby nie o sobie, bo jest mi własny sąd obojętny — i wasz sąd jest mi obojętny — nieobojętny zaś sąd Boga i pilnie patrzę w zgłoski wewnętrzznego nakazu, ufny, że którąś z nich jego własna wyryła dłoń.

* * *

Gdzie jest niezdolność do akcji, tam znaczy się mała jest jej potrzeba wewnętrzna, zaś brak jej lub nikłość musi kompensować się czemś innym. W mnie wyrównywała się pewną zdolnością do przelewania się do cudzej akcji na zewnątrz mnie

odgrywającej się w przyrodzie, wśród ludzi, nawet wśród zwierząt, lecz i tutaj zajęcie moje obudzały nie tyle wypadki i zdarzenia, t. j. właściwa akcja ile jej treść wewnętrzna, dusza aktora. Usiłowanie przeniknięcia tam, wyznać muszę, było osią, jądrem zachodzących w mnie, w dzieciństwie poczętych, z śmiercią zakończyć się mających procesów myślowych i uczuciowych. Drogę widziałem zawsze tylko jedną — a to, by duszę będącego przedemną aktora — kimkolwiek on był — lipą, człowiekiem, psem, krajobrazem, istotą cnotliwą, bezczną, bierną, piękną, brzydką — wypełnić czemś z własnej duszy i patrzeć co będzie, jak to się dopasuje, jak umieści i co z tego wynika — w mnie. Drobną, nikłą, i w mojem własnem przekonaniu (powiem, na czem je opieram) żadnego lub zgoła małe znaczenie mająca częśćka tych prób i dochodzeń przeszła do moich utworów literackich. Nikłość ich wagi pochodzi ztąd, że wszelka próba przepisania siebie, wykładania siebie — czy w nutach, czy w obrazach, rozsnutyh na tle zewnętrznej akcji, zatracając charakter badania, przerywając proces krystalizacji w tem badaniu zachodzącej t. j. skupiania się kryształków poznania — może osiąść wagę nawet wielką, gdy wsparta jest wielkim talentem. Gdy nie — zostawia niesmak i gorzycz u tego, kto w tych próbach rozmienił coś z siebie na groszaki. Pomówię niżej o swojej „litera-

turze“, teraz zauważę, że z tego, co napisałem, może jedna tylko ta autobiografia winna by odrobinę zaważyć. Pisząc nowelkę nie mogłem się wyzbyć frasunku, jak też będzie wyglądał oderwany odemnie obraz; nie mam — pisząc te kartki — takiego frasunku, o tyleż zaś mam więcej spokoju i uwagi. Prostu biorę łopatę, kopię i ziemię rzucam na taczkę. Bezpośredniość zaś taka badania i wykładania może w niektórych razach budzić zajęcie i uzyskać wagę. Ja bym chciał, żeby obudziła zajęcie — wychowawców...

Próbując swoją duszą wypełnić cudzą potknąłem się o różne progi. Odrazu — wezmę przykład. Podczas kilkunastoletniej służby biurowej¹⁾ poznałem kolegę rosjanina i bardzo prędko ustaliłem styczne z nim punkty duszy. Najłatwiej mi było wpłynąć do jego duszy temi punktami, któredy z niej wypływała miłość przyrody, dobroć, umiłowanie dzieci, poetyczne odzewy i t. d. Poznałem go wreszcie tak, że mógłbym skonstruować człowieka, któryby zupełnie tak samo jak on chodził, mówił, uśmiechał się, myślał i czuł — a jednak nie byłby to on, bo rozgląda-

¹⁾ Począłem ją w roku 1895 czy 1896 w Warszawskiej Komisji Włociańskiej; skończyłem (z przerwą w latach 1900—1905) w Łomżyńskiej Komisji w lipcu 1914, podawszy się do emerytury —

jąc się w jego duszy natykałem się zawsze, zupełnie wyraźnie, namacalnie, pod ręką to czując — na coś, czego przejrzeć i wyczuć nie mogłem. I to *właśnie ja* nie mogłem tego przeniknąć, przeniknął by zaś z łatwością pierwszy lepszy Mitrofan Iwanowicz, który pod innymi względami daleko mniej odemnie miałby z nim wspólnego.

Napisałem dwa obrazki z życia żydów. Gdyby mi żyd jaki powiedział, że w „Dziecięciu Symchy” lub w „Strąconych liściach” uchwyciłem coś specjalnie żydowskiego zdumiałbym się i ucieszył, gdyż świadczyło by to o istnieniu we mnie jakiejś pozaświadczonej zdolności przekraczania progu duszy rasowej. W świadomości zaś mojej dusza żydowska zamknięta jest przedemną na siedem pieczęci, lubo z każdym żydem na pewnej przestrzeni mogę się czuć jedno.

Uprzytomniając sobie progi rasowe, narodowe, klasowe — dostrzega się w końcu w każdej duszy prozek, który broni ona — hardo lub lękliwie — od przekroczenia. Szanowałem je zawsze, tem więcej im lękliwiej były bronione. I w sobie szanuję próg taki, za który i autobiografji — zasię... Może tam — sensacja, zbrodnie? Nie. Te wyznałbym chętnie. Nic takiej jak spowiedź nie przynosi ulgi. Opowiedziałbym i pospolite [swe] grzechy, gdyby to nie było niewłaściwe, nudne i śmieszne. Ale — za progiem

tulą się rzeczy może mało uświadomione, może tak rozwiewne, że rękami ująć ich nie sposób.

* * *

Dziwne są czasem objawy lgnięcia dusz — jednostronnego. Bywa jednak chwila, że i druga dusza, w punkcie ich przylgnięcia mięknie, rozchyła się i przez moment jakiś obie ku sobie promieniają.

Przypominam sobie, iż w złym okresie mego życia, z czasów domu Miotelki, uczęszczałem do jakiejś podrzędnej piwiarni na Podwalu. Zawsze sam. Był tam ciemny kącik mój własny. Bywalcy — jedni i ci sami, o co mi szło głównie; nie lubiłem nowych figur, a z temi się oswoiłem i one ze mną, więc wzajem mogliśmy o obecności naszej zapominać.

Ów okres wiele miał wspólnego z innym, wcześniejszym, z czasu pierwszej mojej szkoły, o którym bez względu na galimatias chronologiczny — mówić będę na końcu. Tak samo byłem ubezwładniony spojrzeniem jakiegoś gadu; czułem na sobie jego twarde, nieuginające się sploty, a nad głową moją pod jakimś niskim, przytłaczającym mnie daszkiem wielki pająk rozsnuwał siatkę, umocowując niteczki jej na mojej duszy. Od kufla żądałem by wrócił mi zdolność marzenia, żądałem oparu co by

zasłonił ścianki skrzyneczki, w której leżałem; wtedy dopiero zaczynało się znów coś tlić w duszy i małe od iskierek światełko barwiło ów opar i rozpinano w nim złudy.

Zbierało się w piwiarni kółko jakichś starych ludzi i ci codzień się z sobą spierali. Wreszcie razu któregoś jeden z nich, na dobre rozżłoszczony na towarzyszy, fukając jak stary i zły kot, odszedł od nich i usiadł przy moim stoliku. Była to starość zaniedbana, zapominająca o umyciu się, uczesaniu, utarciu nosa, nie mająca nikogo ktoby to przypomniał. Miał się kiedyś dobrze, a i teraz nie był w nędzy; posiadał ongi drukarnię, którą przekazał synom. Nie mieszkał jednak przy dzieciach, lecz sam. Narzekał na nie i na wszystkich, sprawiał jednak wrażenie, że sam winien jest osamotnienia; sądzę, iż na starość powyrastały mu długie a ostre kolce, nikomu zaś nie chciało się delikatnie je rozgarniać i zobaczyć co go tam w środku boli. Był też manią wielkości trochę dotknięty i roilo mu się pokrewieństwo z znacznymi rodami. — Odtąd ku głuchej mojej irytacji już co wieczór siadywał przy mnie i gnębił nedorzecznymi opowieściami. Że jednak rozmawiał on właściwie sam z sobą, z swojemi rojeniami, mogłem go nie słuchać i pieścić własne. — Towarzysze jego zachowali doń urazę. Pewnego razu ich grono powiększyło kilka nowych figur, niemiłych

i hałaśliwych. Coś mnie odrazu tknęło, że jest jakas przeciw staremu zmowa. Odwołano go od mego stolika, usadzono gwałtem w kompanji — uczęstowano kieliszkiem jednym, drugim i zaczęło się wręcz okrutne z niego naigrwanie. Pryskali na niego piwem; ktoś podkręcał mu jego wása, ktoś zasadził mu na głowę damski kapelusz... Przyglądałem się kuzynowi znacznych rodów i widziałem w stężających jego oczach to samo odrętwienie, jakie sam czułem wobec wielkiego, zasnuwającego mnie swą siatką pająka.

Podszedłem do starego i położyłem mu rękę na ramieniu. Patrzył na mnie chwilę martwo, potem coś zbudziło się w jego oczach — i szepnął, uchwyciwszy się mojej ręki:

— Ratuj mnie!

— Chodź pan — rzekłem i pociągnąłem go, ale nie tak łatwo chcieli go puścić. Mnie i jemu dostały się szturchańce i wymysły wśród hucznego śmiechu.

Wyszliśmy. Jakże pamiętam ciszę głuchego zaułka, czyjeś ginące w oddali kroki i ohydny rozgwar szynku! Spojrzeliśmy sobie z starym w oczy i powiedzieli coś, czego usta wymówić nie umieją. Nie widziałem go już potem. Wkrótce nazwisko jego wpadło mi w oczy na klepsydrze. W piwiarni, choćby żył, więcej byśmy się nie spotkali, gdyż

przestałem uczęszczać tam i pić. Są chwile, co krzyczą. Ta, gdyśmy z starym patrzyli sobie w oczy, wołała: „Obudź się, wstań, idź, bo będzie zapóźno!” — Starego z wielkiej sieci pająka wyzwoliła śmierć, mnie co — nie wiem.

* * *

Zacząłem pracę literacką na szpaltach „Prawdy“, około r. 1889¹⁾. W owym czasie lgnąłem bardzo do spółczesności, z spółczesnych zaś naszych

¹⁾ Trzeba te rzeczy trochę ułożyć w czasie. Szkołę realną w Równem skończyłem w 1883 r. Dwa lata potem zeszło mi na wyszukiwaniu środków do dalszego kształcenia. W r. 1885 wstąpiłem do Instytutu gosp. i leśn. w Puławach, gdzie przebyłem dwa lata (dwójka stale się jakoś powtarza). Choroba i brak środków usuwają mnie ztamtąd. Znow parę lat zmarnowanych. Koło 1888 czy 1889 zaczynam pisać; idzie to dość intensywnie rok czy dwa. Ale literatura nie daje mi utrzymania; następują choroby, bieda i taki stan moralny (w pamiętnym domu Miotelki) iż pisać nie mogłem. W r. 1896 uzyskałem posadę w Komisji Włościańskiej. Do pióra powracam jakoś w 1902, po przerwie z górą dziesięcioletniej i piszę dwa czy trzy lata (czasy współpracownictwa w „Ogniwie“), potem znow przerwa do 1914 r. czyli do chwili opuszczenia posady w Komisji. Słowem w okresie z górą 25-letnim na pracę literacką przypada nie więcej nad 5 — 6 lat. Owocem tego książkowym jest dawniejszych trzy i obecnie przygotowany czwarty tomik własny, trochę tłumaczeń, parę broszur w sprawach włościańskich (niewydanych).

największe wrażenie swym talentem, polotem myśli, wspaniałym stylem uczynił na mnie autor „Dziennika pesymisty“ i „Liberum veto“. Powiedziałem sobie, że albo w „Prawdzie“ albo nigdzie. Otworzy mi „Prawdę“ i zaczęła się moja „literatura“, czyli wymiana na grosze. Miałem „nowelki“ zawsze za tabakę i za tabakę mam je dzisiaj choć w tej postaci ujrzałem własne płody. — Gdybym umiał borykać się z losem i wziął byka tego za rogi miał przewrócić się i stękać, byłbym dopiął marzenia lat szkolnych i zostałbym przyrodnikiem. Przyglądając się teraz własnemu konterfektowi z owych lat, które o przyszłości stanowić miały, widzę z przykrością taką jakąś słabą niezaradną osobę, bez woli, czemś spletaną i ciągle potykającą się, że — złość mnie na siebie samego bierze. A przecież znałem ludzi, którzy o głodzie i chłodzie pokonczyli jednak uniwersytety i rozumiałem, że dyletantyzm jest tylko brzęczeniem umysłu, zagrać zaś na nim może tylko wiedza. Gdybym się więcej uczył i wyspecjalizował w jakiejś gałęzi nauki uruchomiłbym więcej cząstek duszy, żyłbym jej pełnią i może wypieścił w niej, wycieplił naprawdę jakiś żywy kiełek, nie ten niuch startego liścia, zawarty w kilku chudych tomikach. Szczerze mówię, że gdybym sam nie był ich autorem nigdy bym czytać tego nie chciał. Starannie okurzam w pamięci półeczki, na których przechowuję wspom-

nienia „Prawdy“ i „Ogniwa“ i szczyć się faktem współpracownictwa w nich mego, lecz nie jego owocami.

* * *

Daleko odbiegłem od naszego ogródka w Lublinie, wrócić zaś tam na krótko przed końcem jeszcze muszę, pokołowawszy przedtem — zwyczajem swoim — nieco. Jedną z wstrętnych i bezecnych na świecie rzeczy tak w objawach swych zewnętrznych jak treści, jest to co pod różnemi mianami — trywialności, pospolitactwa, gburostwa, grubijaństwa, brutalności, nieposzanowania innych, przemocy — do jednego sprowadza się jądra i najdobitniej nazwać „chamstwem“ — tylko że chamskie również tego wyrazu pochodzenie czyni go niemiłym. Dla uniknięcia superlatywów i pytania czy może być coś jeszcze bardziej godnego wzdargy i nienawiści, najlepiej zastanowić się czy czasem wszystkie na nienawiść zasługujące rzeczy nie sprowadzają się do jednego mianownika z wyraźnemi oznakami „chamstwa“. Tak sędzę. Wszelki egoizm, wszelka nietolerancyjność, wszelka przemoc nad ciałem i duchem młieści w sobie pierwiastki chamstwa, które nie mniej jest wstrętne i w zewnętrznych formach spółżycia, w postaci nieokresania i gburostwa. Jest chamstwo wszędzie, gdzie niema dobra; jest widmem złowrogiem,

zamieszkującym w pustce lecz niemniej groźnem, gdyż jeśli pozwolimy na najmniejsze skurczenie dobra, napłynie w to miejsce pustki tej ciemność i chłód. Ponieważ umie się kryć i przystrajać, więc walka z niem jedna — światło. Patrzmy w swoją duszę, czy tam go niema, a potem wyświecajmy go zewsząd — zrywajmy togi sędziów, profesorskie oznaki, mnisie kaptury, świętokradzkie krzyże, wołając wielkim głosem — patrzcie, co tam było! Bo chamstwo nie zasługuje na przebaczenie i litość i jako przeczenie dobru nie może być cierpiane. Chamstwo godzi zawsze w wolność myśli i chętnie zezwoli na wyuzdaną swobodę ciała byle uciąć mu myśl; godzi przede wszystkim w wasze ja; nienawidzi waszego *ja* i *musi* je kopnąć, zranic w ten lub inny sposób. Chętnie bym jako deszcz rzeźwił sprawiedliwych i niesprawiedliwych, występnych, upodzielonych i okaleczonych, lecz widząc tam w dole uznojony łeb chama, wróciłbym kropla po kropli do chmury.

Przeciwstawieniem najprostszemu chamstwu jest obecność zmysłu poszanowania innych. Mogę nie umieć trzymać rąk i nóg by nie zawadzały innym, a jedząc mlaskać językiem, lecz rychło wyczuję, że komuś sprawiam przykrość, to zaś skłoni mnie do poszukiwania doskonalszych form współżycia, usuwających wzajemne urażanie siebie. I to samo

w każdej dziedzinie. Miło jest pomyśleć, że zmysłów nie jest własnością żadnej klasy. Gdyby go nie było w pierwszych „ludziach z ludu“, którzy podeszli do mnie w dzieciństwie, nigdybym z ludem żadnych węzłów nie nawiązał i o miłości dla niego mówić bym mógł, gdybym kłamać ją umiał.

Zamyśliła matka jakąś przybudówkę murowaną do naszego domu. I oto zjawił mi się w ogródku stary mularz Sydor i drugi — nie pamiętam imienia; kobiety ubielone wapnem; chłopcy do podawania cegły. Cały nowy świat! Rzecz dziwna — wcale nowym mi się nie wydał. W pierwszym zawołaniu do mnie Sydora: „A chodź-no tu mały paniczu, miałeś też kiedy cegłę w ręku?“ — było tak coś znajomego. Podszedłem do niego, nie wystawiając ani jednego kolca i wziął mnie na ręce całego z duszą. Ani jego, ani żadna z tych rąk zgrubiałych nie uraziła mnie; grube a tak delikatne, takie przyjacielskie, jak lipy ręce! I dziś mówię — żaden z nich nie uraził mnie nigdy, jeśli nie miał chamstwa w duszy.

Już koniec z ogródkiem. Nie wrócę tam i was nie powiodę. Wkrótce — gdy stanęła przybudówka i poszedł sobie Sydor z towarzyszymi (czemuż nie poszedłem za nimi! owej chwili głos wielki wołał — opuść dom rodzicielski by wrócić lepszym, nie zaś gorszym) — stało się ze mną coś takiego, że

ogród znikł mi z przed oczu, potem matka znikła z przed oczu, potem całe moje kochanie z duszy odleciało i byłem tylko nienawiścią.

Czem było gimnazjum lubelskie w owe czasy (wstąpiłem tam do drugiej klasy w dwunastym roku życia, w 1875) pamięta zapewne wielu. W obrzydliwym tem wspomnieniu pewne momenty nie wydają mi się dość jasnemi i bezwątpienia ludzie, którzy gimnazjum to ukończyli, lub dłużej odemnie (byłem tam przed wstąpieniem do Szkoły Realnej w Równem dwa lata) w niem przybyli i większą z ciałem nauczycielskiem mieli styczność — dużo więcej odemnie powiedzieć i obraz cały pogłębić, plastyczniej wystawić by mogli. O plastykę zewnętrzną nie idzie mi, idzie mi tylko o obraz zniszczenia, jakie dokonywa się w duszy dziecka, gdy myśl jego zetknie się z domem szkolnym, zamienionym na dom nierządu myśli władzą „chamstwa“. W zewnętrznym jednak domu tego obrazie — powiadam — widzę w swoim wspomnieniu punkty niejasne. Rozumiem w zupełności istnienie systemu ciemnienia szkolnego pierwiastków narodowych i wszelkiego samodzielnego prężenia myśli nawet po drogach nie objętych bezwzględny zakazem, systemu świadomie skierowanego ku usunięciu wszystkiego co żywe z nauki. System taki bynajmniej nie jest warunkowany programem tym czy innym — realnym,

czy filologicznym. Łacina i grecki nie są martwe; dość uchylić głazu z nad nich i głębiej nieco zasunąć dłoń ucznia — by sam wyczuł tam wieczny puls życia i piękna. Niech dotknie potem rozedrganego tętna ojczystego języka — który przed nim w ciele i krwi — a zrozumie natychmiast, że życie języków nie rwie się i jak wszelkie życie jest wieczystą ciągłością, obecną w tem *wszystkiem* „co płynie“. Gdzie zaś tylko jest to płynne życie i widok jego przed uczniem niezastłonięty, tam już poznanie nie może być czem innym, niż radością. Gdy z przeniesieniem się do Równego stoczyły się ze mnie głazy, to nie dla tego, że greckiego i łaciny mi ujęto, lecz że — z domu przedpogrzebowego poszedłem do szkoły — skromnej, wiele jeszcze braków mającej, ale *szkoły*. I oto czego nie rozumiem — zamknąć naukę szkolną w budynku, gdzie przystojnie leżeć nieboszczykom przed oddaniem ich ziemi, nie jest tak łatwo; nie dość nakazu, potrzeba do tego współudziału mnóstwa rąk, mózgów, czynnego powiem nawet udziału tych wszystkich, którzy zamknąć się tam dadzą i wmówić w siebie, że to jest szkoła. Gdy widzę w pamięci jakieś czcigodne oblicza nauczycielskie, namaszczone, i ten długi sznur rumianych, bez oznak udręki, chłopaczków i młodzieńców, sunących w niedzielę z czerwonego gmachu gimnazjum do pobliskiego kościoła Panny Maryi na

mszę, — czegoś nie rozumiem. Nie oskarżam — lecz nie rozumiem. Z takiej szkoły może wyjść albo człowiek okrojony w kostkę, albo jakiś krańcowy anarchista, jakiś niszczyciel bezwzględny dla rozkoszy niszczenia, w kim długa rozpacz i nękanie spruła wszystkie szwy więzi moralnej. O takich nie słyszałem, natomiast słyszy się i widzi ot — lekarzy, adwokatów, przeciętnie bardzo porządnych ludzi...

W czym-że się wyraził protest mój — dziecka o bardzo słabo zarysowanych pierwiastkach czynnych, niezdolnego do oporu gwałtownego, do śmiałego buntu i urzeczywistnienia tego, co tylko w marzeniu się przejawilo — by uciec do Sydora i z jego chłopakami nosić cegłę i szafliki z wapnem — co w istocie dla zdrowia duszy i ciała byłoby stokroć pożyteczniejsze?

W tem, czym się wyraża protest każdej rośliny, przeniesionej do piwnicy. Życia nie traci, lecz w swem łaknieniu jego, w tem tragicznem — ze względu na nakaz wewnętrzny i niepodobieństwo zewnętrzne — wspinaniu się ku okienku piwnicy przybiera kształt potworny wydłużonej łodygi, jakiejś nieswojej — z blademi, nieswojemi również listkami. Im potworniejsza, tem głośniejszy jej protest, krzyk — ot krzywda!

Organizm dla walki z napastującemi go zarazkami, bez pomocy lekarza, posiada różne środki,

przedewszystkiem wzmożenie całej swej wewnętrznej akcji, podniesienie ciepłoty, powiększenie wydzielin i t. d. Nie obce są i duszy takie bez obcej pomocy sposoby walki, lecz jej gorączka, to już obłęd lub zbrodnia; wypocić się jej trudniej, gdyż procesy moralne odbywają się w wielkiej głębi. Moja nienawiść może z strachem z niemocy czynu płynącym pomieszana, zatykała wszystkie pory duszy i walka z jadem musiała mieć przebieg tylko wewnętrzny. Poczęło się zatem niszczenie wnętrza, tkanek duszy.

Coś przestaniało mi widzenie. Nie widziałem już lipy. Cierpienie moje było zbyt wielkie, by wmieścić je mogła dusza drzewa, więc i ja już go nie rozumiałem.—Nie widziałem matki. Gdy mówiłem jej o swym bólu, ona mi mówiła o zasadach, obowiązku, ofierze. Znienawdziłem te słowa. Niech by ciało w jakiej ofierze niszczyć, ale myśli nie wolno, ona powszechna i boska... Przestałem czytać. Za wielki był rozdźwięk między marzeniem a prozą by dotykać książek, które mi były wątkiem marzeń.— Stępieiałem. Siedziałem na ostatniej ławie między nieukami, w sąsiedztwie jakichś idjotycznych fizjonomji i drągali, zajętych tylko zbytymi. Pamiętam złośliwą fizjonomję nauczyciela geografji i jego chudy, długi palec, którym mnie wskazuje: „Oto tępa głowa (ołuch carja niebiesnaho)!” Geografji! A toż kraje, w których on nosa nie pokazał — *ja*

widziałem sam fruując nad niemi na skrzydłach słów matki i swojej wyobraźni.— Mój rozwój fizyczny doznał przeszkód; zwątląłem, nie mogłem odierać napastników, którzy gnietli mnie na ławce lub dręczyli psztyczkami. — Wtedy rozpoczął się proces znieprawienia moralnego. Z ponurych zakamarków, które są w duszy każdego człowieka choć światełko dobra je przesłania lub zgoła mrok z nich wypłoszyć może — wypełził gad kłamstwa.

By nie pójść do szkoły udawałem chorobę. Potem udawałem, że idę do klas i chyłkiem tylną furtką lub przez parkan wkradałem się z powrotem i kryłem w drwalni, lub na stryszku z sianem. O jak pamiętam te godziny i tego pająka, który snuł swą siatkę pod gontami dachu. Przyglądałem mu się nieruchomy, stężały, zahypnotyzowany jego wstrętą powierzchownością i wstrętnym sposobem życia. Wreszcie polubiłem go. Pająki obsiadły mi duszę.

Do matki zaczęły dochodzić wieści. Pewnego razu przywołała mnie bardzo wzruszona, z pełnemi łez oczami. „Ty kłamiesz?” — zapytała.— „Tak”.— „Nie chodzisz do szkoły?” — „Nie mogę”... „Marzłeś na strychu?” — „Nie, tam cieplej niż w klasie— mam pająka” — mówiłem jak przez mgłę obłądu. — Otworzyła mi ręce i płacząc oboje wtuliliśmy się w siebie, jak to kiedyś dawniej. Znow byliśmy

jedno. Odzyskałem matkę. Powiedziała: „Nie pójdziesz tam więcej. Niech będzie przeklęta szkoła, która nauczyła cię kłamać“. Jak-że czczę jej cień, jak dziś całuję jej ręce za te słowa...

Ale to było po *dwu* latach. Dwa lata, drodzy moi, w życiu dziecka...

Odzyskałem matkę. Równe — już w roku następnym sprawiać zaczęło, że potrochu, potrochu zacząłem odzyskiwać siebie. Ale czy zniszczone tkanki duszy mogą jeszcze narosnąć. Nie wiem. Myślę, że po ranach duszy zostają też zawsze blizny, guzy, stwardnienia, których mogłoby nie być... Wy, co chowacie dzieci pomyślcie nad tem.

Myśl — jakiegokolwiek byłoby jej pochodzenie, ludzkie czy boskie — jest objawem powszechnego ciężenia. Musi prężyć się ku czemuś. W każdej tkwi częśćka Prawdy; w tej częścice zaś nakaz poznania całej. — Istotą myśli jest dążenie części ku Całości; w tem dążeniu myśli osobnicze stapiają się w powszechną. Prężność myśli, to jej wolność. Wszelki zamach na wolność myśli to zamach na samą myśl i na Boga. Można skropić gaz, ale żadnem zimnem, żadnem ciśnieniem nie można ruchu postępowego myśli powszechnej zastąpić ruchem wstecznym. Niema wstecznej myśli. Wsteczność jest objawem bezwładu, usiłującego zeskorupić myśl w jakimś momencie jej lotu. Myśl może być tylko

wolną i postępową. Nie może odbiegać, *musi* biedz do Boga. Jedyne to nakaz, którego się słucha, gdyż tkwi on w niej samej i jest jej istotą.

Co my możemy dać dziecku? Obfity i żywy materyał poznania i opowieść o tem, jak myśli i serca ludzkie szukały i gdzie, jak znajdowały Boga. I niech ono samo idzie do niego. Chcemy mu ułatwić drogę? Prowadźmy dziecko i pod nasiąkle modlitwą stropy kościelne i pod zielone szumiącego boru sosnowego; idźmy z niem miedzą naszej polskiej wioski, opowiadając mu co przyjdzie na myśl — o królowej Jadwidze i zakonniku z Jasnej Góry; o chłopie, który po obu stronach miedzy zorał ziemię — i o dalekich w przestrzeni i czasie bojownikach ludzkości. Niech dziecko idzie do Boga przez Ojczyznę, Lud, Ludzkość. Niech je ukocha i życzy im szczęścia. Wtedy zrozumie co jest szczęścia tego warunkiem.

Niech dziecko będzie samym sobą. Może nie raz w życiu będzie *dawało siebie*, ale to nie uszczupli jego całości. Człowiek winien być niczym i kiedyś oddać się Bogu *cały*, bo nie mogą się zawiećruszać części Boga i niech on nie szuka rozproszonych...

Oto program — jeśli wogóle potrzebne są programy. Można je pomyśleć tylko jako otwarcie wolnej od przeszkód drogi dla wolnej myśli.

Zawsze tak było i będzie, że dzieci zapytują o rzeczy niezrozumiałe i przechodzące ich rozum, młodzieńców zaś zajmuje polityka i sprawy społeczne. Co wobec zalatujących wprzód myśli i porywów robić ma wychowawca? Jedno. Powiedzieć— otworzywszy furtę na oścież: „Wchodźcie do miejsca świętego. Tu ludzkość — zgasła, takie jak wy młodości — stuleciami całemi znosiła swe myśli, a z ofiar przyniesionych patrzcie stos jaki urosł popiołów. Odsłońcie głowy i stąpajcie. jak powadze miejsca przystało, Waszą chcecie przynieść ofiarę — spalić serce a myślą podsycić płomień ten w górze? Trzeba się wczuć w popioły i oczy wzwyczaić do patrzenia w płomienie. Więc — uczcie się!” — I stanie się co z książką niezrozumianą; tęsknota zawiedzie do niej raz drugi, trzeci, dziesiąty, aż oczy przejrzą, a serca popioły czuć się nauczą.

Myśl nieraz zatacza koła — lecz nawet błędząc zawsze postępuje. Zdarza się jednak, że to co zowiemy postępem, już się oblepiło wstecznictwem. Grasował u nas kiedyś pozytywizm. Zastanówmy się nad tem. Był August Comte — głęboki umysł, poszukujący prawdy. Z wyjątkiem małego grona umysłów filozoficznych, które spróbowały podążać do prawdy szlakiem wielkiego myśliciela, nasi warszawcy pozytywiści to byli ludzie, którzy w dobrej, lecz naiwnej — lub złej wierze twierdzili, że Comte

czegoś dowiódł. Że zaś w tem mniemanem dowiedzeniu istota ludzka ukazała się jako coś niezmiernie uproszczonego, co jak befszytk z kartofelkami można położyć na talerzu, więc zadowoleni, że skończyła się robota myśli i można sobie odpocząć, rozpoczęli wyrób foremek pozytywistycznych i w kramach swych sprzedaż hurtem i detalicznie. To był najzwyczajniejszy bezwład. Grasował nie pozytywizm — lecz pozytywiści. Foremki się rozleciały, myśl idzie naprzód. O ukochana, wolna myśli!

Dla czego rówieńską Szkołę Realną zestawiając ją z gimnazjum lubelskiem, nazywam w istocie szkołą? Bo nie ciemnęła. Były braki w podaniu poznania, nie było ciemństwa. Przypominam sobie tego starego dyrektora, olbrzymia, owiniętego w zrudziały płaszcz, jak nocami krąży po mieście, zaglądną do stancji uczniowskich. Czy szpiegował nasze inyśli? Nie. Patrzał czy te dzieci małe i duże — *nie robią sobie czego złego*. Czy kto ich nie wciąga w złe mlejsca — czy nie wpadły w szkodliwe nałogi, — czy mają dosyć snu — czy im na stancji dają zdrową strawę. Był ich stróżem dobrym. Wyrzucono starego i przysłano młodszego, dla wykoźnienia prądów wolnościowych. Lecz napotkał opór. Nauczyciele jak jeden powiedzieli — „Ciemięzyć nie będzimy“. Byli to ludzie zwyczajni, nie orły — choć parę umysłów bardzo jasnych, pięknych, zaj-

mujących. Przedewszystkiem byli żywi. Sami coś czuli i myśleli, więc rozumieli dziecko i młodzież. Nie frasowali się, iż do młodych umysłów napływają najrozmaitsze kierunki i programy. Czego tam nie było — nihilizm, radykalizm, pozytywizm, ateizm, „narodnaja wola“, socjalizm, komunizm, anarchizm i kierunek bez nazwy, który na tem polegał by uczyć się z zapalem skoro los zdarzył doskonałych przewodników, jak w historii naturalnej, matematyce, historii, literaturze. Pamiętam wykłady świetne, gdzie tryskało życie, zapał, dowcip, satyra. A te różne kierunki... Wiele z nich nie mogło przystać do dziecka polskiego, spotknawszy się o próg duszy narodowej; żaden nie był prawdą, lecz wszystkie dążeniem do niej. Za to że do czegoś dążyć można było — dzięki ci szkoło! Gdy przypomnę sobie nauczycieli, życie koleżeńskie, którego czaru tu dopiero zaznałem — i całe to miasteczko wołyńskie skąpane w jakimś szerokim tchnieniu cudnej do-koła przyrody, — pokłon im oddaję do ziemi...

* * *

Nie wszystko jeszcze w sobie odkopałem... Nie mówiłem naprz. o stosunku moim do zwierząt. W obrazku: „Czyja ona była“¹⁾ — chciałem poka-

¹⁾ W zbiorcu: „Drzewa“.

zać że zwierzę jest niczyje. W obrazku: „Opowieść druga“ — że łyzy zwierząt sam Bóg — gdy ludzie nie chcą — oclera. — Mało to. — Rozumiem i widzę zbrodniczość wszelkiego zakusu by zwierzę uczynić własnością. Ani nabywać, ani sprzedawać, ani zabijać, ani spożywać. Lecz sam jestem winien, do winy ogólnej rękę przykładam, więc wstydzę się przed nimi i — z męką niemocy, gdy na rzeź ich wiodą — oczy odwracam. — Ci o zwierzętach *wszystko* powiedzą, którzy sami w sobie wilka krwiożerczego zetrą. I powiedzą cuda... Ja o nich jakoś mówić nie śmiałem, może jednak winienem to przynajmniej powiedzieć, co wrosło we mnie i jest już organiczną częścią mojego wyczucia czy ujęcia świata.

Im uważniej patrzy człowiek w siebie, tym głębsze rozstępują się przed okiem pokłady duszy i coraz wyraźniej prześwieca załamany w niej świat. Innej nad tę drogi w żywym badaniu duszy zwierzęcia nie miałem. Gdy mi pies łapy na kolanach położył i patrzył w moje oczy tak pilnie, jakby mnie na wskroś przejrzeć chciał, rozumiałem, że my jeden drugiego badamy metodą jednaką, żywym dotykem usiłując natknąć się na nasze miejsca nieosiągnięte. Skorupy istnień osobniczych pozornie tylko wydają się nieskruszoną jednolitością i zamknięciem, w istocie zaś pełne są szczelin i pęknięć, przez które coś promienieje ku powszechności jakiejś, czyli —

jak to ja sobie wystawiam — ku Bogu. Gdy pies i człowiek patrząc na siebie każdy przez swoją duszę, zaczynają widzieć i czuć jedno, tam skorupy niema i treści przelewają się swobodnie jednym spływając strumieniem. Jest pewna cecha odróżniająca rozmowę z Neptusiem od rozmowy z Pawłem i ta cecha właśnie pierwszej używa powagi i wagi, jakiej zbyt często brak drugiej. Paweł i ja posługujemy się prawie wyłącznie symbolami i znakami, więc nasza rozmowa nie raz jest tylko fragmentem cyrku; jak żonglerowie wyrzucamy i pochwytyjemy nasze gałki, noże, talerze i różne ludzkie bzdurstwa. Neptusiu z symboli dostępne jest spojrzenie, ruch, którym przytula się do mnie; niewyraźnie przez fałdy skóry owłosionej przebijający się skurcz uśmiechu; łza, wilgocią oko; nieliczne warjanty głosowe; słowem, ma tych symboli niewiele i gdy się wyczerpią nie pozostaje mu nic innego jak kłaść przedemną poprostu żywe, drgające kawałki swojej duszy. Ponieważ ja te kawałki jego, powtarzając w słowach rozmowę naszą, przekładam na kategorie ludzkich pojęć czyli znów symboli, więc nie sprawia ona wrażenia dwugłosu i wydaje się jakby człowiek dawał tylko siebie powtarzając rozmowę z samym sobą. Jest to błąd; obcowanie z Neptusiem, na małej tylko przestrzeni posługujące się symbolami, jest wymianą wewnętrznej treści. I to właśnie jest różnica — że

rozmowa z Neptusiem — lub dalej idąc nawet z lipą, bądź krajobrazem całym — nie może być czem innym jak wymianą wewnętrznej treści, rozmowa zaś z Pawłem, mogąc być nią również, nie bywa prawie nigdy. Czemu? Może za sprawą rozpylenia się w zbytnej obfitości symboli; z nich już mgła może w koło nas zgęstniała i coś nam przesłania. Nie wiem. Bezwiednie Ignąłem zawsze bardziej do mniej rozsymbolizowanych a więcej z Neptusia i lipy i wgłębień krajobrazu polskiego mających...

Więc romawiam z Neptusiem. Oto najcudniejszy z jego symboli — to spojrzenie, którym poprostu związał mnie całego jak jakąś własność swoją lub drugiego siebie; on trzyma ruch moich oczu, najlżejszą zmianę w fali mego wzroku, widzi lepiej bo głębiej niż lustro każdy skurcz w mojej twarzy i zabiega *przed* mój gest; dość mi dłonią ruszyć by on gest ten skojarzył z szeregiem dalszych mających nastąpić aż do momentu gdy... — Sądziś że na spacer, Neptusiu? Nie. Teraz tylko pogadamy sobie...

Powiedz mi, Neptusiu, czy ty umiesz kochać, jak i kogo kochasz? — Osądź sam — odpowiada — bo ja się nie znam na ludzkich walorach. Było to już dawno. Ciepły, różowy język mojej matki lizał mnie całego zgarniając nieczystość szczenięcia, myjąc włos mój. Gdy wpółsenny ssałem jej pierś, przenikało mnie jej ciepło; byliśmy z nią jedno i to by-

ło dobre, takie co się nie zapomina. Czasem coś podnosiło mnie, brało. Moja matka nie sprzeciwiając się patrzyła na to spokojnie, więc w tem niebezpieczeństwo nie tkwiło; nie bałem się i czułem bezpiecznie w twojej ludzkiej dłoni. Raz wzięłeś mnie w obie dłonie, podniosłeś do ust i chuchałeś na mnie; twój oddech był ciepły, dotknięcie miękkie. To była pieszczota. Było to dobre, takie co się nie zapomina. Druga para rąk, tej kobiety, twojej towarzyski, która teraz gdzieś wyszła a my obaj na nią czekamy, ciepła się w takim puchowem ujęciu, tak lekuchno głaskała, że nie wiem gdzie mi było przytulniej zasypiać czy u matki, czy pod tą pieszczotliwą dłonią. Ta sama dłoń ostrożnie przemywała mi ropiące oko; wrywałem się wtedy i parskalem, ale dziś mówię, że to było dobre, takie co się nie zapomina.

— Prawda, Neptusiu, że takie wspomnienia wyrugować się nie dają. Powiem ci coś. Twoją matkę — szczenięciem od suki, którą ktoś zabił, wziętem, takim małem że trzeba je było karmić jeszcze smoczkiem i łyżeczką podarowała nam pewna kobieta, stróżka, owej suki zabitej właścicielka. I wkrótce potem gdzieś wyjechała. Przeszło trzy lata i kiedyś na targu, do jakiejś która mnie nieznaną wydała się wieśniaczki twoja matka łąsić się zaczęła i do nóg jej przypadła z takim — no — dziecinnyim chi-

chotem, z takim wybuchem naraz wskrzeszonej pamięci, że stanąłem zdumiony. A kobieta pochyliła się do niej i pozwalając się jej polizać, rzekła: „To ty“? — Poznały się. Mów-że dalej...

Dobrze. W miarę gdy rosłem wyrastały w polu mojego widzenia i wasze postaci tak wielkie...

Ja już dokończę za ciebie, Neptusiu... Tak wielkie, że niemal przysłoniły ci świat, który wreszcie widzieć zacząłeś w odniesieniu do nas. Nie dziwneż to, że ty — pies — wśród psów nie możesz już znaleźć istoty, która by tyle i takie w tobie zajęła miejsce, jak my ludzie. Nas ci odebrać to zgasić ci słońce, które straciłoby swój walor w tobie odkąd w jego promieniach nas byś nie widział. Nie wiem czy mogę w kategorjach ludzkich mówić o twojej miłości, bo ona w nie nie wlezie. To jest za wielkie i inne. My mówimy o miłości, która może przestać być miłością i dla tego obok niej dajemy mnóstwo kategorii takich jak stałość — gdyż może być i niestałość, wierność, gdyż może być i niewierność, przysięga — gdyż może być jej złamanie. W tobie nie ma nic zaprzysiężonego, jak nie ma walorów przybranych. Twoja wierność i miłość, to ty sam; nic o nich nie wiesz bo ty siebie nie widzisz. Jak deszcz wiosenny nie widzi swej dobroci... Nasze zaś miłości, które mogą się zapalać i gasnąć, to błędne chyba ogniki nad bagnem, które zalało wnętrze gdzie

niegdyś treść, ta co i w Neptusiu była, nieświadomie cudnym jarząca się blaskiem.

A czy w twojej miłości, Neptusiu, jest troska o kochanych, ból, gdy ich coś boli, potrzeba łez im otarcia? Zbędne to moje pytanie — gdy w nocy, w śnie ciężkim jęczałem nie mogąc się obudzić, ktoś trącał mnie i łapą na piersi mojej położoną budził! Gdy ta, której ręce mówisz, że ciepłą się puchem pieśczoły, płakała, ktoś prosił by dała sobie łzę zlizać i kto, w podskokach jak dziecko cieszyć się poczał, gdy się uśmiechnęła.

A czy obraz ukochanych jest ci ciągle przytomny, czy widzisz ich gdy odejdą, czy przywołujesz, czy znasz niepokój, oczekiwanie, troskę? Ja się pytam a cóż my z tobą czynimy teraz, w godzinie gdy nas odeszła ona, ta o dłoni pieśczołiwiej, ta której obecność obu zarówno jest nam potrzebna, której głosu chcemy, fali jej ruchów chcemy, oczu chcemy by się z naszymi spotykały — więc obaj jednako ją przywołujemy. Mnie książka w rękę drgnęła, tyś łeb podniósł z kolan moich i uszu nastawiłeś. Dla czego? Bo w sieni, na dole, drzwi stuknęły i zaskrzypiały schody. Ale to nie jej chód, nie ten lekki, biegnący krok. Czas mija. Masz ty pojęcie czasu, Neptusiu? Masz, gdyż dłuży ci się ta godzina, a niepokój — wskazówka upływających chwil oczekiwania — wzbiera w tobie, jak i we mnie. Ja usie-

dzieć, ty doleżeć nie możesz. Podniosłem się, ty już u drzwi. Tak, pójdziemy wyjrzeć na drogę. Wyszliśmy i tyś wiedział po co, bo na drodze odrazu ku tej zwracasz się stronie, skąd ona ma nadejść. Już zmierzch zapada; pod kępami drzew, wzdłuż drogi, zmroczyło się i tam oto majaczy coś, niby do niej podobna sylwetka. Pomknąłeś jak strzała. Wracasz; to nie ona! Wróćmy do izby. Jak tu smutno, prawda, jak osowiało. Czemu ty wączasz jej chustkę, którą zostawiła na krzeselku? Czemu kładąc się wzdychasz długiemi, mojem westchnieniem?

I naraz jak ptak się porywasz, jak szalony w skoku o drzwi uderzasz. Ona!

Jednakie w nas drgnienia, jednaki rytm serca, jednaka ulga że skończył się niepokój a obraz pamięciowy, tęsknotą spowinięty stał się znów ciałem. Mamy jej głos, jej ruch, jej oczy — te dziwne okienka, przez które trzy nasze światy tak lekko i łatwo przepresączają się w siebie!

...Umiecież wy się poświęcać? Wy zwierzęta? A chór głosów wszelkich jakby ziemia całą głosem wezbrała i odpowiadała — woła: „My tego *nie rozumiemy*. Jeśli poświęcać się to znaczy przenosić czyjeś istnienie nad swoje, jeśli znaczy *bez namysłu* dać siebie za coś innego, to żadnej matki wśród zwierząt nie pytać co jest poświęcenie bo dla niej to nie kategoria — to *ona sama*“.

Tak, to ona sama. Ból i troska o dzieci, to ona sama.

Opowiem ci, Neptusiu, jeszcze coś o czem nie wiesz, a co ciebie się tyczy.

Twoja matka, czarna jak kruk Mucha (ty po niej masz czerń a po ojcu biały pod szyją gors i białą łatkę na nodze) miała się oszczenić. To było na wsi, w domu Madziaków¹⁾. Jeszcze jej potomstwo w trzewiach jej było, gdy zapadł już wyrok człowieka by je zniszczyć. Mieliśmy już dwu psów, Muchę i Azora; doświadczenie nas pouczyło, że szczenięta ludziom oddane źle na tem wyjść mogą, powiedzieliśmy więc sobie iż lepiej zamknąć przed nimi świat odrazu. — Była noc, leżałem już w łóżku. Paliła się mała lampka przed obrazem. W kącie ciemnym, na posłaniu ku temu właśnie wypadkowi przygotowanym (— bo zwykle u mnie na łóżku, w nogach, Mucha sypiała), twoja matka zaczęła się wić w bólach porodu. Wydała pierwsze, wyczyściła je po swojemu i wymyła, lecz gdy z powrotną falą bólów, trzewiem targających, opadła jej głowa i zgasła czujność oka, czyjaś ręka (ta sama, Neptusiu, co— jak puch pieśczoży) uniosła jej szczenię. To samo nastąpiło z drugim i trzeciem. W wnętrzościach jej zostało jeszcze jedno. — Patrzałem z udręką nie-

¹⁾ Pt. „Czyja ona była“? — w *Drzewach*.

zmierną na chwiejny płomyk lampki, gdy naraz z cieńców cicho się wysunęła, sama jak czarny cień zgęstniały, i przy łóżku moim, u głów, stanęła Mucha. Łeb miała opuszczony i cała jakoś taka opadła, bezsilna i jak noc smutna. Drżałem— a gdy podniosła na mnie oczy, taki wściekły ból mną zatargał, żem na głos krzyknął: „Mucho“! I co prędzej uniosłem kołdrę, ułożyłem twoją matkę w jej zwykłym kąciku, nakryłem— i usłyszałem jej długie westchnienie— ulgi, bezpieczeństwa, wdzięczności, któż wypowie— czego... Tam, w nogach moich, wydała ostatnie szczenię, czarne, z białym pod szyją gorsecikiem i łatką białą na nóżce— i tego jej nie zabrano.

Tak to matka twoja, Neptusiu, wyprosiła twoje życie...

Gdy pomyślę jakie gammy, jakie falowania subtelne i delikatne przelewają się w uczuciu wewnątrz tych duszyczek— i ile ja im zawdzięczam!...

Czytałem w pewnym czasopiśmie— przykro mi powiedzieć, że polskiem i w dodatku naukowym— mniej więcej tyle: „Gdyby zwierzęta posiadały rozum, poznawałyby byty niematerjalne, mianowicie Bóstwo, dobro i zło etyczne, prawo i obowiązki, cnotę i występki a tym samym miałyby religję i moralność. Zwierzętom brakuje tego wszystkiego“. A dalej: „Zwierzęta nie mówią, bo im brak pojęć“. A dalej: „Zwierzę nie jest zdolne do po-

stępu... Brak postępu świadczy o braku rozumu". A dalej: „nie mogą uchwycić stosunku między przyczyną a skutkiem i środkiem a celem“.

Pocieszam się że istotna nauka, która jest skromną i ostrożną w twierdzeniu, uważną i poważną w badaniu, nie może pleść trzy po trzy i nie ma nic wspólnego z poglądem płytkim, osiągniętym przez zewnętrzne ostukiwanie skorupy, która dla takiego badacza jest szczelnie zamknięta i próżna na tem ostukiwaniu („psychicznych czynności zwierzęcych — czytam jeszcze — nie poznajemy oczywiście wprost, lecz przez wnioski, oparte na ich objawach zewnętrznych“) czas traci. Może jednak takie poglądy — skoro mają obywatelstwo w druku — są echem pospolitego, przeciętnego sądenia. To nie dobrze. Nie jałowe-ż to pytanie, czy mają lub nie mają rozumu? One i my — tkwimy w czemś jednym. Unosi nas jeden ocean i my fale jego. Wypłynął z nieskończoności i zasuwa się, glnąc nam z oczu, pod jej dalekie omglenia. Jest ciągłością, która nie zna skoków, urwań, ani skończeń i zapełnia po brzeg wszystkie przepaści.

Nie jest że to nierozsądną śmiałością mówić, że zwierzę nie zna Boga, stworzenie Stwórcy. Istota, która sama nic stworzyć nie może i tylko w promieniach boskiej twórczości rozpina swe złudy, wydaje sąd o tem, jakie węzły łączą Twórcę i twór

jego. Któż wie czy stokroć miłszą Mu nie jest od naszej modlitwa przyrody, chór niemowny — bo zbędne są słowa do rozlania przed nim czci i uwielbienia. Tam rodzą się i giną wielbiąc, bo uwielbienie — to oni sami, więc po co im słowa. Nam one potrzebne bo oto modlitwy nasze — stek próśb i wypraszań, jęczeń i utyskiwań i nalegań i molestowań, chociaż Chrystus ucząc nas jak się modlić mamy zaczął od wystawiania Imienia Boskiego i przywoływania jego królestwa i woli. Stanęły pewnie wtedy chmury nad nim lecące i pilnie mu się przysłuchiwać musiały, a z niemi ptastwo i ciemne głębie leśne i w cichą zadumę spływająca fala morska. Bo tak po dziś dzień czynią, jak On uczył...

Zwierzę nie rozpoznaje zła i dobra? Rozpoznając Boga, rozpoznaje dobro; jeśli zaś mowa o regułach etyki, to ujawnia wstyd a więc rozeznanie reguł. Zwierzę, które wiele obcuje z człowiekiem, oczywiście nie na gruncie tresury, lecz przyjacielskim, nie może ukryć pomieszania gdy przekroczy reguły, do których je wdrożono. Neptusia nikt nigdy nie uderzył i nie skarcił inaczej jak spojrzeniem i odmową pieśszoty; gdy uczyni mi przykrość, wzdycha i przeprasza.

Brak postępu? Nawet komórka posiada jego pierwiastki, czyli zdolność do zmian i utrwalania ich, nie powstałby człowiek inaczej, — a jeśli mowa

o postępie, owocu oświaty, popartej samoistnem prężeniem się ku doskonaleniu, uczmyż i wychowujmy je jak działwę a powiedzą nam coś o postępie. Nie obrażajcie się... Rzekł Ekkł. „Któż wie jeśli duch synów Adamowych wstępuje wzgórze, a jeśli duch bydłęcy zstępuje na dół?”

Ale te słowa w jego nieśmiertelnej i pięknej jak wieczność pieśni (Ekkł. III, 1 — 21) wyśpiewały mu się w szumie posępnych skrzydeł melancholji, gdy odepchnąwszy się niemi od dolin życia, rozpiął ducha swego tak wysoko, iż jak Bóg płynął już nad przestrzenią i czasem. I widział stamtąd „przemija wszystko pod słońcem — czas rodzenia i czas umierania, czas szczepienia i — wrywania tego co szczepione, czas nabywania i utracenia — milczenia i mówienia — miłowania i nienawidzenia — wojny i pokoju...” Na tej wyżynie, gdzie przeszłość, obecność i przyszłość zlewa się w jedno („Co już było to i teraz jest; co będzie — już było!”) jednaką marnością widział człowieka i zwierzę — „...nie ma człowiek nic więcej nad bydłę. Wszystko idzie na jedno miejsce: z ziemi są uczynione i w ziemię się jednako obracają“.

Do tego jednak by duch synów ludzkich i duch zwierzęcy widzieć nie jako wyższe i niższe, lecz jako — jedno płynące, dojść można niekoniecznie przez wyżyny melancholji w marność wszystko

obracającej. Śmiejąca się dolina radości życia też tam przywiedzie. Bo czyż to nie radość duchowi synów Adamowych, gdy przybiorą w siebie ducha zwierzęcego; toć nie mniejsi od tego będą, lecz urosną „wzgórze“ ku duchowi powszechnemu — Bogu. I na białych, radosnych skrzydłach śmiałej woli można również dolecić do wyżyn Eklezjasty i z niezmiernej wysokości widzieć jak nadchodzi, przemija i ustępuje innemu czas wszelki, a z nim i czas „rozzucania kamieni i zbierania ich“ do budowy, o których dziś tu w dole, ledwie słabe błakają się przeczucia...

Gdy wiem, że kamień węgielny duszy, granity jej, rudy — w których kruszec pospolity lub z żyłami złotymi leżeć może, ale najważniejsza by same rudy te pokładem zalegały, — że to wszystko jednak założone jest w duszy mojej i Neptusia i gdy na tyle mi pytań odpowiedział, jeszcze jedno mu zadam — pytanie pytań, które samo w sobie huczy i łoskocze i o rdzeń ducha uderzając metalicznego szuka oddźwięku.

Czy ty masz, Neptusiu, jaką ojczyznę i czy ją kochasz?

A o to ciebie się pytając, muszę uprzytomnić wpiersz sobie samemu, cóż we mnie jest ojczyzną?

Jest to zmysł duszy, który kiedyś, w zaraniu, wprowadzał mnie po zagrodzie domowej, a gdy już

w wszystkich zakątkach naszego obejścia rozproszyłem cząsteczki serca, które nie ginęły w rozproszeniu na niewidzialnych niteczkach serca się trzymając, powiódł mnie dalej za miedzę, po granicach wioski i tak dalsze coraz kazał mi zataczać kręgi nie w przestrzeni tylko, lecz i w własnej duszy. W niej wirowały koła te, w wir swój wciągając coraz nowe cząstki, aż zakolysała się od podstaw cała dusza i w wir rzuciła radośnie. A nie szło to z myśli i rozumu, bo gdybym słowa ojczyzna nie miał, ją miałbym i kochał płucami, gdy piję ojczyście powietrze, rzeźkością nóg, gdy po obcych ugorach swojego dotknę zagonu, rękami gdy preżą się do uścisku, któryby całą tę ziemię do piersi przytulił, oczami niesytemi nigdy swoich widoków, znojem czoła, które nigdzie takiej ochłody i ulgi nie zazna jak do ziemi tej przypadłszy, wreszcie prochem każdym swego ciała, tęskniącym by kiedyś w jej prochu spocząć. To jest coś, zaco się umiera nie myśląc, że się umiera, lecz że się życie uzyskuje.— A zaczyna się — od zagrody...

Cóż ty tedy, Neptusie?

W Ł. kilka lat mieszkaliśmy, mało dokąd wyjeżdżając, wreszcie kiedyś zamierzaliśmy wyjechać na całe lato. Neptuś z nami. Jedzie się odrapanym, żydowskim powozem mil parę do stacji; dalej kierowaliśmy się na Warszawę. Droga bawiła Neptu-

sia zrazu, jak dziecko, z tą różnicą, że pies nietylko zaspakaja ciekawość, lecz rozglądając się i raz po raz wciągając powietrze ulega potrzebie dobrego zapamiętania drogi. W wagonie trochę odrętwiał, Ten sposób pochłaniania przestrzeni raził go, tylko na stacjach znów ćwiczył swą pamięć. Warszawa nie przypadła mu do smaku; raz i drugi poszedł z nami na ulicę, potem nie chciał. Gdy zbieraliśmy się w dalszą drogę, zrazu okazał uciechę, lecz wnet umiarkował ją pewną powściągliwą uwagą czekając, aż coś mu wskaże, że to już istotnie będzie *powrót*. Gdybyśmy pojechali na ten sam dworzec kolei, z którego przybyliśmy, sądziłby, że to zaczyna się odwrotna serja obrazów, na końcu której będzie dom jego, lecz pojechaliśmy na inny, więc zapadł w apatię mało się troszcząc o tę rozpoczynającą się nową serję, nowych obcych rzeczy. Po paru dobach jazdy koleją przybyliśmy na wieś, jedną z najcudniejszych, jakie znam, nad Zbruczem, w bajecznej krasie Podola. Po paru tygodniach Neptuś przyzwyczaił się i zżył z nowem miejscem, ale nie tyle co my. Myśmy się oprzędli już tutaj, wtulili w tę miłą wieś, tak że o wyjeździe myśleć się nie chciało, on wciąż tęsknił. To jakieś brzemie na sercu było widoczne. I czuł jakąś do nas urazę. W domu nie odchodził od nas na krok; tu szedł w ką, kładł się z westchnieniem i drętwiał w ja-

kiejs samotnej zadumie. Lub podchodził, kładł głowę na moim kolanie i patrzył się w oczy długo, pilnie, poważnie, smutnie. O coś pytał, czy o czemś przypominał. Czasem długo owąchiwał walizę i rzeczy, które miały zapach domu — i potem znów szedł do mnie i patrzył w oczy.

Wreszcie trzeba było zabrać się do powrotu. Nie potrafię powiedzieć jaką nadzwyczajną czujność i uwagę rozwinął wtedy pies. Coś grało w nim w oczach i mięśniach wszystkich, których ruch pod skórą stał się jakiś widoczniejszy. Pierwsza powrotna stacja. Poznaje ją, prowadzi do furtki na peron, pierwszy wskakuje do wagonu. Całą drogę odmawia posiłku, pije tylko chciwie. Pali go coś. Karmi się jakimś obrazem, swoją tęsknotą, napiętym do najwyższego stopnia oczekiwaniem jej zrealizowania. — Ostatnia stacja, odrapany, zblocony żydowski powóz; niema czasu nawet na owąchanie jego, drży i rwie się do tego powozu. — Był ranek; dniało; tuż za stacją zapachniał las sosnowy... Nie potrafię wam tego opowiedzieć. Neptuś już dawno nie żyje. Zdaje mi się, że to moje własne nozdrza rozdymają mi się — jak jego wtedy — ciągnąc ten oddech pachnący „swoich stron“, że to moje oczy to mgłą zachodzą, to sypią snopem blasku łakomie, nienasytnie całując widok „swoich stron“. — Staął powóz przed domem, Neptuś wyskoczył i znikł. Po-

szedłem za dom, na podwórze, ku ogrodowi. Nie było go. Stałem i czekałem. On wtedy witał jakieś swoje zakątki, gdzie rozproszył cząsteczki serca na niewidzialnych uwieszonych niteczkach. Wreszcie wybiegł z ogrodu i stanął koło mnie. Urósł jakoś w tym momencie i stał się jakiś tęgi i hardy. I naraz skoczył na mnie z prawdziwym krzykiem radości i z tym krzykiem, w podskokach szalonych, na cały dom szczekając pomknął po schodach powitać — mieszkanie...

To ładne, Neptusiu, jak tak zagra w piersi, co? I co ci tak grało szmerem krwi w żyłach, ojczyzna, Neptusiu, tak? Nie żyjesz mój piesku. W zdziczałym ogrodzie Karola, gdzie teraz, na wiosnę zaczyna pachnąć czeremcha, niedaleko niej, w dołku, ziemią utulony, ziemią się już stałeś—ty, co po lipie moich lat dziecinnych, byłeś na całym obszarze życia, tym jedynym jeszcze moim przyjacielem, z którym naprawdę byliśmy na ty i nigdy żadnym nie zakłóli kolcem. Ale ja ci powiem—ty żyjesz, a to co ci grało wtedy gdyś okiem i duszą całował „swoje strony“, gra wciąż i nigdy nie zmilknie. Dopóki ja żyję—ty we mnie, ale ja wieczny; cóż mi śmierć robi, rozwieje mnie i rozsiewe po tej ziemi, którą już usiałem grudkami serca i trwam w niej i jej oddechu wiecznie i przelewać się będę do oddechu żywych. My jeszcze, Neptusiu, usiądziem razem na miedzy,

pamiętasz? — pod gruszą i gwarzyć będziem, bądź listeczkami jej wyszeleścim Bogu i ludziom coś smutnego i trwać będziemy nieprzerwanie w tej ziemi i Polsce — wiecznej...

...Tyle o — zwierzętach. Czasem myślę, że w badaniu duszy, to one mnie przywiodły do tego momentu, w którym zaczyna się czuć i rozumieć wieczność.

* * *

Autobiografji swojej chronologicznie nie wiodłem i u daty jakiejś nie kończę. — Ale co warta jest chronologia. Zarówno w osobniku, jak historii widziimy, że co *nastąpiło* później, *istniało* już wpierw. —

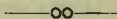
Nie upierałbym się przy takim twierdzeniu, lecz — czy nie przychodziło wam czasem na myśl, że cała historia jest zwiniętą taśmą zdjęć kinematograficznych — gdzie wszystko już jest — od sensacyjnego tytułu do „Itala-Film“ lub „Cines“ na końcu. Ktoś kręci korbą, taśma się rozwija — nam zaś się zdaje... A jak się to robi, że na ekranie wszystko zaczyna chodzić do góry nogami lub wspan — przeszkoda biegnie do konia, koń z jeźdźcem od niej umyka... I w życiu trzeba dobrze przecierać oczy by się przekonać czy coś jest złudzeniem, czy może

w istocie dzieje się coś na wywrót. A już w chronologii, to zazwyczaj koniec bywa początkiem i odwrotnie.

Mówią, że zachodząc w lata człowiek coś przybiera. Co, jednak? Czy macie na myśli, iż sprawi sobie komodę i do jednej szufladki włoży trochę wiedzy, do drugiej trochę doświadczenia, do trzeciej zżółkłe szpargały wspomnień. Ale to nie jest przybór w tym strumieniu naszym, którym płyniemy do oceanu. Wiem, że w dzieciństwie cały byłem i doskonale w „czarnym kącie“ widziałem zwiniętą moją taśmę posępnych zdjęć. I to fakt nieodosobniony, raczej powszechny; nad nim trzeba by myśleli wychowawcy, chociażby dla tego tylko, żeby dziecku oszczędzić — chodzenia do góry nogami. —

„Wychowawcom“ — należało mi zatem napisać w dedykacji...

Wołomin, 19 lutego 1915 r.



ŻONA LEWITY.

Wstawszy tedy mąż jej, szedł po nią, aby ubłagawszy ją zasię, przywieść do domu swego z powrotem (Iudic., XIX; 3).

Ukończył Lewita Efraim posługi swoje w przybytku Pańskim w Silo. Był wolny teraz na dni kilka. Uzyskał zezwolenie kapłana by odwiedzić mógł dom swój, o dzień drogi od Silo na słonecznym stoku gór Efraimskich położony.

Pochyliwszy się ostatni raz w stronę zastony od świętego świętych skierował się przez sień przybytku ku wyjściu. Głowę miał ciężką od dymu kadzideł, nozdrza pełne pomieszanych woni, pierś uwędzoną w gorzkim dymie całopaleń. Gdy ciężka zastona sieni przybytku opadła za nim, chciwie wciągnął ożywczy powiew słabego z gór od północy dolatującego wietrzyka.

Dzień się już był bardzo nachylił. Zapóźno już było w drogę mu się udawać, bo nocą śród górskich pustoszy zwierz dziki nie rzadko się napotykał, odłożył ją tedy do zaranka.

Nieopodal przybytku, na kamieniu, w cieniu wątlým garbatej oliwki usiadłszy, odetchnął Lewita głębokiem westchnieniem człowieka, co zbywszy zewnętrznej służby życia odzyskuje na czas prawo do wnętrza swego. Tam-ci sam tylko jest arcykapłanem, mogącym uchylić ostatniej przybytku zasłony i wstąpić do swojej świątnicy najświętszej.

Purpurą nasiąkło niebo na zachodzie. Z dymów rozpełzłych i kurzawy wzniesionej przez powracające z pastwiska trzody złotawy pod słońce obłok ogarnął przybytek. A był to jeszcze ów namiot Mojżesza z opon jedwabnych, zahaftowanych postaciami cherubinów, w szczycie opony z sierści koziej tkane mający i skórami borsuczemi i baraniami, czerwienią farbowanemi nakryty; ten sam sędziwy już namiot w szczegółach najdrobniejszych urzędzenia swego — od wymiaru opon, ilości pętlic na nich i klamr do spinania, do kształtu ołtarzy, skrzyni przymierza, jej wieka z cherubinami nad nią złote skrzydła rozpościerającemi, do całokowanych ozdób świecznika, do słupów, ich główek i srebrnych okręceń, do mis, czasz, kubków, lamp i kaganków — pomyślany w dni samotne na milczącym, obłokami spowiniętym szczycie Sinai. Niedalekie to jeszcze były czasy. Nie stężał jeszcze Mojżesz w legendę, choć fantazja ludu zdążyła już cudami wyhaftować wspomnienie o nim. Zdążył też Izrael sto razy już

twardy swój kark od Pana odwrócić i znów w trwodze i pomieszaniu go ugiąć, zakon podeptać i do zakonu z utęsknieniem wrócić, ale tu — w przybytku, gdzie nie było przedmiotu, którego by ręka Mojżesza nie dotykała — żył on jeszcze osobą swoją, tchnął oddechem żywym, grzmiał gdzieś w górze.

Nie raz i niejednemu zdawało się, że oto uchyli się zasłona i z za niej wyjdzie ten mąż niezwykły z jaśniejącą, jak ongi gdy z Synai schodził, twarzą. Zaprawdę, jednym z najbardziej majestatycznych ludzi świata był ten pierwszy prorok Izraela, prawodawca, pół-bóg, wspaniały królewski ptak o orlim locie i gołębiem sercu, wielki piastun ludu. Ten-ci, co śpiewał Panu Panującemu: „Tyś — jako orzeł, co orleża swe wybawia na skrzydłach swoich je nosząc; tyś skrzydła rozpostarł i lud swój wziął na nie i nosisz to orle w puchu skrzydeł twoich“! Lecz i on sam takim był orłem. Czasem z utrudzenia mdlały mu skrzydła, utyskiwał wtedy przed Panem: „Czemużeś włożył na mnie jednego ciężar wszystkiego ludu tego, czyliżem ja go wszystek zrodził, iż mówisz mi — noś je na łonie swoim jak piastun niemowlę? Nie mogę ja podołać ludowi temu wszystkiemu, bo to nad możność moją!“ Ale wnet się prostował i brał na swe bary lud ten krnąbrny, płochy, niestały a miły mu i nosił go a wstawiał się za nim. — Ten-ci był, co rozumiał

i pamiętał, że ziemia jest żywa, wysiła się, poci, omdlewa z trudu, że i jej przeto siódmego roku należy się sabat odpocznienia, sabat Pański — „nie będziesz wtedy pola obsiewał, ani winnicy twojej obrzynał; rok odpocznienia ziemia będzie miała“.— Ten co rzekł — ziemia nie ma być sprzedawana na wieczność, bo — mówi Pan — moja jest ziemia a wyście gośćmi i przychodniami u mnie. Ten co nakazał święcić rok pięćdziesiąty — lato miłościwe „obwołując wolność w ziemi wszystkim obywatelom jej“ i wróci naówczas każdy wydziedziczony do osiadłości swojej. Ten, ustami którego Pan mówi: „Świętymi bądźcie bom Ja jest święty — Pan wasz, Bóg wasz“ — i napominał: „Gdy będziecie żęli zboża ziemi waszej, nie będziesz do końca pola twego wyrzynał, ani pozostałych kłosów zbierać będziesz; także winnicy twojej gron do szczytu obierać nie będziesz, ani jagód opadających nie pozbierasz. Ubogiemu i przychodniowi zostawisz je. Jam Pan, Bóg wasz“!

Ogromny był Mojżesz i nie trzeba mu było wywoływać widomej postaci Pana Panującego, bo Pan był w nim, przez duszę jego przelewając się falą jasności.

Roziskrzyła się noc i stanęła nad przybytkiem srebrna od lśnień gwiazdnych. Rosa obficie skraplać

się zaczęła na trawie; rozwilgotniała ziemia uśpiona i odetchnęła wonią jędrną, rzeźwiącą.

Legł Lewita na ziemi, za wezgłowie mając kamień i dłoń pod głowę podłożoną.

Długo wodził oczami po wspaniałej oponie niebios aż przylgnął spojrzeniem do jednej z gwiazd na zachodzie, niewysoko nad ziemią równym i łagodnym blaskiem płonącej. Jakby się uśmiechnęli do siebie... To była znajoma — gwiazda jego domu. Ilekroć wieczorem na kamiennym stopniu, przed drzwiami swemi zasiadł, miał ją wprost przed sobą, niewysoko nad posrebrzonymi wzgórzami, jasną i życzliwie jakoś ku domowi jego spoglądającą.

A w te godziny ciche, obok niego, dwie inne jeszcze gwiazdki w ciemnej oprawie tęczy, pod długimi rzęsami, płonęły w owalu bledziutkiej twarzy. Białe, przejrzyste zasłony, jak obłoczki powiewne, otulały czern wijących się nad skroniami włosów i kołysały się przy policzkach. Od zasłon tych obłocznych, od cieni kładących się pod marzącymi oczami, od smutnego trochę uśmiechu okalającego krwisty, wilgotny pączek stulonych usteczek — jakaś chmurka tęsknoty spowijała wtedy twarz tej miłej gwiazdki jego domu, którą niedawno przywiódł sobie z Betlehem Juda.

Ciepła fala wzruszenia podniosła mu się w piersi, gdy gwiazda zachodnia tamtą mu przypomniała.

Bardzo kochał Lewita swoją żonę.

* * *

Pod tym samym iskrzącym stropem, do zbrocza góry przytulony, wśród kilku starych cisów, opleciony bluszczem spał o tej późnej godzinie swoim kamiennym snem dom Lewity. Ale w domu nie spano. Zgrzytnęła zatwora, skrzypnęły grube, dębowe drzwi i na kamiennym stopniu przed progiem stanęło białe, cudne marzenie. Wymarzyła ją ta noc wonna i wywiodła przed dom, by wszystkie płonące gwiazdy widzieć ją mogły.

Mała rączka stuliła zasłony na twarzy, a druga przytrzymała powiewną sukienkę nad nagimi nóżkami. Stała pochylona nieco przed siebie i zastygł w niej na chwilę pełny wdzięku ruch ptaka, gotującego się do lotu.

Ale gdy uczyniła krok i drobna jej stopa wcisnęła się w zwilgotniały piasek drożyny, w dół od domu zbiegającej, jakaś postać ciemna wysunęła się zza węgła domu i przestąpiła jej drogę.

Była to stara, przygarblona, na kiju wspierająca się niewiasta. Złożyła błagalnie ręce i cichą, szepleniącą mową ust bezzębnych prosiła:

— Nie czyn tego pani moja, słodka Orfo moja, pani pana mego. Tyś jego radością. Dla kogo ten pęk róż, które widziałam na wezgielciu posłania twego? A mirra i aloes którymi potrząsięta twoja izba — dla kogo? Nie czyn tego pani moja. Wróć! Sen spokojny, bezgrzeszny cię upieści.

Dwie wonne ręce spłoty się na jej szyji, a pocałunek zamknął starcze wargi.

— Czyś ty nigdy nie była młodą Hagito? Nie łaj mnie. Dotknę ustami twego policzka, prawda — jaki w nich żar? A teraz ty połóż rękę na moim sercu. Jak bije? Połaj je, jeśli twoje nigdy tak nie biło. Czy w twojej ojczyźnie nie bywa upalnych wiatrów, które ognisty strumień do krwi wlewają? Taki wiatr mnie owiał i niesie. Nie łaj Hagito!

I frunęła lekko, powiewnie. A wróciło ich dwoje — młodych i płochych. Na kamiennym stopniu, nieruchomie zastygła na czatach grzesznej miłości Hagita. Wsparłszy na rękach głowę, wpatrzyła się osłabłą, mgłą zasnutą źrenicą w jasną gwiazdę, która przeciw domu Lewity łagodnem światłem płonęła.

* * *

Już ku wieczorowi następny dzień się pochylał, gdy Lewita do skłonu góry Efraimskiej podchodził. Był znużony, ale kiedy rozwinęła się przed

nim, wśród kamiennych złomów, biała ku domowi wiodąca drożyna i dom ten w górze zobaczył i bluszczowe oplecenia jego i drzwi uchylone, rzeźkie uczuł nogi. W chwil kilka był na progu swoim.

Wszedł do izby. Pusta.

Zawołał. Nikt się nie odezwał.

Przed się wyszedł i powtórzył wołanie:

— Orfo!

Zajrzał za węgiel ściany. Pod murem skulona, z głową opuszczoną siedziała Hagita. Nie miała dla niego słowa powitania; coś niewyraźnego szepeliła do siebie.

— Gdzie ona? — z trwogą w głosie zawołał. Stara podniosła się z trudem i dłoń jego w milczeniu ująwszy, powiodła go do progu domu. Przy kamiennym stopniu przystanąwszy, czegoś na ziemi upatrywała, a dostrzegłszy na piasku ślad drobnej stopy tak wyraźny, że i paluszki w nim się wyłobiły — wskazała go Lewicie.

— Oto wszystko panie, co ci po niej zostało — rzekła.

Milczał i patrzył na nią.

— Dziś o południu żona twoja opuściła ten dom by do Betlehem Juda powrócić, do domu ojca swego — i przed oczy ci nie wróci już nigdy.

Podniósł Lewita dłoń do czoła, jakby cień jakiś z przed oczu spędzając:

— Co to znaczy Hagito? Mów proszę, nie męcz mnie.

— Wszystko ci powiem panie—bo i ona także kazała aby tobie wszystko powiedzieć, nic nie ukryć i nic nie skłamać. Ale nie krzycz na mnie i nie wołaj o prędkie mówienie. Stara jestem i słowa mi się nie kleją i zapomnieć co mogę a chcę każde jej słowo powtórzyć, bo ostatnie to są, jakie od niej do ciebie dochodzą.

Osunął się na próg Lewita i zamglonem jakimś okiem patrzył ku zachodniej stronie nieba. Gorycz i ból w kątach ust mu zasiadły.

A stara stała nad nim i szepleniła:

— Dziś o południu — tak. Nie wzięła nic z sobą, ani z tych rzeczy coś ty jej dał, ani z tego co ona do domu ci wniosła. Jak stała tak poszła, jeden listek bluszczu twego sobie uszczknawszy. I kazała ci powiedzieć panie mój te słowa. Zgrzeszyłam — mówiła i tak powtórzyć mi kazała — zgrzeszyłam przed panem moim i mężem i srom do domu jego wniosłam. Rozgorzał we mnie żar krwi mojej młodej i upragnęłam płomieni żeby mi twarz lizały i ciało moje — niech bym w nich zgorzała wszystka! Ale gdy weszły zorze ranne, zgasło to płomienisko we mnie. I żal mi teraz i płaczę. Tak mówiła i tak mi powtórzyć kazała, panie mój, obym jednego słowa jej nie uroniła. I żal mi teraz i pła-

czę — mówiła żona twoja — ażem nie godna domu tego, przeto idę srom mój ukryć i opłakać w domu ojców moich. A pan mój i mąż — mówiła — niechaj mnie poniecha i niechaj do domu swego wprowadzi pannę czystą i dobrą — o mnie zaś zapomni i mnie nie szuka.

Zmęczywszy się gadaniem, odpoczęła chwilę długą, kiedy oboje milczeli. Poczem tak rzekła Hagita:

— A żona twoja, panie, słowa owe mówiła na tym to progu, gdzie siedzisz. A gdy słowa owe mówiła, z oczu jej — widziałam — łzy ciekły i widziałam, że łza jej padła na to miejsce, gdzie teraz siedzisz. — Wszystko ci powiedziałam.

Odeszła, bardziej jeszcze niż zazwyczaj przygarbiona, kijem piasek przed sobą rozgarniając.

Długo był Lewita za jedno z swym progiem kamiennym jak ten nieruchomy. Już noc jak ptak ciemności zatrzepotała się pod gasnącem niebem, gdy poruszył się, osunął na ziemię, nachylił głowę — i ślad małej stopy ucałował.

* * *

Prędzej powrócił Lewita do Silo, niż tam go się spodziewano, bo jedną tylko noc spędził w opustoszałym domu i to nie w izbie, lecz na progu, bez snu w rozmowie niegłośnej z gwiazdą domu swego,

na zachodzie łagodnie promienną. Wrócił i był w Silo jak przedtem, milcząco posługi swoje w przybytku sprawując.

Lecz po czasie jakimś znów zebrał się w drogę.

— Dokąd udajesz się teraz, synu mój—pytał go kapłan.

— Do Betlehem Juda, ojcze.

Po drodze wstąpił do domu, na stokach Efraimu i ztąd zabrał dwie oślice swoje, swojego sługę, szaty żony swej i podarki dla jej ojców. I poganiał w drodze oślice jakby za długie mu godziny były.

Do Betlehem Juda przybywszy, szedł do domu świekra swego i tam, zaraz na progu zaskoczył tę, do której wiodła go tęsknota. A nie miał dla niej słów twardych, lecz powitał ją łagodnem powitaniem, ona zaś osunęła mu się do nóg i płakała ukrywszy u kolan jego twarz. Wwiodła go potem w dom ojca swego, a ten radował się z przyjścia Lewity, mówiąc:

— Oto człowiek dobry wszedł pod dach mój.

Była więc radość w tym domu.

I dobre były chwile. A najlepszą, gdy po opadnięciu dnia i uciszeniu się wieczornem wszystkiego, szukając chłodu, posiadano przed sienią.

Położyła Orfa swą głowę na kolanach Lewity i oboje szukali po niebie swojej gwiazdy jasnej.

I spowiadała mu się Orfa:

— Jakbym nowe życie zaczynała, panie mój.
A to mówiąc, twarz zarumienioną ku niemu zwróciła i oczy swoje do jego ócz nieśmiało poniosła:

— Dla mnie nowe życie — szepnęła — i we mnie nowe życie. — I cichutko bardzo dodała:

— Dzieciątko będę miała.

Lewita położył rękę na jej głowie:

— Cieszysz się? — rzekł.

— Tak. I cieszę się, że to dziecię jest twoje. Wiem to po dniu poczęcia. To prawe dziecię twoje będzie.

* * *

Choć pilno było Lewicie do domu swojego żonę odzyskaną przywieźć, nie chciano ich stąd wypuścić. Pod wieczór mówił do Lewity swiekier:

— Dziś już zapóźno, przenocujcie-ż tu, proszę.

A zrana mówił:

— Posilcie się dziś jeszcze chlebem naszym.

Tak przeszło dni cztery, ale i piątego zatrzymywano ich gościnnie. Lecz gdy z południa słońce zeszło, nie chciał Lewita słuchać uprzejmej namowy i wzięwszy żonę swą i służkę i osły objuczone udał się w drogę.

Wiodła ich ona koło miasta Jebujejczyków, ale że do zachodu jeszcze dość zostawało czasu nie

usłuchał Lewita rady sługi by w tem tu mieście przenocowali i mniemał, że przed zejściem słońca zdążą do Ramy.

Ale dzień się skończył, gdy byli ledwie w części tej drogi, na wzgórzach przy Gabaa.

Miasto było pod ich nogami, w dolinie. Zeszły już z murów jego odblaski zachodu i cienie nocne szybko na nie spadać poczęły, a wkrótce i po wzgórzach się rozpostarły.

Po dniu upalnym wieczór nie przyniósł ochłody. Było parno. Chmury gromadziły się na zachodzie i przysłoniły łunę nieba, czasem tylko w rozdarciu ich wyzierały krwawe pasy i szedł od nich płowy, posępny blask. Wszystko dokoła sposepniało.

Stanęli niepewni co czynić.

Drogę ich wśród skalnych rozpadlin noc wysłała grozą, lecz i to miasto nieznanome, obce budziło w nich nieufność.

Orfa patrzyła na nie z trwogą. Tam, w dolinie ciemność już zgęstniała i z niej szczyty białych domów wynurzały się jakoś widmowo.

— Boję się. Nie chodźmy tam — szepnęła.

Ale nad głowami ich wzdęte, ciężkie chmury coraz niżej zwisały, gdy zaś błyskawica otworzyła ich głąb huczącą, Lewita przynaglił oślice, niespokojnie strzygące uszami, do chodu. Nim zeszli z wzgórzy i do bram miasta doszli ciemność była zupełną.

Ulice i zaułki były puste, miasto jak wymarłe, domy milczące, niegościnne.

Powietrze śród murów było jeszcze parniejsze. Zaduch ugniatał im piersi. Szli z jakimiś uciśniętymi sercami. Oślice chrapały podejrzliwie węsząc.

Nie śmieli nigdzie zapukać w obawie niezyczliwego przyjęcia i usiedli pod murem, który cokolwiek przed nawałnicą mógł ich osłonić. Kroki czyjeś się rozległy. Patrzali niespokojnie, kto się z cieniów wynurzy. Był to stary człowiek, rolnik, który od roboty swojej z pola dalekiego wracał, a trafem pochodził, jak i Lewita, z gór Efraim.

Przystanął przy podróżnych i po nakryciu głowy lewitę poznając zapytał:

— Dokąd idziesz i skądś przybył?

— Idziemy z Betlehem Juda, odpowiedział, — aż ku stronie góry Efraimowej, skądem jest, zaczem i do Silo, do domu Pańskiego, powracać mam. Tu nie masz nikogo, kto by mnie w dom przyjął, przeto na ulicy noc przeczekamy.

Stary mąż obejrzał się dokoła i rzekł z frasunkiem:

— Żadną miarą tu na ulicy pozostać nie możecie. Złe miasto to jest i mężowie w niem niepobożni. Beltala to syny, którym za nic zakon, ni Pan Panujący, za nic ogień co pochłonał Sodomę. Oni tu nową Sodomę nasadzili. Niech ręka Pana

broni by dojrzały was oczy ich, a uszy dosłyszwały krok obcych przychodni, bo nie znają wędzidła ich chuci brudne. Przeto chodźcie do mnie.

W świetle błyskawicy bledziutką się stała, bledszą od swych zasłon żona Lewity słuchając tych słów i trwożnie do ramienia starca tego przypadła. Poszedł przodem, ci zaś za nim pod murem, chyłkiem i cicho—i wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy mąż gościnny zamknął za nimi starannie drzwi domostwa swego.

Ale nikt z nich nie widział, że wypełzłe z zaułków cienie jakieś, kryjąc się za węglami ścian, śledziły ich złemi oczami i wypatrzyły ich schronienie, poczem rozbiegły się, a za chwilę wróciło ich wiele pod drzwi domostwa starego efraimczyka. Szedł między nimi szept jakiś wstrętny i chichot obrzydłej uciechy. Czyjaś pięść i druga i trzecia uderzać poczęła w drzwi zamknięte, w czyichś rękach drąg się pokazał. Stary mąż wyszedł, strofował ich i błagał.

Odepchnęli go, wpadli, obezwładnili mężczyzn. Brudna ręka uchwyciła białą szatę Orfy, jakaś dłoń zdławiła krzyk w jej ustach.

* * *

Gdy zorze wzeszły, na kamieniu u proga, w różowości pierwszych promieni słonecznych, leżał

w poszarpanej odzieży trup Orfy. Otwarte miała usta do krzyku lecz ciche; dłoń jedna jej zwisała z kamienia, a druga leżała na tem łonie, w którym miało rozkwitnąć jej dziecię.

...Tak oto umarła w Gabaa zbeszczeszczona żona Lewity.

Nie przywiódł jej żywej do gór Efraimowych, lecz martwą przytoczył w poprzek do grzbietu oślicy i tak ją powiódł.

Nizko opadała jej główka, a usta niezawarte krzyczały bezgłośnie — we wieczność...



NA GRANI

Epilog.

Jeśli kto nie usnął i zdołał do tego miejsca tę książkę doczytać, radbym by mu starczyło cierpliwości do przeczytania jeszcze i tego gawęd moich i opowieści — zwłaszcza ostatniej o żonie Lewity — epilogu. Może lepiej zrozumieli byśmy się na rozstaniu. Pożegnanie mówi czasem więcej, niż powiedziała cała długa, wspólna wędrówka.

Mówiłem w biografii swojej, że do Biblii dorwałem się bardzo wczesnie. Była to biblija ks. Wujka z ilustracjami Dorego. Wyznam, że do tych obrazków nie ważyłbym się dziś przykładać miary jakiejś czy skali z wymaganiami artystycznymi, gdyż nie chciałbym zetrzeć z nich puchów kultu, jaki miałem dla nich w dzieciństwie. Starłbym z puchem tym pierwsze swoje wzruszenia, łzy, bladania nad złem gdy trjumfuje, nad dobrem gdy ginie, pierwsze może próby wzlotów i zajrzenia za grań rzeczy wiecznych. Początków nigdy nie należy niszczyć, bo jakaś klamra w okręgu życia tak blisko spina je z końcem, że są one z nim jak jedno. Śmieją się z star-

ców, że blizcy są dzieciom. Niedobrze. I te i tamci bliżuchno są Boga,

Było wśród tych rycin kilka, do których wracałem nieustannie a między temi właśnie obrazek, gdy to Lewita prowadzi po wzgórzu nad Gabaa oślicę z zwłokami swej żony. Dręczył mnie ten obrazek chyba dłużej, niż połowę mego życia.

Wikłałem się bowiem w pojęciach grzechu i kary. Grzech — mówiłem — jest to odstępianie od Boga, a łzy, żal, pokuta to powrót do niego. Ale gdzież tu miejsce na karę? Bo pokuta choćby najostrejsza, najcięższa nie jest karą, owszem — jako powrót do Boga, radością. Jeśli uznamy zasadę słuszności i potrzeby kar bądź boskich, bądź ludzkich, przyjrzymy się co z tego wynika. Oto żona Lewity zgrzeszyła; śmierć sromotna była jej karą¹⁾. Ale ta

¹⁾ Tu w nawiasie coś wtrącić muszę. Według Pisma św. Lewita w domu efraimczyka w Gabaa postąpił haniebnie, sam bowiem wywiódł do zgraji łotrowskiej swą żonę; w języku zaś hebrajskim — jak mówi komentarz — użyte jest nawet słowo *przemocą*; czyli-że ona się opierała, on zaś przymusił ją by wyszła do napastników. Odrażający ten fakt znajduje się jednak w tak wielkiej sprzeczności zarówno z pierwszą częścią tego opowiadania, gdzie gra tęsknota Lewity za żoną, słyszy się radość jego z odzyskania jej, jak i z końcem — gdy widzimy go w gniewie przywołującego na złoczyńców pomstę całego Izraela, że czułem się uprawniony tę rzecz w swojej opowieści inaczej wystawić.

kara znów była ohydną zbrodnią, która nie mogła zostać bezkarną. Jakoż wiemy, że Lewita rozrąbał zwłoki żony na dwanaście części i rozesał je „po wszystkich granicach izraelskich“ i powstał cały Izrael do walki bratobójczej z pokoleniem, w łonie którego dokonana się zbrodnia, w dzień zaś pomsty „poległo z Benjamina dwadzieścia pięć tysięcy mężów walecznych, wszystko mężów dużych“. Uważcie—zawiniło kilku, padło dwadzieścia pięć tysięcy „mężów walecznych“; wygładzono całe niemal pokolenie z wyjątkiem sześciuset, którzy schronili się na ska-
le Remnon. I to jest prawem niezmiennem, że złe pobijane złem nie kurczy się ani odrobinę, lecz pęcznieje, do zbrodni dorzuca stos nowych, aż urosnie do rozmiarów gigantycznych. Więc nawet dziecię powie, że łańcuch takich rzeczy obrzydłych nie może iść od Boga i bluźniłby mu kto by to twierdził. Kara jako wywarcie złości na winnym jest nowem złem, którego wyolbrzymienia dalszego nawet przewidzieć nie zdołamy.

Grzech jest odstępniem od Boga. Kto ma Boga, ten go czuje—i czuje gdzie Bóg, gdzie nie—bóg, gdzie dobro gdzie zło, czuje przeto gdy odstąpi od Boga; płacze i pokutuje, by go odzyskać. Rzeczą zaś Boga—tę drobinę swoją zgubioną przyciągnąć, czy odtrącić, pocieszyć lub na próby ją wystawić.

Zgrzeszyć może tylko dobry człowiek. Zły nie grzeszy, bo nie może odstąpić od Boga kto w sobie go nie ma. Zły nie grzeszy, ale całym swym istnieniem, przeczącem dobru, jest grzechem i obrazą Boga. Nie kara mu się należy — nie można bowiem bez dopuszczenia się złości karać za odstąpienie od Boga tego, który nigdy u niego nie był, lecz należy mu się — *potępienie* przedewszystkiem i *wytępienie* następnie. „Przeklęty, kto lekceważy ojca swego i matkę swoją“ — mówił Mojżesz przed ludem, lud zaś wszystek odpowiadał mu: Amen! — „Przeklęty, kto sprowadza ślepego z drogi aby błądził“ — a wszystek lud mówił: Amen! Takim właśnie powinno być potępienie — powszechnem, przez wszystek lud, bezwzględnem. — I niszczenie zła winno być równie bezwzględnem, niedopuszczającym żadnych z niem układów, idzie tylko o to by było istotnem i skutecznem.

Dla wytępienia złego Mojżesz widział jedno — śmierć. Śmiercią umrze ten, śmiercią umrze tamten — taki jest cały stary zakon. Ale ta sama formuła powtarza się i w późniejszych prawodawstwach karnych. W gruncie rzeczy kara śmierci bez mąk i pastwienia się nie jest zasadą kary, lecz zasadą niszczenia zła w jego siedlisku. Więc słuszną, uprawnioną i konieczną, lecz naiwnie stosowaną, bo jednostka nie jest siedliskiem, ani źródłem złego, lecz jego

objawem. Tępiąc złe śmiercią, gasimy płomień, zostawiając zarzewie. To właśnie jest pomstą powieszonych, ukamienowanych i obezglówionych, że zbywszy sami złego, przekazali je żywym, wśród których ono żyje nadal pleśnią, grzybem, ropą do nowego wrzodu zbierającą. Niszcząc śmiercią złą jednostkę, nic nie zyskujemy, tracimy natomiast wiele. Tracimy coś z samych siebie jak zawsze, gdy dopuszczamy się złego. Wszelkie bowiem złe, w jakimkolwiek celu czynione, jest świętokradzkim kurczeniem dobra, więc w samego Boga wymierzonym ciosem, który on zawsze wzgardliwie odepchnie. Choćby miało być maczugą dla zabicia innego zła, zawsze odbije się i spada na własną naszą głowę. Na wozie zła dobro ani kroku nie ujedzie, owszem cofnie się i musi potem podwójną przebiec drogę—by siebie odzyskać i coś na złem zdobyć, od czego zawsze zaczynać należy.

Bo z błędnego koła było zawždy i jest jedno *jedyne* wyjście — widome, otwarte, jasne i dostępne od chwili, gdy Jezus nauczał, że za złe dobrem się płaci. Niema innej drogi—złe wyplenia się, niszczy, tępi dobrem. Złemu należy się by naprzód usłyszał głos potępienia powszechnego nad sobą, a potem by dano mu przewodnika ku dobremu.

* * *

Lecz i do tego punktu doszedłszy, nie miałem jeszcze rozwidnionej drogi. Przedemną wciąż była tajemnica tajemnic — sromotna śmierć żony Lewity. Jeśli to nie była kara, to jakże taka rzecz mogła się stać przed obliczem Pana? Takie zaś posępne trjumfy zła są na każdej karcie historii i na każdym kroku naszego życia. Jakiż więc jest ten Pan i czy jest on, skoro przed obliczem jego zło tak wielmożnie się rozpościera?

Gorzki tej tajemnicy jad.

Lecz jest książka dobra, która wszelkie jady zbiera i z ran ludzkich wysysa, o tajemnicach zaś wszelkich powiada, że niema — żadnych, bo prawda od wieków stoi przed nami bliska, naguchna jak dziecię, łatwa, prosta. Biedne te oczy nasze... A to powiada znów ta sama Biblia, którą pisali ludzie, dyktował zaś Bóg. Bo zresztą zawsze tak jest, że człowiekowi zdaje się, iż tworzy, czyni co dobrego, jest zaś rylcem Boga; tylko zło czyni na własną rękę.

Klucz do tajemnicy tajemnic — walki przemocnej zła z dobrem książka ta zawiera w słowach, które są na początku jej i u końca, w pierwszych Genesis i ostatnich Apokalipsy. Trzeba je tylko spiąć klamrą.

Genesis mówi: Ziemia była nieukształtowana i próżna, i ciemność była nad przepaścią. Bóg

rzekł: Niech będzie światłość. „I widział Bóg światłość, że była dobra“. — Apokalipsa, na stronie ostatniej: „I ukazał mi rzekę czystą wody żywota, jasną, jako kryształ“, niżej zaś: „A kto pragnie, niech przyjdzie; a kto chce, niech bierze wodę żywota darmo“. Ot i wszystko.

Ciemność starsza jest od jasności, zło od dobra. Cóż to jest ciemność? Bezład materji i ducha, chaos rzeczy nieukształtowanych, żywiołów niekarnych, żądz rozpętanych. — W tej ciemności Bóg zapalił się jasnością. To jest — czemże? Ruchem pokonywającym bezład, dobrem nienawidzącem zła, pięknem ukształtowanych rzeczy, ładem ich, prawem, karnością, czynem twórczym, zarodzią słońc, prawd, życia.

Ale — od tego, że Bóg w ciemności zapalił się jasnością ciemność nie zginęła. Czy gdy w przestworzu rozпали się słońce, bądź w ciemnej izbie zapłonie kaganek — mrok tylko się cofnie. Już po kątach izby cień się tłoczy, a gdy ściany jej, za którymi noc, rozsuniemy, o kilkadziesiąt kroków ledwie widoczne będzie światełko kaganka, a z oddalenia wcale go widać nie będzie.

Nie mniej — ten kaganek gdzieś płonie, jest.

Odkąd Bóg zapłonął jasnością, niema na świecie mocy, któraby zgasić ją zdołała. Ale możemy

tak daleko odejść w mrok, że nic prócz mroku nie dojrzymy.

Nie mniej — jasność gdzieś płonie, jest. I od nas zależy, by mroki się z przed niej odsunęły. Gdy od jednego kaganka zapalimy dziesięć łuczywek (a nie ubędzie kagankowi światła od tego), w izbie stanie się jasność taka, że mrok się zaciśnie do ostatnich jej szczelin. — Tego właśnie Bóg żąda: Jam się zapalił Ogniskiem wiecznym i przystęp do mnie każdemu dany; przyjdźcie z kagankami waszemi i zapalone nieście do mroku, by cofnął się do szczelin ostatnich, do Hadesu, gdzie wiecznością jest niebyt, nicość i zło; a nie ubędzie Ogniska mego choć miliony łuczyw odeń się zapalą, ani ubędzie wody żywoty, choć miliony spragnionych darmo ją zaczerpną

Pozorny bywa tedy tryumf złego, bo ani jeden z zapalonych przy Ognisku kaganków zagasnąć nie może, lecz z oddalenia może go mrok przesłonić, gdy w tym mroku nikt nic nie rozpali.

Nie płakać nam przeto żony Lewity, wszystkich dobrych, których źli pohańbili, wszystkich męczenników i męczennic za prawdę, wiarę, ojczyznę, dobro — bo wszyscy żywi. Ale płakać, gdy osamotniałe płonie gdzieś Ognisko, a w naszych rękach niezapalone kaganki; gdy zapomniane płyną gdzieś

wody żywota, jako kryształ jasne, my zaś pragnienie gasimy winem, lub krwią.

Tak się kończy Apocalypsis: „*Tak mówi ten który świadectwo daje o tych rzeczach: Zaiste, przyjdę rychło. Amen. I owszem przyjdź, Panie Jezusie*“.
(Apoc. XXII; 20).

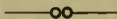
...I owszem, przyjdź Panie Jezusie.

— oo —



SPIS RZECZY.

| | Str. |
|---------------------------------------|------|
| RESPHA, Z TEMATÓW BIBLIJNYCH. | 1 |
| PIEŚŃ | 49 |
| OPOWIEŚĆ DRUGA | 59 |
| SZKLANY DZWON. | 69 |
| O ZMIERZCHU | 85 |
| W PIWNICY | 91 |
| ZŁUDA I RZECZYWISTOŚĆ | 107 |
| MOJA BIOGRAFJA. | 131 |
| ŻONA LEWITY | 221 |
| NA GRANI, EPILOG | 239 |



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAŃ
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

Y50331A 4012

